NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM I NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 2

DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA

KAROL ESTREICHER

ADAM PRAGIER

ANTONI WÓJCICKI

JERZY KUNCEWICZ

CZESŁAW POZNAŃSKI

HERMINJA NAGLEROWA

JÓZEF WITTLIN

MARJA PAWLIKOWSKA

ANTONI SŁONIMSKI

EUGENJUSZ CĘKALSKI

MARJAN HEMAR

GEN. J. F. C. FULLER

J. NEGRIN

MARJA KUNCEWICZOWA

LONDYN

MAJ 1942

PUBLISHED BY
NOWA POLSKA
91, GREAT TITCHFIELD STREET,
LONDON, W.1
Phone: MUSEUM 2077-8-9

DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA

Świat uległ zmianom zasadniczym.

Na drodze do szczęśliwszego i doskonalszego bytu nie stoją już wrogie siły przyrody ale niepokonane dotąd przeciwieństwa wśród narodów i społeczeństw. I oto w wieku największych osiągnięć cywilizacji naukowej i technicznej, Człowiek posiał jednocześnie ziarna swej wielkości i swej zagłady. Nierównomierność postępu w dziedzinie techniki i w dziedzinie wychowania, organizacji i moralności ludzkiej tworzy ten groźny obraz zdobyczy wiedzy przeobrażonych w straszliwe narzędzia zniszczenia. Przestrzeń pokonana zamiast zbliżyć narody, dzieli je wrogością. Niebo, które otworzyły nam skrzydła samolotu, bije w nas z siłą groźniejszą od piorunów. Motory o mocy ogromnej pracują nie dla dobra Człowieka ale na jego zgubę. Świat zmienił się w żerowisko drapieżnych instynktów. Wojna, okrucieństwo, nietolerancja, podstęp i nienawiść uzbroiły się w środki o sile niespotykanej dotąd w dziejach ludzkości.

Jeśli po tej wojnie życie narodu i jednostki podlegać będzie nadal prawom przemocy i gwałtu—wszystkie nasze wysiłki i straszliwe cierpienia pójdą na marne.

Świat nowy, o który walczymy, musi na zawsze kres położyć wojnom, nietolerancji i okrucieństwu, nędzy i niesprawiedliwościom społecznym. Nowa organizacja życia wymagać będzie planowania w skali światowej, ale planowanie to w niczem naruszać nie powinno zasadniczych praw jednostki.

Wojna obecna jest jednym z etapów walki o Człowieka. Od wyniku tej wojny zależeć może, czy Człowiek stanie się wolnym władcą niewyczerpanych bogactw ziemi, czy sługą maszyny, tyranji organizacyjnej i niewolnikiem w służbie silniejszych i drapieżniejszych narodów, czy jednostek.

Ożywieni troską o Człowieka, rozwijając inicjatywę H. G. Wellsa i sędziego Sankeya, opracowaliśmy polską deklarację Praw Człowieka. Idea Praw Człowieka wśród narodów walczących i cierpiących w niewoli wyrasta dziś jako pragnienie łączące ludy ponad głowami państw i wbrew wszelkim grom politycznym.

Grupa Polaków, która zajęła się opracowaniem Praw Człowieka, miała na celu nadanie angielskiej deklaracji charakteru bardziej uniwersalnego i zbliżonego do potrzeb narodów kontynentu.

W tradycyjnym poczuciu znaczenia wolności narodowej, uznaliśmy za konieczne wzbogacenie Deklaracji przez włączenie prawa do niepodległego bytu narodów i życia człowieka wolnego w wolnym państwie.

Związani od wieków współżyciem na jednej ziemi z innymi narodami—uwzględniliśmy również w naszej Deklaracji prawa mniejszości narodowych.

Uznaliśmy również za konieczne ograniczenie wolności tam, gdzie wolność ta może być skierowana przeciw zasadniczym Prawom Człowieka.

Synowie narodu, który pierwszy w tej wojnie podniósł broń w obronie wolności, narodu, który najcięższe cierpi prześladowania na ziemi swych ojców—dziś złączeni braterstwem, sprawiedliwości głodni, uznajemy Prawa Człowieka za wyznanie wiary naszej i za nadzieję lepszego, szczęśliwszego życia zarówno Ojczyzny naszej, jak wszystkich ludzi ziemi.

PRAWA CZŁOWIEKA

1. PRAWO DO ŻYCIA. RÓWNOŚĆ WOBEC PRAWA.
Człowiek każdy ma prawo do udziału w zasobach przyrody oraz w dorobku materjalnym i kulturalnym ludzkości. Wszyscy ludzie bez względu na płeć, rasę, barwę skóry, pochodzenie, narodowość, religję i przekonania równi są wobec prawa.

2. WOLNOŚĆ MYŚLI.
Człowiek każdy ma prawo do wolności słowa żywego i drukowanego, do zgromadzeń i stowarzyszania się, do modłów i obrzędów religijnych.

3. WOLNOŚĆ OSOBISTA.
Nikt nie może, bez postanowienia właściwego sądu, działającego niezawiśle, być pozbawionym wolności, na dłużej niż 24 godziny, ani też więziony bez rozprawy dłużej niż 3 miesiące. Nikt nie może być przez władze administracyjne lub sądowe poddawany udrękom cielesnym, czy duchowym. Nikt nie może być pociągany do odpowiedzialności ani karany za cudze przewinienia. Niedopuszczalna jest odpowiedzialność zbiorowa.

Tylko władze sądowe mogą zezwolić na naruszenie nietykalności mieszkania prywatnego.

4. PRAWO DO WIEDZY.
Wiedza ma być dostępna wszystkim.
Społeczeństwo obowiązane jest zapewnić każdemu bezpłatne kształcenie stosownie do jego zdolności. Rodzice lub opiekunowie mają prawo wychowywania dziecka oraz prawo określenia jego języka i wyznania religijnego, o ile nie naruszają przy tem zasadniczych praw człowieka.

Człowiek każdy winien mieć łatwy i szybki dostęp do informacji potrzebnych mu do kształtownia sobie sądu o bieżących wypadkach i zagadnieniach.

5. PRAWO DO PRACY.
Człowiek każdy ma prawo do płatnego zatrudnienia i swobodnego wyboru pracy. Człowiek każdy ma ponadto prawo do dachu nad głową, do odzieży oraz do zaspakajania wszystkiego, co czyni zadość pierwszym potrzebom życiowym. Zarobek winien odpowiadać wkładowi jednostki do dobrobytu

i kultury społeczeństwa. Niezdolni do pracy lub czasowo pracy pozbawieni winni być utrzymywani przez społeczeństwo.

6. PRAWO DO WŁASNOŚCI PRYWATNEJ.

Człowiek każdy ma prawo do własności osobistej uzyskanej drogą legalną. Posiadanie takiej własności jest chronione przez społeczeństwo. Własność środków produkcji, ziemi, bogactw naturalnych, środków komunikacji i innych urządzeń użyteczności publicznej oraz instytucji obrotu pieniężnego—winna być podporządkowana potrzebom społeczeństwa.

7. PRAWO DO ZIEMI I WOLNOŚĆ PORUSZANIA SIĘ.

Nikt nie może być usunięty przemocą z miejsca, które dobrem prawem zamieszkuje.

Człowiek każdy ma prawo swobodnego poruszania się po całym świecie.

8. WOLNOŚĆ STANOWIENIA PRAW.

Jedynem źródłem prawa jest społeczeństwo. Żadna ustawa nie może obowiązywać, o ile nie została w głosowaniu powszechnym uchwalona przez ogół pełnoletnich obywateli, lub przez ciało prawodawcze, pochodzące z powszechnego głosowania. Prawa mogą być uchwalane tylko po jawnej dyskusji publicznie.

9. PRAWA I OBOWIĄZKI OBYWATELA.

Posiadanie praw nakłada obowiązek pracy i świadczeń na rzecz społeczeństwa. Kto się uchyla od tego obowiązku nie może korzystać z pełni praw przysługujących obywatelowi.

10. PRAWO JEDNOSTKI W NARODZIE.

Niepodległość bytu państwowego i równość narodów między sobą jest podstawą i warunkiem praw człowieka.

Każdy naród obowiązany jest do rozwijania kultury i dobrobytu również grup mniejszościowych, zamieszkałych na jego obszarach. Naród, który nadaje sobie prawa sprzeczne z powszechną deklaracją praw człowieka uznanym być winien—przez inne narody—za napastnika.

Londyn, 27 marca 1942 roku.

Stanisław Baliński — Adam Ciołkosz — Lidia Ciołkoszowa — Eugenjusz Cękalski—Franciszek Czarnomski—Witold Czerwiński—Stefan Daszyński—Bernard Drzewieski—Olgierd Górka—Ludwik Grosfeld—Maria Kuncewiczowa —Jerzy Kuncewicz—Tadeusz Nieduszyński—Stefan Osiecki—Czesław Poznański —Adam Pragier—Roman Przedpełski—Stanisław Ścigalski—Juljusz Sakowski —Antoni Słonimski—Florjan Sokołów—Juljusz Suski—Edward Szturm de Szterm — Feliks Topolski — Orwin Wieczorek — Witold Wyszyński — Stefanja Zahorska—Marek Żuławski.

UWAGA: Zagadnienia organizacji życia międzynarodowego i bezpieczeństwa zbiorowego oraz przyszłego ustroju społecznego będą przedmiotem dalszych prac niniejszej grupy.

KAROL ESTREICHER.

MICKIEWICZ — RZĄDCA DUSZ.

Człowiekiem, który pierwszy w Polsce uległ mistycznemu zachwyceniu i potęgą geniuszu narzucił je epoce porozbiorowej, przepoił nim myśl polską do głębi, stworzył zupełnie nową filozofię narodową, był Mickiewicz.

Nazwano go prorokiem Słowiańszczyzny, nazwano go Mojżeszem Polski, porównano go do najwyższych duchów, które ludzkość wiodły, dojrzano jego geniusz, lecz głównie dojrzano go poprzez jego poezję. Polacy gdy mówią o Mickiewiczu, gdy się nim zachwycają, myślą przede wszystkim o dziełach, w których wspaniałe obrazy roztacza, w których język życiem tętni i przedziwną prostotą ujmuje. Natomiast mniej mówi się u nas o Mickiewiczu myślicielu, o wiele mniej o Mickiewiczu mistyku i proroku.

Kiedy Boy-Żeleński napisał swój wstęp do wydania dzieł Mickiewicza, wstęp, który miał rozpocząć wielką dyskusję o "bronzownictwo"— w zasadzie słusznie obwinił on historyków twórczości Mickiewicza o chęć wyniesienia osoby poety na piedestał posągu, o chęć zacierania wszelkich cech ludzkich w Mickiewiczu. Szło przytem Boyowi więcej o życie osobiste wieszcza, niż o jego poglądy, szło mu więcej o to, co nazwano plotką o Mickiewiczu, co jednak, dowodził, nieoddzielne jest od twórczości poety.

To samo stosuje się do pism i działalności Mickiewicza. Wielbiciele chcieliby w nim widzieć apostoła wolności, narodowego świętego, który nie zgrzeszył, który wszystko przewidział i nigdy się nie pomylił. Wynoszą więc niektóre z twierdzeń Mickiewicza nad miarę, inne zaś obniżają. Opuszczają te poglądy, w których się pomylił, milczą o tych, które są niewygodne dla chwilowego użytku, lub które historycznemi względami należy wytłumaczyć. Kult Mickiewicza dostarcza obficie przykładów, złączonych z programami partji politycznych i kierunków społecznych. W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia, w okresie stawiania pomników Mickiewiczowi, w okresie jego pogrzebu na Wawelu, ówczesne stronnictwa polityczne walczyły ze sobą o Mickiewicza dowodząc, że byłby do nich należał, gdyby żył.

Niewiele zmieniło się od owych czasów. Po dziś dzień dla wielu Mickiewicz jest wyrazem ich osobistych przekonań, ambicji, programów— a nie wielkim polskim myślicielem, największym jakiegośmy posiadali w historii. Dla wielu jest Mickiewicz świętym z partyjnego wiecu i służy dla programowego krzyku. Dla tych nie jest myślicielem, co objął swym spojrzeniem całą ludzkość, z czego dumni tylko powinni być Polacy, nie jest głębokim filozofem bytu i poznania, ale jest namiętnym agitatorem takiej sprawy, jaką oni właśnie chcieliby widzieć w danej chwili.

Mickiewicz był człowiekiem i pozostanie dla prawdziwych wielbicieli jego geniuszu i charakteru człowiekiem. Jako człowiek ma swe wzloty i upadki, od których nikt nie bywa wolnym, sięga wyżyn niedostępnych dla zwykłych śmiertelników, ale czasem popełnia także omyłki lub jest niepozbawiony ludzkich przywar.

Czy pisać o Mickiewiczu inaczej nie wolno, jak tylko w sposób, który podobać się może tym czy innym jego wielbicielom? Czy słabych lub niekonsekwentnych punktów w jego filozofii poruszać nie można? Czy tego rodzaju stosunek do jego geniuszu obniża go w oczach społeczeństwa polskiego?

Sądzę, że nie. Im bardziej żywym, ludzkim, im naturalniejszym uczynimy Mickiewicza, tem będzie nam bliższym i droższym.

I Mickiewicza przesadny kult jego osoby irytował. Wokół wielkich artystów zazwyczaj skupiają się ludzie, którzy niewolniczą wiarą lub przez uwielbienie niemal religijne wyrażają swą cześć dla nich. Karol Brzozowski

w swych wspomnieniach opisał scenę, po której Mickiewicz powiedział: „pamiętajcie, że nie jestem świętym"—i w słowach tych mieści się dosadna krytyka tych, którzy stawiają Mickiewicza poza wszelką dyskusją.

O wielu wystąpieniach Mickiewicza, przedewszystkim o jego mistycznej, wszechludzkiej filozofii biografowie poety mówią niewiele lub przechodzą nad nią pospiesznie. Mesjanizm, towianizm, panslawizm Mickiewicza lekceważy się u nas — niedostatecznie się omawia i studiuje. Oddziela się od owych przekonań i wiar filozoficznych Mickiewicza poetę i bada jego twórczość poetycką osobno. Tak jakby pisano np. o Michale Aniele rzeźbiarzu, nie wspominając, że był malarzem i architektem i poetą zarazem.

Stanowczo nieusprawiedliwione jest dzielenie twórczości Mickiewicza na okresy, w których Mickiewicz jakoby zmieniał swoje przekonania. W ten sposób istnieje jakby dwóch, a nawet trzech i więcej Mickiewiczów: W ten sposób zdarza się, że czytamy o Mickiewiczu wyznającym zasady oświecenia, o Mickiewiczu romantyku lub towiańczyku. Tak jednak nie było! Mickiewicz wykształcił w sobie jeden, stały i konsekwentny program filozoficzno-społeczny, którego nie zmienił nigdy, od którego nigdy nie odstąpił.

Natomiast poszczególne punkty tego programu Mickiewicz w ciągu życia opracował i kładł na nie nacisk, poświęcił się im całkowicie, nieraz ze szkodą dla rozpoczętych w innej dziedzinie prac. Postąpił jak uczony, który rozrzucił swe wyniki w opracowaniach, zajmujących go bardziej, niż budowa zwartego systemu. Mickiewicz był naturą wrącą, ekspulsywną, działającą pod wpływem natchnień i porywów. Umysłowość genjalna, obejmująca z łatwością dziedziny wiedzy, polityki i filozofii, nie była systematyczna w sensie akademickim.

Stąd i filozofia Mickiewicza, która istnieje jako jedna i konsekwentna, zarówno w zakresie poznania, jak i etyki i metafizyki, rozrzucona jest we wszystkich jego pismach od Ballad i Romansów po Trybunę Ludów. Gdyby wyjątkami z jego pism wypełniono odpowiednie działy-rozdziały filozoficznych dziedzin, wówczas pokazałoby się, że istnieje tylko jeden Mickiewicz-filozof konsekwentny w swych poglądach, jasny i zrozumiały całkowicie. Pomiędzy filozofją Mickiewicza z okresu wileńskiego, a filozofją z okresu wykładów o Literaturze Słowiańskiej niema sprzeczności. Mickiewicz-towiańczyk i Mickiewicz-socjalista, to ten sam umysł, który bynajmniej swych przekonań nie zmienił. Istnieje tylko różnica natężenia.

Działalność poetycka Mickiewicza zajmuje pierwszą połowę jego życia. W drugiej Mickiewicz poetą być przestał (choć nie przestał być nigdy artystą,) stał się mistykiem, prorokiem, politykiem, żołnierzem i tę stronę jego życia często Polacy są skłonni uważać za jakiś jego upadek, o którym milczeć należy.

Biografowie Mickiewicza, wśród których nie brak głębokich znawców przedmiotu, podkreślali i podkreślają ciągle twórczość literacką poety, źródeł jej dochodząc. Mniej zwrócili uwagi na mistykę poety, a jeśli nią się zajęli, to głównie z polskiego punktu widzenia, nie zaś ogólnoludzkiego. O ile mi wiadomo nie istnieje rozprawa, któraby się zajęła mistycyzmem i walką wewnętrzną Mickiewicza, któraby jego uniesienia religijne zbadała porównawczo i sklasyfikowała je. A przecie należą one do tej samej dziedziny, co wzloty duchowe wszystkich wielkich wierzących, którzy w łasce wiary znajdowali pociechę i siły.

Lecz jeśli pod kątem tych walk, wzlotów i obniżeń brać będziemy pod uwagę postać Mickiewicza, to wówczas oddala się od nas Mickiewicz jako Polak, a urasta Mickiewicz-człowiek. Przestaje być myślicielem wyłącznie naszym, staje się trudniejszy, nie może być użyty dla celów pedagogii politycznej. Niewygodne to było i jest dla tych, którzy Mickiewiczem chcą się posługiwać. Stąd wszystko to, co tchnie mistyką u poety, bezpieczniej zwalić na zaćmienie umysłu, na złe wpływy, na zamącenie jego równowagi duchowej pod wpływem narodowych nieszczęść.

Taki pogląd na Mickiewicza ustalili racjonaliści a także katolicy, którym nie była wygodna owa działalność poety, bo mijała się z tym co wyznawali i co szerzyli. Ale to pogląd błędny, bo okresu mistycyzmu Mickiewiczowskiego w żadnym razie nie należy uważać za jakiś odrębny, chwilowy wyłom w jego twórczości, ani tymbardziej za jego upadek umysłowy.

Były to chwile największych uniesień w życiu poety, kiedy przemawiał imieniem Polski i gdy czuł, że program jego wchłania cały naród. Były to chwile, gdy z katedry w Collège de France, Mickiewicz porywał słuchaczy dla wszechsłowiańkiej idei ducha, gdy z łam Trybuny Ludów groził reakcyjnej Europie rewolucją społeczną, gdy namiętny i uniesiony chciał głowę Kościoła pozyskać dla sprawy wolności.

Swoją koncepcją filozoficzną przepoił wówczas całą emigrację polską, pogłębił ją duchowo i sprawił, że idea poczęta u niego przeszła na kraj. Zaczęła się udzielać, odradzać, przechodzić z pokolenia na pokolenie i przeżyła do dziś. Dała Polakom skłonność do mistycznego traktowania spraw politycznych, do opierania ich na podstawie nie materjalnej, lecz duchowej. Ale powróćmy do Mickiewicza jako do filozofa.

Podstawę poglądu Mickiewicza znamy. Ustaliła się ona razem z wkroczeniem do nas romantyzmu, dotyczy dziedziny poznania, była, jak wspomniałem w artykule poprzednim, szczególnie zwalczana przez klasyków. Filomaci wileńscy wyrastali w atmosferze racjonalizmu oświecenia, lecz prawem sprzeciwu, który tak często w młodych duszach się budzi, nie przyjęli tej filozofji uznanej i szerzonej w szkołach wileńskich i krzemienieckich.

Pytany w śledztwie, podczas znanego procesu, Tomasz Zan dlaczego organizacja Filomatów była tajna, odrzekł poprostu, że w ten sposób młodzież starała się uchronić od wpływu starszych. Tę jego odpowiedź uznali niektórzy biografowie Mickiewicza za zasłonę, za wykręt wobec władz politycznych, gdyż w istocie mieli mieć Filomaci cele patriotyczne na oku. Zapewne—lecz w odpowiedzi Zana kryło się także sporo prawdy i nie można jej uważać jedynie za wykręt śledczy. Około roku 1823 młodzież wileńska, jak również warszawska myślała innymi kategorjami niż starsze pokolenie i ze swymi przekonaniami kryła się przed starszymi.

Czy pogląd romantycznej młodzieży wileńskiej na sferę poznania był jej, oryginalny? Nigdy. Znamy dokładnie drogi, którymi przyszedł do nas romantyzm, a wraz z nim nowinki filozoficzne. Romantyzm niemiecki odegrał w tym pochodzie myśli wybitną rolę, zaprzeczyć temu nie możemy, ale też nie jedyną. Równie silnym był romantyzm angielski, a jeśli o filozoficzne koncepcje idzie, to filozofja angielska oddziałała na Polaków nie tylko w zakresie racjonalnego, lecz również irracjonalnego poznania. Shaftesbury na długo przed romantyzmen, bo w połowie XVIII-go stulecia głosił, że poznanie irracjonalne jest równie uzasadnione jak każde inne i że nawet w niektórych dziedzinach (estetyki, moralności) należy je postawić na pierwszym miejscu. Wpływ Shaftesbury'ego oddziałał na Niemcy, wycisnął swe piętno na Herderze i Goethem, a do Wilna dotarł wraz z podręcznikiem estetyki Sulzera (Allg. Theorie d. Sch. Künste). Filomaci studiowali to dziełko, a nawet mieli zamiar przetłumaczyć je i wydać.

Jest to tylko jeden przykład dróg, którymi dotarła do nas koncepcja irracjonalnego poznania, mająca tak zasadniczą rolę odgrywać w całym życiu Mickiewicza. W powietrzu unosiły się najrozmaitsze pokrewne teorje o roli prometejskiej człowieka, o indywidualności artysty wybiegającej ponad przyziemny ogół, o natchnieniu sięgającym w bezmiar. Stąd wiara Mickiewicza w obrzędy ludowe, w stare legendy i praktyki i na tym tle powstają Dziady wileńskie, tak drażniące klasyków.

Bo w poznanie irracjonalne uwierzył Mickiewicz bardzo wcześnie, a jego natura obdarzona szczególnymi właściwościami psychicznymi utwierdziła go w tym przekonaniu. Jak wiadomo Mickiewicz posiadał osobliwe skłonności mediumiczne, metapsychiczne, był wizjonerem, a zarazem popadał w stany natchnienia pełne egzaltacji i uniesień. Za młodu improwizował poematy i tragedje, a i w późniejszym wieku unosił się jak prorok głoszący słowo boże. Przyjaciele i wielbiciele, ludzie, jak Oleszkiewicz i ks. Chołoniewski rozwinęli w Mickiewiczu te zdolności, pogłębili go duchowo, zwrócili go wcześnie do mistycyzmu. Na długie lata przed Towiańskim był już Mickiewicz mistykiem. Był nim kiedy studiował pisma Boehma i Baadera, St. Martina i Lamennais, kiedy interesował się kabałą, mesmeryzmem, masońskimi praktykami, żydowskim i chrześcijańskim mistycyzmem. Nie było u Mickiewicza nigdy takiej chwili, odkąd samodzielnie począł myśleć i pracować nad sobą, w której by uznał racjonalne poznanie, lub zwątpił w możność bezpośredniego porozumienia się człowieka z Bogiem.

Sam Mickiewicz nie rozumiał inaczej rozwoju swej filozofii. Oświadczył to wyraźnie w rozmowie o Towiańskim i jego wpływie nań. Powiedział mianowicie: "Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się, żem to co się dzieje przeczuwał".

Na swój sposób uznawał Mickiewicz tradycję i wierzył w nią. Klasycy szukali jej w literaturze polskiej i starożytnej, a Mickiewicz jako romantyk widział ją w owych tajemnych obrzędach i zabobonach ludu, w prorokach i wizjonerach, jakich w wieku XVIII w Polsce nie brakło. Grabianka, Wernyhora, ks.Marek, — postacie wpół legendarne, a wpół historyczne, to były głosy *stamtąd*. Wierzył w nie Mickiewicz zarówno w Wilnie, jak potem w Paryżu, gdy szerzył mesjanizm Polski.

Był więc Mickiewicz mistykiem i przed Panem Tadeuszem i w czasie pisania go i potem. Pan Tadeusz, w którym ni śladu mistycyzmu, to poemat, epopea, nie oddająca bynajmniej filozofii Mickiewicza. To jego wizja przeszłości, z której wyeliminował swe poglądy filozoficzne.

Teorja romantyczna indywidualność artysty dźwigała ponad ogół i Mickiewicz znalazł w tym siłę i podstawę działania. Wallenrod nie tylko dlatego jest utworem romantycznym, że i średniowiecze i pieśń gminną wskrzesza, ale przedewszystkiem dlatego, że jednostce przypisuje zbawczą, przodowniczą rolę w narodzie, poświęcając dla niej nawet ustalone zasady etyki. A jednak nie zdradę pochwalał w Wallenrodzie Mickiewicz, lecz poświęcenie się jednostki w stosunku do społeczeństwa, nie zemstę tyle — ile miłość i przywiązanie do ojczyzny, silniejsze, niż wychowanie podnosił. Jednostce, w zgodzie z romantyzmem, przypisywał Mickiewicz rolę przodowniczą, a myśl tę rozwinął naprawdę w Dziadów części trzeciej.

Pod wpływem nieszczęścia i klęski narodowej mistyczne powołanie Mickiewicza, które czuł w sobie, rozbudziło się jeszcze silniej i teraz dał poeta upust swym skłonnościom. Konrad i ksiądz Piotr, to jedna i ta sama postać, to odbicie walki w duszy Mickiewicza. Człowiek nie jest w niej równy Bogu i choć dociera do niego, to jednak od niego bierze światło, z jego rąk otrzymuje "rząd dusz". Zapatrzenie się w Boga, poznanie jego siły i woli możliwe jest tylko przez wewnętrzną walkę i ukorzenie się przed Stwórcą.

> Broń mnie przed sobą samym! Muszę dojść potęgi!
> Są chwile, w których nawskroś widzę Twoje księgi,
> Jak słońce mgłę przeziera, która ludziom złotą,
> Brylantową zdaje się — a słońcu ciemnotą . . .
> Chwytam Ciebie rękami za obie prawice
> I krzyczę na głos cały: "Wydaj tajemnicę!"

Nie są te piękne słowa jedynie formą poetycką. Należą do tej samej sfery duchowej, co mistyczne wzloty św. Teresy, pragnącej zespolenia z bóstwem,

poznania go w jego nieskończoności. Mickiewicz napisał ten wiersz właśnie w okresie drezdeńskich Dziadów w uniesieniu religijnym pod wpływem lektury Saint Martina, na długo nim został towiańczykiem.

Niewłaściwie utrzymuje się pogląd, jakoby Mickiewicz "popadł" w towianizm. Widzieliśmy, że był zawsze irracjonalistą, że w Dziadach (III) stał się otwarcie mistykiem, uznając iż natchnienie od Boga pochodzi i jest jego wyrazem, a w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa teorję Chrystusowego posłannictwa narodu polskiego objawił zupełnie wyraźnie.

Mniejsza pod czyim dokonało się to wpływem i skąd zaczerpnął Mickiewicz swoje argumenty. Mniejsza o to, że myśl była zgodna z podstawami poznania u poety, że leżała w duchu epoki, że już przed Mickiewiczem w Polsce nie brakło podobnych myśli, które potem chętnie cytował poeta, na dowód prawdziwości swego twierdzenia.

Faktem pozostanie, że bez Towiańskiego Mickiewicz doszedł do koncepcyj, które po poznaniu Towiańskiego tylko rozwinął i śmielej głosił. Towiański, jak zazwyczaj reformatorowie religijni, jednostronny i w siebie zapatrzony, odpowiadał Mickiewiczowi w okresie gdy poeta przemyślał już całą swoją filozofię ostatecznie. Mickiewicz nie "popadł" w towianizm, tak jak się popada w herezje czy w błędy dogmatyczne, lecz użył Towiańskiego i towianizmu dla swoich celów. Użył (czy przypuszczał, że użyje go), tak jak posłużył się tylu myślicielami epoki. Prawie wszystkich studiował, jednych dlatego, by z nich czerpać argumenty, innych po to, by ich zwalczać. Jako przedziwne połączenie realizmu działania z irracjonalizmem poznania, Mickiewicz szybko zrozumiał, że Towiańskiego zdolność oddziaływania na ludzi, skupiania ich, może mu być tylko wygodną i że tą drogą idee mistyczne łatwiej i prędzej przedostaną się w szeroki ogół. Tak jest — choć współczesnym wydawało się, że było przeciwnie — Mickiewicz użył Towiańskiego dla swoich celów. Stało się to dlatego, że poeta był indywidualnością potężniejszą, głębszą, niż Mistrz.

Przekonanie, że Mickiewicz „popadł" w towianizm ustaliła o nim plotka emigracyjna, oraz ci z pomiędzy katolików, którzy wówczas czuwali z urzędu nad czystością dogmatów Kościoła. Potem stało się to przekonanie wygodne racjonalistom w rodzaju Tarnowskiego. Bajka o zamąceniu przez mistycyzm równowagi umysłowej Mickiewicza, rozpuszczona za życia poety a później podtrzymywana, utrzymuje się nadal!

Mickiewicz znał te głosy o sobie. Traktował je pogardliwie: „Długo myślało wielu — pisał do Chodźki (1842) — żem dostał pomieszania, jak tylu innych naszych współbiedaków, teraz przekonano się, żem zdrowszy niż kiedy, ale zwyczajnie mistyk, zaszedł w głowę: kiwają nademną głowami. Ty mnie znasz i wiesz, że w cuda wierzę, ale lekki w sądzeniu nie jestem i w działaniu ostrożny".

Dzieje stosunku Mickiewicza do Towiańskiego, olbrzymia różnica, która zachodzi w tym co głosili i jak głosili, a wreszcie samo rozejście się Mickiewicza z Towiańskim—świadczą dobitnie, że poeta zachował swoją indywidualność i że nigdy nie poddał się Towiańskiemu. Gdy Mickiewicz ogłosił swój system, gdy zauważył, że nauka jego już weszła w Emigrację, z Towiańskim się rozszedł, a naukę jego porzucił. W roku 1847 napisał Mickiewicz do Towiańskiego list, w którym mu donosił: "trudno nam wrócić do tego zaufania, do tej szczerości z jakąśmy się zeszli przed laty, a bez niej niema płomienia, niema czynu". Kiedyś powiedział Mickiewicz do Felińskiego te znamienne słowa: "Mistrz przyniósł zasób prawd wielkich, których ludzkość nie wyczerpie i przez lat tysiąc, za co należy mu się uznanie i wdzięczność. Nie uznaję wszakże, by on sam był przeznaczony od Boga do wprowadzenia w życie prawd mu objawionych". Trudno o grzeczniejsze, ale zarazem bardziej bezwzględne skwitowanie religijnego reformatora.

Wydaje się, że należy porzucić mniemanie jakoby Mickiewicz wykształcił swą doktrynę dzięki towianizmowi i wydaje się, że wogóle osobie Towiańskiego w dziejach myśli polskiej zbyt wiele poświęca się uwagi. Był Towiański człowiekiem szlachetnym, żarliwym, świątobliwym nawet, który jednak wyznawał idee nieco naiwne i religijnie i filozoficznie. Gdyby nie poeci polscy, skupieni wokół Towiańskiego, nie byłby nigdy doszedł do tego znaczenia i do tej sławy, jaką posiadł.

Lecz wprowadzić trzeba porządek w tok tych rozważań i czas przejść do Mickiewicza filozofa. System Mickiewicza zawiera jasną teorję poznania, etykę, metafizykę, estetykę nawet. Jest to spirytualizm irracjonalny, o bardzo silnym podkładzie religijnym z wyniesieniem na pierwsze miejsce pierwiastków moralnych.

Omawialiśmy parokrotnie teorję poznania, której poeta hołdował. Nie był Mickiewicz w tym zakresie oryginalnym, bo wielokrotnie w dziejach filozofji koncepcja ta przewijała się w tej czy w innej formie. Mickiewicz szedł tu po drodze, po której szli tacy myśliciele, jak Plotyn lub jak Pascal, jak wspomniany Shaftesbury. W ostatnich czasach wrócił do tej koncepcji Bergson, wskazując na poznanie intuicyjne, które odsłania niejedne prawdy niedostępne rozumowi.

Metafizyka Mickiewicza jest nawskroś chrześcijańska i Bóg przedstawiał się poecie w myśl dogmatów chrześcijańskich i poprzez nie. Mickiewicz był teistą. Nie pojmował inaczej Boga, niż go Kościół podaje, widział w nim osobowego Twórcę, który wpływa na losy świata. W Bogu znajdował Mickiewicz rozwiązanie zagadki bytu i po za Bogiem jej nie szukał. Nie zachwiał tą wiarą Mickiewicza ani towianizm teorją kolumn duchowych, ani tymbardziej panteizm heglowski czy jakiś idealizm. Bóg w pojęciu Mickiewicza przypomina Jehowę ze Starego Testamentu, z którym człowiek porozumiewa się przez najwyższe wzloty ducha.

Etyka, moralność, poznanie jej prawd, dokonuje się na tej samej drodze. Dla zagadnień etycznych miał Mickiewicz najwyższe zrozumienie, a program etyczny rozbudował zarówno w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa, jak w wykładach o Literaturze, jak w artykułach Trybuny Ludów. Bóg objawia się ludziom głównie przez etykę i to nietylko indywidualną, ale zbiorową. Są jednostki i zbiorowiska, od wieków przeznaczone na to, by światło etyki nieść przed ludzkością. Słowiańszczyzna, a w szczególności Polska jest powołana do tej szczytnej misji.

W tym miejscu występuje u Mickiewicza idea mesjanizmu, która jest tylko częścią jego programu filozoficznego, lecz nie jest samym programem. Mesjanizm, jako taki, zajmuje w dziejach polskiej myśli miejsce osobne — same dla siebie, jako swoisty program narodowy, a nawet polityczny. U Mickiewicza jest jednym tylko rozdziałem w jego wszechludzkiej filozofji. Ofiara, idea ofiarnictwa, którą Mickiewicz Polsce-Chrystusowi Narodów przypisuje, to tylko fragment ogólnej filozofji jaką uprawiał. Wierzył bowiem Mickiewicz, obok indywidualnego poznania, w poznanie zbiorowe (stąd uznanie dla Koła towiańczyków) i w zbiorowe powołanie. Ten pogląd przejął bodaj od ks. Lamennais'ego, z którym się jednak rozszedł właśnie na tle racjonalizmu. Mesjanizm Mickiewiczowski (i to odróżnia go korzystnie od powszechnie pojętej idei mesjanicznej polskiej) jest jedynie ilustracją prawdy zasadniczej o zbiorowym poznaniu przez narody. Jest to owa „egzaltacja polityczna", która porusza zbiorowiska ludzkie, związki pitagorejczyków w starożytności, klasztory i zakony rycerskie w średniowieczu, wyzbyte materjalizmu i ożywione wspólnym duchem.

Jeżeli przyznamy, że przeznaczeniem ducha chrześcijańskiego, ducha egzaltacji jest rozlać się po całej ludzkości, wtedy to: „cośmy powiedzieli pod względem ogólnym o duchu ludów słowiańskich, łatwo daje poznać, że ród ten Opatrzność przygotowała do przyjęcia nowego porządku" — takie jest rozumowanie Mickiewicza, które przywiodło go do panslawizmu, a z

kolei w tym panslawizmie znalazło miejsce dla mesjanizmu Polski. „Pośród plemienia słowiańskiego znajduje się jeden naród, zawsze miany w Europie za rycerski i szukający niewiedzieć czego: bardzo więc logicznie wnioskować wypada, że plemię słowiańskie i naród polski są przeznaczone do utworzenia społeczności nowej".

A więc, choć Mickiewicz jest twórcą mesjanizmu, idea ta bynajmniej nie zajmuje w jego koncepcji świata, miejsca tak naczelnego, jak to współcześni i wyznawcy Mickiewicza przypuszczali. Mesjanizm jest rozdziałem w etyce Mickiewicza, rozdziałem bardzo rozbudowanym, lecz nie wyłącznym, związanym ściśle z moralnością, z ideą powołania zbiorowego, jaką wyznawał poeta.

Dla koncepcji tej Stary Testament i objawienia tam zawarte były księgą podstawową, a losy narodu żydowskiego zawsze widział Mickiewicz poprzez jego księgi święte. Stąd sympatja Mickiewicza dla Żydów i idei żydowskiej, których bierze w obronę wielokrotnie, choćby przed oceną Krasińskiego w Nieboskiej Komedji.

Mickiewicza stosunek do Żydów, do myśli żydowskiej, do narodu żydowskiego (ale nie pod kątem takich, czy owakich przekonań) domaga się objektywnego wyświetlenia. Stary Testament to dla poety najwspanialsza księga dziejów narodu i Boga, Nowy Testament to księga etyki. Mickiewicz nie oddzielał współczesnych sobie Żydów od starożytnych, a tajemnica ich bytu narodowego świeciła zawsze przed nim gdy myślał o Polakach. Dla Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa nie formę zapożyczył Mickiewicz od Wujka, lecz przede wszystkim myśl swą oparł o podstawy biblijne. Pismo Św. było dla poety źródłem wiary, a nie „wzorem tonu i stylu treści". Nie można o tym zapominać.

Chrześcijańska etyka Mickiewicza, którą uważał za etykę przyrodzoną nie pozwalała na żaden kompromis z etyką siły, pokutującą np. w carstwie rosyjskim. Dlatego zwalczał Mickiewicz najgoręcej Hegla i spekulacyjną metafizykę niemiecką, widząc w niej wielkie niebezpieczeństwo i w panteizmie i w dialektycznej metodzie przeciwstawień.

Dla Mickiewicza, zło jest drugą potęgą przeciwną dobru, uosobionemu w Bogu. Taki dualizm, któremu już w Dziadach (III) dał poeta wyraz, zgodny z teistycznym poglądem poety, wziął Mickiewicz nietylko z nauki Kościoła, ale i z teozoficznych pism, przedewszystkiem z ulubionego przez siebie mistyka Jakóba Boehma. Nawiasem mówiąc, niejeden z wierszy Improwizacji i Widzenia ks. Piotra znalazłby swe wytłumaczenie w literaturze mistycznej, w której rozczytywał się Mickiewicz (Boehm, Baader, St. Martin).

Dobro jednych zależne jest od drugich i wskutek tego etyka musi być stosowana w całej rozciągłości, bez wywyższania się materjalnego, w duchu całkowitej wolności. Mickiewicz wprowadza etykę boską w rzeczy świata podczas, gdy Hegel ją poprzez świat buduje.

„O ile powiększycie i polepszycie duszę waszą, o tyle polepszycie prawa wasze i powiększycie granice"— te słowa Mickiewicza, wypowiedziane w religijnym uniesieniu nie były tylko moralizatorskim wołaniem kaznodziei. Mickiewicz wierzył w materjalną wartość dobra, wierzył, że ono zapewni Polsce zwycięstwo w chwili ostatecznego rachunku. Głosił tę zasadę już w Księgach Narodu, a rozbudował ją dopiero później, lecz nie zmienił nigdy. Była podstawą jego etyki zbiorowej.

Historiozofia Hegla doprowadziła tego filozofa poprzez dialektyzm do uznania cywilizacji materjalnej za dzieło boskie, a stąd (jakże to charakterystyczne dla niemieckiego myśliciela!) do uznania systemu pruskiego. Nigdy Mickiewicz nie zgodził się na to stanowisko i był jednym z tych, który najgoręcej zwalczał wszystkich filozofów i myślicieli z Heglem związanych. Przewidywał (nie mylił się), że heglizm prowadzi na błędne drogi etyki. „Zwolennicy Hegla rozmaicie wykładają jego system. Niek-

tórzy nawet usiłują zjednoczyć go z pojęciami katolickimi, kiedy tymczasem drudzy wpadają w najgrubszy materjalizm".

Wielką rolę w filozofii moralno-społecznej Mickiewicza odegrał napoleonizm. Jest to najbardziej ciemny, a zarazem najmniej konsekwentny punkt w jego filozofji mesjanistycznej.

Dla Napoleona posiadał Mickiewicz przywiązanie uczuciowe od lat dzieciństwa. Jak tylu współczesnych, poeta widział w Napoleonie uosobienie haseł wolnościowych Rewolucji Francuskiej, które istotnie szerzył cesarz, dopóki nie stał się imperialistą. A jednak Mickiewicz nie spostrzegł tego, i spostrzec nie chciał.

Mickiewicz hołdował i nie hołdował bonapartyzmowi. Miał dla powrotu Bonapartych wiele sympatji, łączył z nimi idee wolnościowe, lecz równocześnie instynkt nakazywał mu ostrożność.

Gdy po wyborze na prezydenta Republiki Ludwik Napoleon przyjął delegację Polaków, Mickiewicz jej imieniem wypowiedział te ostrożne słowa: „Pańska popularność przynosi rządowi nową siłę . . . od życia publicznego będzie zależało posunąć działanie tej siły, tak daleko, jak daleko rozciągają się sympatje ludowe dla tego, co było prawdziwie postępowe w Rewolucji Francuskiej i prawdziwie bohaterskie w epoce Napoleońskiej".

Napoleonizm przechodził u Mickiewicza rozmaite nasilenia. U początku zgodnie z romantyczną teorją indywidualności, stoi słynne czterdzieści cztery, którego sam Mickiewicz dobrze nie rozumiał, w którym ogłosił jednak, że naród i ludzkość zbawi jednostka. Przez całe życie do tego proroctwa Mickiewicz przywiązywał wagę, uznał je za punkt zwrotny w swej działalności i wrócił doń raz jeszcze, właśnie wtedy, gdy mistycyzmem społeczno-politycznym umysł jego najsilniej był zajęty. W ostatnim wykładzie Literatury Słowiańskiej, po raz pierwszy zacytował sam siebie, właśnie owo proroctwo wybawiciela świata.

W artykule o Idei Napoleońskiej, rozróżniając wyraźnie napoleonizm od bonapartyzmu głosił Mickiewicz między innymi, że idea ta „nakłada na jednostki, jako pierwszy obowiązek, obowiązek stania się bohaterem (każdy w swojej sferze)". Stanowisko, które doprowadziło Nietschego do nadczłowieczeństwa, nie było więc obce Mickiewiczowi. Niebezpieczeństwa tego poglądu poeta nie dostrzegał.

Mimo wszelkich pozorów, Mickiewicz bonapartystą nie był. Napoleonizm, to była u Mickiewicza idea wolnościowa Francji, podająca rękę duchowi słowiańszczyzny.

Myśl była niedostatecznie jasno rozwinięta przez poetę i stanowi wskutek tego ten punkt jego programu, który nasuwa szereg wątpliwości. Racjonaliści szybko zorjentowali się, że Mickiewicz nie jest całkowicie konsekwentny i zarówno za jego życia, jak i w wiele lat po jego śmierci atakowali poetę za sympatję, jaką miał dla Napoleona. Wypomni mu ją w wiele lat później Stanisław Tarnowski i wypomni nie bez racji.

Jedno jest pewne. Mickiewicz nie widział w Napoleonie boga wojny — nie widział w nim groźnego imperialisty, jak np. Staszic. Jeśli hołdował napoleonizmowi, to rozumiał go głębiej, szlachetniej, nie jako wyraz siły czy przemocy. Widział w nim burzę, oczyszczającą świat z dusznych oparów.

W okresie Wiosny Ludów napoleonizm dzielił Mickiewicza od szczerych i głębokich republikanów, jak np. od Lamennais. Bo nietylko metoda myślenia Mickiewicza zaczęła w pewnej chwili razić francuskiego myśliciela, który jak wszyscy Francuzi żywił opór dla niejasnego i trudnego irracjonalizmu, dla proroczych i głośnych uniesień, dla tej namiętnej a gwałtownej agitacji. Szczery republikanin nie mógł darować Mickiewiczowi sympatji dla Napolena, sympatji, która wydawała się iść na rękę Bonapartym i ich powrotowi do władzy. Lamennais widział jasno — jak Hugo

— do czego drugie cesarstwo zaprowadzi Francję. Stąd obawiał się Mickiewicza, a nawet ganił go. On, który kiedyś pod jego wpływem i na jego wzór, pisał swe dzieła, rozszedł się z Mickiewiczem ostatecznie.

Z omawiania moralno-społecznej filozofji Mickiewicza zeszliśmy na tory polityczno-historyczne. Jest to konieczne, ponieważ poeta łączył przedziwnie filozofję z życiem, etykę z polityką, usiłując swój program narzucić otoczeniu. Dlatego przecie jest Mickiewicz poetą czynu i to odróżnia go od wielu współczesnych.

Że Mickiewicz przypuszczał, iż skieruje ówczesny socjalizm na drogi takie, jakie zamyślał, świadczy o tem, idea napoleońska, którą niezmordowanie forsował.

Jakiż był naprawdę cel Mickiewicza w tym krzewieniu napoleońskiego kultu? Czy istotnie były to tylko nierealne marzenia, rojenia niejasne, w które uczuciowa natura pchała Mickiewicza, czy może miał w tym Mickiewicz jakiś cel praktyczny? To drugie wydaje się trafniejsze i bliższe prawdy. Patrząc na renesans bonapartyzmu we Francji, wierzył Mickiewicz, że zarazem odżyją idee wolnościowe w Europie i że nastąpi koniec reakcji.

Lecz ważniejsze, że instynktem przewidywania wiedziony, który w Mickiewiczu istotnie rozwinięty był na skalę niespotykaną, rozumiał znaczenie, jakie kult napoleoński posiada dla Polski i Polaków. Lamennais myślał o Francji, myślał o przeobrażeniu jej wewnętrznym w duchu republikańskich doktryn. Mickiewicz, wyznając napoleonizm, myślał przede wszystkim o Polsce. Rozumiał, że Polakom trzeba dać hasło proste, łatwe, uczuciowe, trzeba podtrzymać legendę i ozłocić ją — wbrew wszelkiej doktrynie — nawet tej, którą sam wyznawał. Napoleon, to była walka o wolność, to były Legjony, to był maksymalny polski program polityczny, bezkompromisowy, który stawał się społeczeństwu wzorem na długi, długi okres jego historii. To była walka za granicami kraju o wolność ojczyzny, walka, w której Polacy tak celują.

“Pielgrzym polski powiada: Kto idzie za Wolnością, niech opuści ojczyznę, i odważy życie swoje. Bo kto siedzi w ojczyźnie i cierpi niewolę, aby zachował życie, ten straci ojczyznę i życie; a kto opuści ojczyznę, aby bronił Wolność z narażeniem życia swego, ten obroni ojczyznę i będzie żyć wiecznie.” W tych słowach zamknął poeta cel Wielkiej Emigracji, którą łączył z Francją i walką o wolność w jaką wierzył, że z niej wyjdzie.

Nie mógł więc Mickiewicz napoleonizmu porzucić. Gdyby to uczynił, byłby może jego system moralno-społeczny konsekwentniejszym, pełniejszym ale stwierdzić to trzeba, umniejszyłby w społeczeństwie polskim jedną z podstawowych wiar. Tego uczynić nie chciał.

Katolicy i prawicowi badacze twórczości Mickiewicza przedstawiali jego mistycyzm jako chorobę umysłową — nie inaczej jednak postąpili jego lewicowi wielbiciele. Ich zdaniem umysł Mickiewicza zajęty mistycyzmem „chorował wskutek reakcji — uzdrowiła go rewolucja”. Oznaką tego uzdrowienia miał być program socjalny, socjalistyczny jak chcą niektórzy, do którego przystał.

Społeczny radykalizm Mickiewicza nie jest po dziś dzień zbadany w sposób wyczerpujący źródłowo. Artykuły Mickiewicza w Trybunie Ludów (1849) przyjęto do wydań jego pism, kierując się wskazówkami syna. Wyrwano je z całości wydawnictwa, co nie wydaje się być uzasadnione metodycznie, bo należało rozważyć i choćby streścić, każdy numer Trybuny. Związane one ściśle z Mickiewiczem, z jego poglądami. Był przecie głównym redaktorem pisma, kierował nim, od Ksawerego Branickiego zyskawszy znaczne fundusze.

W dziejach myśli polskiej pozostanie Trybuna Ludów najśmielszą próbą łączenia sprawy polskiej ze społecznymi ruchami europejskimi w XIX wieku, zostanie także (aż do wystąpienia Paderewskiego) najśmielszą próbą propagandy politycznej polskiej, wśród szerokich mas na Zachodzie.

Ogłosił się Mickiewicz socjalistą. Nie wahał się tak nazwać w okresie, kiedy miano socjalisty było hańbiące. Dla wielu dzisiejszych jego wielbicieli socjalizm Mickiewicza utożsamia się z pojęciem ruchu partyjnego w ramach kodyfikacji Marksa. Tymczasem nic bardziej odległego od marksizmu, jak socjalizm Mickiewicza, który heglizmu nie uznawał, który materializmem gardził, który swój program społeczny oparł na etyce chrześcijańskiej, na „Kościele, stróżu słowa". Socjalizm Mickiewicza nie miał być ruchem ekonomicznie klasowym, choć poeta zwalczał klasy posiadające, ale przede wszystkim ruchem o silnym zabarwieniu narodowym, koncepcją narodowo-społeczną. Nie Marksowi czy Engelsowi, ani francuskim wyznawcom socjalizmu w rodzaju Prudhona, ani rewolucjonistom rosyjskim jak Herzen czy Bakunin jest bliskim Mickiewicz. Porównywany powinien być jego program z radykalnym ruchem patriotycznym włoskim, wśród którego Mazzini odgrywał rolę tak wybitną.

Na pierwszy plan w socjalizmie Mickiewicza wybija się bowiem lud-naród-narodowość. Lecz nie nacjonalistycznie pojęte, jak to znów z innej strony sugerują różni biografowie poety. Zarówno imperialistyczny nacjonalizm jak kosmopolityczny materializm były Mickiewiczowi obce. „W swej wyłącznej myśli o przyszłym, idealnym szczęściu ludzkości zapomnieli socjaliści, podobnie jak zwolennicy umowy społecznej, o warunkach politycznego bytu narodowego . . . Nie liczono się z narodowościami . . . socjalizm, aby stać się wszechludzkim, powinien wprzód stać się narodowym. . . .".

Nie zaprzeczając więc bliskim związkom Mickiewicza z myślą socjalistyczną XIX wieku, stwierdzić trzeba, że jednak od myśli tej różnił się poeta znacznie, że pozostał sobą. Stało się to dlatego, że nie zapomniał nigdy o filozofji mistycznej, którą przeżył, którą przepracował. Jego społeczne poglądy, jakie nie miejsce tu szkicować, nieraz bardzo radykalne, gdy naprzykład o sprawę chłopską idzie, wyprzedzają na wiele lat myśl polską.

Dlaczegóż to nagle Mickiewicz „stał się" socjalistą? Stoimy znowu przed podobnym zjawiskiem, co jego towianizm. Mickiewicz skłaniał się do socjalizmu, już w okresie Pana Tadeusza, studiując Saint-Simona i jego teorje i ogłaszając artykuły w Pielgrzymie Polskim.

W okresie Wiosny Ludów przygotowany i pogłębiony wewnętrznie przez mistycyzm, jeśli stanął na czele Legionu oraz potem redagował radykalną Trybunę, to dlatego, że jak uprzednio przez towianizm, tak teraz przez socjalizm chciał oddziałać na myśl polską, więcej — na myśl europejską. Użył Mickiewicz socjalizmu dla swoich celów, lecz nie dał się użyć przez socjalizm. Na to był zbyt silną indywidualnością.

Tak ukształcony program Mickiewicza w latach 1840—1850 (w którym to okresie mieści się i epizod towianizmu) zawierał i jasną myśl poznawczą i etykę i myśl polityczno-społeczną.

Słabą stroną tego programu pozostanie estetyka. Ta najmniej przez Mickiewicza jest rozbudowana, szukać jej trzeba w jego pismach, w wykładach z pewnym trudem. To pewne, że piękna nie uważał za pojęcie czy ideę niezależnie bytującą od dobra i Boga. Że także nie uważał by zbawić ono mogło świat swą wewnętrzną siłą. On, artysta najwyższej miary nie był czcicielem piękna. Inaczej Słowacki. I to ich różniło.

Główna teza programu Mickiewicza wyrażała się w przekonaniu, że Bóg pozwala odgadnąć swą wolę, że ludzkość się doskonali, dąży do wyzwolenia owego uniwersalnego ducha słowiańszczyzny, wśród której Polska najdoskonalsza jest dzięki cierpieniu i ofierze (mesjanizm). Duch ten, duch Boży powinien opanować cały świat. Jego przyjście oznajmiają rozmaite znaki na niebie i ziemi, (metafizycznie i materjalistycznie pojęte), przedewszystkim jednak wyciąga on ramiona na Zachód, do Francji (program polityczny).

Z kolei przychodzi nam zapytać jaką jest rola, którą w głoszeniu tych wszystkich prawd przypisał Mickiewicz sobie? Odpowiedź na to pytanie jest zasadnicza i dla niej potrzebnym było omówienie głównych poglądów filozoficznych poety, dla niej umniejszenie znaczenia Towiańskiego, u którego współcześni sądzili, że Mickiewicz jest w niewoli duchowej.

Miejsce, jakie wyznaczył dla siebie Mickiewicz jest najwyższe. Przy nim byli małymi wszyscy inni, którym Mickiewicz jedynie hołd oddawał, przede wszystkim "mistrz" t. j. Towiański. Głoszenie swych idei, uważał Mickiewicz za "zadanie swego życia"; w powołaniu na katedrę wyczytał "znak czasu"; działalność swą traktował jako "urząd słowa"; dlatego przemawiał w natchnieniu, a nie przygotowywał swych mów; zatarł w sobie "już oddawna" uczucie, któreby mogło go dzielić od jego pobratymców słowiańskich i "złożył z siebie swą narodowość i plemienność," czyli objął swym spojrzeniem całą ludzkość. Bo On, Mickiewicz, On Konrad, zamknięty kiedyś w celi jak św. Jan na puszczy, otrzymał rząd dusz, którego zażądał od Boga. On sam gadał z Panem, bez pośredników, bez żadnych kapłanów czy mistrzów. Był prorokiem i stąd czerpał moc.

Lecz najlepiej oddajmy głos Jemu. Powiedział: "Z jakimże dowodem mam wystąpić, którybу był główny i zawierał treść wszystkich innych? Dowód ten przynoszę w sobie samym, w mojej osobie, w mojej duszy, w moim sumieniu. Nie znam nigdzie w świecie drugiej takiej publiczności, do którejby w ten sposób przemawiać można było. Francuzi tylko są zdolni rozumieć, że mowa, ton, głos są to rzeczy nie zawodzące nigdy, że dźwięk głosu jest dowodem tego co się mówi. Powinienem więc z wnijściem w samego siebie zapytać moich słuchaczy: czy czujecie, że każde moje słowo jest wydobyte z mojego wnętrza? Skoro duch wasz odpowie wam, "tak," wtedy będziecie obowiązani natężyć całą waszą uwagę, ja zaś użyję wszystkich sposobów, żeby ją wzbudzać i utrzymywać. Chociażby mi przyszło obrazić nawyknienia moich słuchaczy, chociażbym musiał wreszcie na gwałt krzyczyć, będę krzyczał. Krzyki te nie będą moimi własnymi. Poświęciłem osobistość moją: wydzierają się one z głębi ducha wielkiego ludu. Od samego dna jego wszystkich podań, przebiwszy się przez duch mój, upadną tu pomiędzy wami, jak strzały, dymiące się jeszcze krwią i znojem."

Otóż tak zwarty i jednolity system filozoficzny i społeczny nie mógł być żadnym odbiciem, a człowiek, co poglądy swoje wygłaszał z taką siłą nie mógł być niczyim uczniem. Cytowany ustęp pochodzi z prelekcji paryskich. Dodaję to dla ścisłości i zaznaczam, że wtedy Mickiewicz związał się z Towiańskim. Ale wygłaszając tego rodzaju pogląd mówił o sobie to, w co wierzył już oddawna, w co wierzył także i potem, gdy nauką Towiańskiego przestał się już interesować. W okresie Trybuny Ludów przerzucił się Mickiewicz do haseł socjalnych, w duchu nie materjalistycznie pojętych rozwiązań społecznych.

Wpływ Mickiewicza był ogromny, jest ogromny na myśl polską. Istotnie z głębi ducha naszego narodu, z jego wzniesień i doświadczeń zbudował on swój program to prawda, że w romantycznym porywie epoki. Posiadał Mickiewicz w niemniejszym stopniu, jak geniusz artyzmu, także i geniusz wystąpienia. To była siła sprawiająca, że zyskiwał sobie zwolenników i przez nich odziaływał.

Następujące punkty programu Mickiewicza należy wyodrębnić jako zasadnicze dla dalszych rozważań: 1. Wiara w misję narodu polskiego jako przedstawiciela ducha słowiańszczyzny; 2. Związek wolności narodów ze sprawami społecznymi; 3. Napoleonizm, czyli Francja wyznająca wolnościowy dla ludów program polityczny; 4. Konieczność stosowania zawsze i wszędzie moralności chrześcijańskiej: 5. Rząd dusz nad narodem jednego człowieka, który otrzyma w tym celu prawa i dary z zewnątrz,

przyczym należy dodać, że w danej chwili Mickiewicz widział na tym miejscu siebie.

Idea " rządu dusz " nie była dla Mickiewicza literackim frazesem bo Improwizacja Konrada była najgłębszym jego przeżyciem i przeobrażeniem. Ta myśl, iż artysta może stanąć na czele narodu, prowadzić go w przyszłość romantyczną, porywającą, na wyobraźnię mas oddziałującą, zrodziła się właśnie w Improwizacji Konrada i tu jej początek. Rząd dusz Mickiewicza był władzą i nosił jej znamiona. Był władzą moralną, więc tym silniejszą. Ten, który ją zdobył musiał jej bronić przed zakusami innych, bo takie jest prawo życia.

I bronił jej Mickiewicz i stąd on, pielgrzym bez ziemi, bez domu, bez siły materialnej występował jak prorok, jak wódz, jak monarcha. Mówił imieniem Polski i słuchano go. Słuchano i zwalczano.

A gdy o walce mowa i o dzierżeniu owego rządu nad myślą polską, nie można choćby paru słów nie poświęcić charakterowi Mickiewicza, lub ściślej tym stronom jego charakteru, które z posiadaną władzą się łączyły.

Wśród głosów, które współcześni cudzoziemcy o Mickiewiczu pozostawili, nie brak zdań najwyższego uwielbienia. Mazzini w 1838 r. głosił: „dla nas Mickiewicz jest więcej, aniżeli poetą, jest on prorokiem, jak wielcy prorocy Izraela, z którymi pod wielu względami ma podobieństwo"; Cavour porównywał poetę do Homera i Danta; Georges Sand wielkość jego stawiała ponad wielkość Goethego; Polacy oddawali mu cześć niemal religijną; raziło to trzeźwy umysł Herzena; był zdumiony zachowaniem się wobec niego Polaków: „zbliżali się do jego osoby jak mnisi do przeora, płaszcząc się przed nim, malejąc wobec niego; niektórzy z nich całowali go w ramię. On był przyzwyczajony do tych oznak uwielbienia i przyjmował je z pewnym niedbalstwem".

Był Mickiewicz człowiekiem najwyższej szlachetności wewnętrznej, jak to bywają wielcy artyści, czujący swój geniusz. Był kapłanem idei i dla niej wiele poświęcił w swym życiu, piękno rzucił nawet, które mu nieśmiertelność zapewniło. Ma prawo do czci głębokiej, do darowania mu różnych błędów czy grzechów, lecz to bynajmniej nie oznacza, by o nich historyk milczeć musiał, by fałszywymi a ckliwymi kolorami malował jego portret.

Od chwili gdy uczuł że rządzi myślą polską, wzmogło się w Mickiewiczu poczucie godności. Studiując wspomienia o Mickiewiczu widać jak nie znosił on sprzeciwu, jak do zrównania ze sobą nikogo nie dopuszczał. Wygłaszał swe sądy autorytatywnie, zagadywał się nieraz, a także pozował, co ludzi trzeźwych, nie umiejących z artystami przestawać, irytowało. Pamiętniki Henryka Niekwaskiego oraz wiele innych wspomnień o Mickiewiczu nie pod kątem szkoły i młodzieży pisanych ale poprostu, szczerze, odsłaniają nie jedną z ludzkich słabości Mickiewicza. Wśród nich zawziętość w gniewie, nierozumienie innych, stanowi cechę bardzo charakterystyczną.

Stosunek do Słowackiego jest najlepszym przykładem, ilustracją najjaśniejszą tej strony charakteru Mickiewicza, którą nazwałbym litewską, wskutek elementu uporu, jaki w niej występuje. Porywy dobrego serca, wielekroć u Mickiewicza występujące w stosunku do ludzi drugorzędnych, nie przeszkadzały bynajmniej, że z mało szlachetną zaciętością zwalczał Mickiewicz konkurenta, który obok niego wyrósł. Jakżesz innym, o ileż szlachetniejszym i głębszym był stosunek Goethego do Schillera mimo, że przyjaciele starali się również obu poróżnić donosząc im rozmaite plotki. Mickiewicz nie zawsze bywał wdzięczny, a raczej wdzięczny bywał rzadko. Wobec pamięci dobrej Klaudii Potockiej, której przecie tyle zawdzięczał, nie umiał zdobyć się na należny akt pamięci. Przykładów tego rodzaju wad i przywar, wśród których zapatrzenie w samego siebie i w kulturę, którą reprezentował, a niedostrzeganie zalet u innych, ich wewnętrznej głębi oraz lekceważenie kultury zachodniej i cywilizacji zachodniej i jej

życiowych skutków (stosunek do Anglii)—przykładów tego rodzaju, możnaby przytoczyć bardzo wiele z życia Mickiewicza.

Nie piszę tego bynajmniej, aby obniżać zalety charakteru i genjalne właściwości Mickiewicza. Natomiast niepodobna o nich nie wspomnieć, bo cechują one zazwyczaj wielkich artystów, którzy w ten sposób znajdują podnietę lub obronę swej twórczości. Żywoty Vasari'ego dostarczają pod tym względem niezwykle bogatego, a niemal zawsze pokrewnego materjału z psychiki artystów włoskiego renesansu. Przywary Mickiewicza nie były ani odosobnione, ani nadzwyczajne. Geniusz, otoczenie, okoliczności, wreszcie przekonanie że stoi ponad ogółem społeczeństwa, że temu społeczeństwu przoduje, rozbudzały w Mickiewiczu te właściwości charakteru.

Możnaby na temat poczucia misji u poetów i artystów snuć wiele porównań i wniosków. Zaprowadziłoby to nas zbyt daleko, a odwiodło od ostatecznego stwierdzenia, że u wszystkich tych Polaków, którzy, podobnie jak Mickiewicz, sięgnęli po rząd dusz i zapanowali nad narodem, można odnaleźć pokrewne cechy. Przywary to,dopóki w dziedzinie artystycznej mamy z nimi do czynienia, grzechy to ciężkie i ciężkie ich skutki, gdy złączą się z piastowaniem władzy państwowej.

Rządu dusz, zdobytego przez Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego Mickiewicz już z ręki nie wypuścił. Jego, w znacznej mierze, zasługą jest, że fala emigracyjna utrzymała się na tak wysokim poziomie. On to sprawił działalnością swą, że pogłębiła się duchowo, że nigdy nie straciła nadziei, wbrew wszystkim, ciągle powtarzającym się zawodom. Dzięki Mickiewiczowi w znacznej mierze, Wielka Emigracja stała się chlubą narodu polskiego i wywarła tak wielki wpływ, mimo, że oddzielały ją od kraju obce państwa i granice. Wysunęła się też na czoło wolnościowych ruchów w okresie Wiosny Ludów.

System filozoficzno-moralny Mickiewicza wytrzymał próbę czasu. Już choćby to, że w naszych oczach świat spostrzegł, iż materializm społeczny konsekwentnie stosowany doprowadza do wynaturzeń totalizmów, że bez moralności chrześcijańskiej niemożliwym obejść się nawet tym radykalnym kierunkom, które ją kiedyś lekceważyły — oznacza, iż filozofji Mickiewicza i haseł, które głosił, Polakom do lamusa myśli narodowej składać nie wolno.

Od czasów Mickiewicza, ilekroć Polacy występują z wolnościowym programem politycznym ludów, wtedy posiew jego myśli można rozpoznać lub wyczuć. Mickiewicz stoi u początku tych wszystkich deklaracyj, które składają z niesłabnącą wiarą i emigracyjne koła polskie i narodowe rządy powstańcze następnych pokoleń.

Opanowanie Emigracji ideą, stało się pierwszym etapem w pochodzie mistycznej myśli polskiej.

Artykuł niniejszy, jak również artykuł Karola Estreichera zamieszczony w poprzednim numerze Nowej Polski, są rozdziałami z książki tegoż autora p.t. "Drogi poezji i bezdroża życia," która ukaże się niebawem w druku.

ADAM PRAGIER.

POLSKIE CELE WOJNY.

Przy rekonstrukcji zasady bezpieczeństwa zbiorowego po zakończeniu drugiej wojny światowej, trzeba będzie wziąć pod uwagę przede wszystkim okoliczność, że mącicielem tego bezpieczeństwa są Niemcy i że warunkiem wstępnym wszystkich w tej sprawie działań musi być uniemożliwienie państwu niemieckiemu podjęcia nowej wojny napastniczej.

Jednym z warunków obrony przed zaborczością państwa i narodu niemieckiego musi być takie ukształtowanie granic Niemiec, które utrudni agresję i da sąsiednim państwom zagrożonym możność skutecznej obrony.

Zaborczość żywiołu niemieckiego zwraca się wytrwale od tysiąca lat ku wschodowi, stąd najbardziej wystawione na niebezpieczeństwo są dwa państwa zachodnio-słowiańskie: Polska i Czechosłowacja.

Granica zachodnia Polski musi być przeto tak ukształtowana i tak strategicznie związana z granicą zachodnią i północną Czechosłowacji, by stanowiła wał ochronny dla całej Europy Wschodniej przed naciskiem niemieckim. Bezpieczeństwo obu tych krajów wymaga przede wszystkim zlikwidowania wysuniętej daleko na północ i wschód enklawy niemieckiej, położonej między Polską a Litwą. Prusy Wschodnie, najdalej na północo-wschód wysunięty bastion niemiecki, są w istocie anachroniczną pozostałością dawnej kolonii krzyżackiej. Ten "Ordensland," odcięty od swego naturalnego zaplecza polskiego i litewskiego, jest w swojej strukturze gospodarczej i demograficznej nadal, jedynym w Europie krajem o charakterze prawdziwej kolonii. Ma nawet i tę cechę kolonii, uciążliwej dla swego kraju macierzystego, że wymaga od niego znacznych nakładów kapitałowych, bez szans pomyślnego rozwoju. Ponadto musi być przywrócony Gdańskowi jego naturalny od wieków charakter portu polskiego. W okresie między dwiema wojnami światowymi Gdańsk rozwijał się znakomicie w tych okresach, w których wpływy destrukcyjne Niemiec nie przeszkadzały mu w pełnieniu jego właściwej roli gospodarczej. Przeważnie jednak Gdańsk był narzędziem knowań Rzeszy Niemieckiej i służył raczej celom politycznym Niemiec niż gospodarstwu Polski. Sytuacja taka więcej powtórzyć się nie może. Polska będzie musiała mieć możność korzystania z własnego brzegu morskiego, w rozmiarze wystarczającym zarówno dla niej samej, jak dla innych państw Europy środkowo-wschodniej, z którymi będzie prowadziła wspólne gospodarstwo. Zlikwidowanie enklawy wschodnio-pruskiej zwiększy bezpieczeństwo Polski przez skrócenie granicy dotychczasowej polsko-niemieckiej z 2033 km do 1263 km. Dla porównania godzi się wspomnieć, że granica francusko-niemiecka wynosi 350 km, z czego więcej niż połowa przypada na bieg Renu. Konieczne będzie również dalsze skrócenie granicy polsko-niemieckiej w kierunku od północy ku południowi, w sposób odpowiadający wymaganiom obrony, przyczym na południowym zachodzie istnieje potrzeba znacznego zmniejszenia klina niemieckiego, wrzynającego się między Polskę i Czechosłowację. Klin ten, jak okazało pierwsze stadium obecnej wojny, odegrał decydującą rolę, zarówno przy rozbiorze Czechosłowacji, jak w ataku na Polskę. Stępienie tego klina pozwoli ponownie na złączenie całego Śląska w jednym obszarze państwowym. Połączenie w obrębie Polski Śląska Opolskiego z dotychczasowym województwem śląskim przyczyni się do zabezpieczenia pokoju także i przez to, że zmniejszy rozmiar górnictwa i przemysłu ciężkiego w obrębie Rzeszy Niemieckiej.

Od wschodu uzyskała Polska bezpieczną, jak się zdawało, granicę z Rosją Sowiecką w Traktacie Ryskim z dn. 18 marca 1921 r. Granica ta biegnie coprawda w terenie dla obrony niedogodnym, gdyż pozbawionym przeszkód

naturalnych, jest jednak, dzięki pionowemu biegowi od północy do południa, najkrótsza z możliwych. Jest ona dziełem porozumienia między oboma państwami. Pomyślana była przez swoich twórców sowieckich i polskich—jako warunek i założenie przyszłej pokojowej sąsiedzkiej współpracy. Przyjmując tę granicę w sytuacji militarnie dla siebie dogodnej, Polska zrzekła się dobrowolnie możliwych korzyści, wynikających z oświadczenia rosyjskiej Rady Komisarzy Ludowych z dn. 9 kwietnia 1918 r., które unieważniło wszystkie traktaty rozbiorów Polski i przez to uznało prawne roszczenia Polski do granicy z r. 1772, wysuniętej bardzo znacznie na wschód od granicy Traktatu Ryskiego. Polska zrzekła się przez to około 300 tys. km. kw. ziem, które w okresie między pierwszym rozbiorem Polski a Traktatem Ryskim utraciły były charakter polski; zyskała za to większą zwartość i krótszą granicę.

Rozwój stosunków politycznych w Europie środkowo-wschodniej cierpiał bardzo nad tym, że między Polską a Rosją Sowiecką nie doszło w okresie między dwiema wojnami światowymi do przyjaznej współpracy, i to nie tylko w sprawach wynikających z sąsiedztwa, ale i w polityce ogólnej. Trzeba to przypisać nieufności istniejącej z obu stron. Rosja obawiała się w tym czasie, że Polska zajmie czołowe miejsce w ataku na nią przygotowywanym, jak się Rosji zdawało, przez zachodnie mocarstwa kapitalistyczne. Doświadczenie dowiodło dziś w sposób przekonywający, że obawa ta była bezpodstawna. Ze strony Polski nieufność budziły częste objawy interwencji Kominternu w wewnętrzne sprawy polskie, które przybierały nieraz charakter dywersji oraz powtarzające się raz po raz epizody ukrytej lub jawnej kooperacji Rosji z Niemcami. Że nieufność ta nie była bezzasadna, dowodzi tego agresja Rosji na Polskę dnia 17 września 1939 r. Agresja ta dokonana właśnie w toku jednego z takich epizodów, dowodzi zarazem—w dalszym rozwoju zdarzeń—że współpraca Rosji z Niemcami nie jest dla Rosji korzystna. W każdym razie, w zaostrzeniach stosunków polsko-sowieckich ukształtowanie granicy między obu państwami nie odgrywało nigdy żadnej roli. Podobnie i zagadnienie mniejszości narodowej na polskich ziemiach wschodnich nie stanowiło nigdy między obu państwami kwestii spornej. Dopiero w rozkazie do wojsk, wydanym w chwili najścia na ziemie polskie, Rosja Sowiecka po raz pierwszy poruszyła tę sprawę. A potem dnia 31 października 1939 r., a więc już po agresji na Polskę, premier Mołotow mówił znów o tym, że rząd sowiecki "w chwili zupełnego załamania się państwa polskiego musiał wyciągnąć rękę ku pomocy braciom Ukraińcom i Białorusinom, zamieszkałym na obszarach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi." Przetłumaczone na prozę przyzwoitych ludzi, słowa te oznaczają, że Rosja nie chciała w tym czasie dopuścić nowego przyjaciela niemieckiego zbyt blisko do swoich rdzennych obszarów. Znamienne jest, że premier Mołotow nie wspomniał wcale o ludności rosyjskiej. Słusznie tak uczynił, gdyż w całej Polsce liczba tej ludności po Traktacie Ryskim nie dosięgała 150 tys.

Oddzielne zagadnienie stanowi sprawa Bałtyku. Polska zainteresowana jest nie tylko w dostępie do tego morza, który ma służyć jej oraz innym państwom bliżej z nią związanym, lecz jest niemniej zainteresowana w bezpieczeństwie wyjść z Bałtyku na Morze Północne i Atlantyk. Odpowiednio ukształtowane polskie wybrzeże morskie zapewni Polsce, obok Rosji, Niemiec i innych przyległych państw, właściwe miejsce na Bałtyku. Pamiętać jednak trzeba, że nad cieśninami stanowiącymi wyjście z tego morza panują Niemcy, bądź bezpośrednio, bądź pośrednio. Dania musi być wrazie wojny uważana w tych warunkach zawsze za domenę panowania niemieckiego. Skagerrak i Kattegat są dziś cieśninami niemieckimi. Zmieni się ten stan rzeczy dopiero wtedy, gdy wyjścia z Bałtyku będą zabezpieczone przez bazy, strzegące je od przewagi niemieckiej. W szczególności Kanał Kiloński wraz z odpowiednimi pasami ziemi po obu stronach musi się

znaleźć pod bezpośrednią władzą najsilniejszego w Europie państwa morskiego—W. Brytanii. Jest rzeczą podrzędną, czy władza ta będzie wykonywana w drodze mandatu międzynarodowego, czy w innej formie prawnej. Bezpośrednie bezpieczeństwo polskiego wybrzeża na Bałtyku musi być ponadto umocnione przez bazę polską na jednej z wysp tego morza. Takie same bazy na innych wyspach bałtyckich musi uzyskać W. Brytania.

* * *

Utrudnienie podjęcia przez Niemcy nowej wojny napastniczej wymaga trwałego rozbrojenia Niemiec, przez zupełne zniesienie ich potencjału wojennego. Zadanie to jest trudne i skomplikowane. W postanowieniach Traktatu Wersalskiego oraz w wykonaniu tego traktatu znaleźć można wskazania raczej negatywne, t.zn. czego czynić nie należy.

Traktat Wersalski zawiera postanowienia dla Niemiec na pozór niedogodne. W istocie jednak, na skutek przesadnego przestrzegania wyłącznie zasady etnograficznej, zaniedbano zupełnie stronę strategiczną nowych granic Niemiec, co pozostawiło w ich ręku Prusy Wschodnie i klin śląski. Dało to Niemcom możność wywierania od samego początku nacisku na Polskę i Czechosłowację, a przez to zapewniło im swobodę ruchów na granicy zachodniej, osłabiając sojusze Francji z tymi dwomi krajami.

W dziedzinie gospodarczej Traktat Wersalski pozostawił za to Niemcom pełną swobodę rozwoju i w niczym nie przeszkodził przywróceniu ich potencjału wojennego, mającego służyć wojnie odwetowej. Zniszczenie sprzętu wojennego oraz fabryk służących do jego wytwarzania nie zapobiegły późniejszemu odtworzeniu, zarówno tego sprzętu jak i fabryk.

Wynik wojny obecnej musi przynieść całkowitą destrukcję potencjału wojennego niemieckiego, nie tylko na okres przejściowy po wojnie, lecz nastałe. Oczywiście będzie to wymagało organicznej przebudowy w wielu ważnych działach gospodarstwa niemieckiego oraz pewnych zmian sytuacji Niemiec na rynkach światowych. Nie wystarczy samo zniesienie armii, lotnictwa i floty wojennej niemieckiej, oraz zniszczenie lub wydanie w ręce państw zwycięskich sprzętu wojennego Rzeszy. Technika nowoczesna daje państwom uprzemysłowionym możność szybkiej odbudowy środków uzbrojenia, i to tym łatwiej, im bardziej rozwinięty jest przemysł metalurgiczny, a w szczególności produkcja stali szlachetnych i metali lekkich. Przemysł niemiecki musi przeto całkowicie utracić swoją zdolność produkcyjną w zakresie elektrostali i metali lekkich, w znacznej zaś części w zakresie produkcji stali zwykłej, obrabiarek, a także w produkcji chemicznej. Przeprowadzenie odpowiednich zarządzeń stworzy okres bezpieczeństwa, trwający lat 20-25, który umożliwi spokojną odbudowę zniszczonego świata, a w sąsiedztwie Niemiec, w obszarze między granicą niemiecką a sowiecką, pozwoli na uprzemysłowienie zaniedbanych krajów Europy środkowej, celem wyrównania poziomów między ich potencjałem gospodarczym a potencjałem niemieckim.

Zawodne byłyby nadzieje na zupełne odprzemysłowienie Niemiec i przeobrażenie ich na państwo agrarne. Stąd nasuwa się potrzeba zastąpienia skasowanych lub osłabionych działów przemysłu niemieckiego, przez stworzenie, względnie rozwinięcie innych działów, i to takich mianowicie, które bądź wcale, bądź niełatwo mogą służyć celom wojennym. Wymagać to będzie w tym zakresie światowego podziału pracy, gdyż niektóre inne państwa, w szczególności te, które na rynkach światowych zastąpią Niemcy w przemyśle ciężkim, maszynowym i chemicznym, będą musiały liczyć się ze wzrostem produkcji niemieckiej i z jej naciskiem na rynki światowe w innych działach przemysłu. Wzbogaci to niewątpliwie problematykę światowego podziału pracy. Istniejący dziś, naturalny niejako światowy podział pracy, wynikający z monopolistycznego w znacznej mierze charakteru produkcji surowców w różnych częściach

świata, będzie musiał być uzupełniony, przynajmniej w niektórych działach, przez podział pracy w dziedzinie produkcji przemysłowej. Z pewnością przypadnie Niemcom w tym podziale pracy szeroki zakres przemysłów przetwórczych, nie nasuwających wątpliwości z punktu widzenia bezpieczeństwa świata.

Niemcy umiały sobie stworzyć sytuację gospodarczą doprawdy wyjątkową. Stały się dla Europy środkowej i wschodniej niemal wyłącznym w zakresie importu pośrednikiem z rynków światowych. Niezależnie od tego, występując na rynkach światowych, jako eksporter umiały się od nich same w znacznej mierze uniezależnić. Potrafiły mianowicie stać się wielkim eksporterem swoich własnych towarów w Europie środkowej i wschodniej, i jednocześnie narzucić państwom położonym w tej strefie, dostawę surowców, potrzebnych dla produkcji niemieckiej. Stąd właśnie wynika chwilowe zaniedbanie tej strefy pod względem rozwoju przemysłu. Dawało ono Niemcom swobodę rozwijania swego własnego gospodarstwa, przy małym tylko stopniu zależności od importu zamorskiego, i jednocześnie ułatwiało im opanowanie Europy środkowej i południowo-wschodniej, zarówno pod względem gospodarczym jak politycznym.

Zmuszenie Niemiec po wojnie do eksportu ich przemysłów przetwórczych, opartych na surowcach, sprowadzanych nie z wasalnych państw europejskich, lecz z odległych kontynentów zamorskich, wprowadzi Niemcy w obręb kooperacji światowej, na równych z innymi prawach i bez przywileju politycznego. Z drugiej strony, rozwój przemysłu w krajach środkowo i wschodnio-europejskich, da tym krajom możność podjęcia żywszej i bezpośredniej wymiany gospodarczej z państwami, które zastąpią Niemcy w wywozie na dalsze rynki europejskie i światowe. Codzienne doświadczenie wskazuje, że mylny jest pogląd, jakoby najlepszymi odbiorcami krajów przemysłowych były kraje rolnicze. W krajach uprzemysłowionych dochód narodowy jest niewątpliwie o wiele wyższy niż w krajach rolniczych, a to daje im możność podniesienia spożycia towarów obcych. Dlatego spodziewać się należy, że uprzemysłowienie Europy środkowo-wschodniej nie tylko okaże się niezbędnym czynnikiem uzupełniającym przestawienie struktury przemysłu niemieckiego, ale w dalszym następstwie podniesie na kontynencie Europy spożycie towarów ze wszystkich innych krajów przemysłowych, a także z Niemiec.

* * *

Ze sprawą przestawienia struktury gospodarstwa niemieckiego oraz powiązania Niemiec z rynkami światowymi łączy się sprawa odszkodowań wojennych. Sprawa ta domaga się pilnie wyjaśnienia i uporządkowania pojęciowego. Traktatowi Wersalskiemu przyświecała w tej dziedzinie myśl zaczerpnięta ze sfery pojęć cywilistycznych. Przywiązywano wielką wagę do ustalenia w traktacie winy Niemiec za wywołanie wojny. Z tej winy wyprowadzono następnie wniosek, że Niemcy, skoro wywołały wojnę w sposób umyślny i wyrządziły przez to szkodę innym państwom, winny tę szkodę wynagrodzić. Wynagrodzenie to—znowu zgodnie z pojęciami prawa cywilnego—miało rozmiarem swoim równać się wysokości zrządzonych szkód. Przez długie miesiące obliczano te szkody, a gdy wreszcie osiągnięto sumę globalną, obejmującą wszystkie szkody państw zwycięskich, Lloyd George wprowadził jeszcze nową pozycję : renty dla inwalidów wojennych. Zapomniano przy tym, że zupełnie odmienna jest natura ekonomiczna wynagrodzenia za szkodę, którą ma zapłacić sprawca rozbicia szyby, od wynagrodzenia, które ma zapłacić sprawca rozbicia części świata. To ostatnie z własnych środków sprawcy szkody w całości w ogóle nie może być zapłacone.

Narzucenie Niemcom znacznych odszkodowań wojennych, płatnych w dewizach, przyczyniło się w następstwie do całkiem paradoksalnego rezultatu, do uchylenia się Niemiec od wszelkich wogóle klauzul gospodarczych.

Niemcy ogłosiły—zgodnie z pojęciami prawa cywilnego, które przyświecały twórcom Traktatu Wersalskiego, że nałożono na nie—" świadczenie niemożliwe do spełnienia," które nie powoduje zobowiązania spełnienia. Jednocześnie pod naciskiem tych odszkodowań Niemcy miały możność bardzo znacznego rozwinięcia swego eksportu i wystąpienia na rynkach obcych jako konkurent swoich zwycięzców. Wzmogło to ich pozycję do takiego stopnia, że po pewnym czasie mogły sobie pozwolić na skuteczne opieranie się płaceniu wszelkich wogóle świadczeń. Po niewczasie dopiero przekonali się twórcy Traktatu Wersalskiego, że pokonany nieprzyjaciel, im łatwiej może się zdobyć na płacenie odszkodowań, tym więcej ma też sił by móc się uchylić od zapłaty. Ubocznymi zjawiskami tego stanu rzeczy były znaczne kredyty amerykańskie, a nawet francuskie, dawane na uruchomienie gospodarstwa niemieckiego, których Niemcy także nie zwróciły wierzycielom oraz najpierw ukryta, a potem już jawna odbudowa niemieckiego przemysłu wojennego.

Sens moralny przebiegu sprawy odszkodowań, związanych z pierwszą wojną światową jest oczywisty. Błędów poczynionych w tej sprawie żadną miarą nie można powtarzać. Stąd myśl polityczna i ekonomiczna polska, pracująca nad tymi zagadnieniami, poddała całą tę sprawę gruntownej rewizji, zdążając do znalezienia rozwiązań opartych na realnej ocenie sytuacji. Rozwiązania te, śmiałe w założeniu i nieobciążone złogami wspomnień historycznych, zdążają do takiego ukształtowania sprawy odszkodowań, by jednocześnie mogły one służyć na pokrycie szkód zrządzonych przez wojnę w państwach zwycięskich, oraz by zapobiegały skutecznie odtworzeniu potencjału wojennego niemieckiego.

Odszkodowania, a raczej świadczenia, pobrane od państw pokonanych muszą być tym razem traktowane w oderwaniu od rzeczywistej wysokości szkód zrządzonych przez nie. Za to, w szczególności w odniesieniu do Niemiec, jak najściślejszy musi być ich związek ze sprawą przestawienia struktury gospodarczej państwa pokonanego oraz ze sprawą trwałego zniszczenia jego potencjału wojennego. Odszkodowania wojenne muszą być teraz rozumiane głównie jako pojęcie międzynarodowego prawa publicznego i w praktyce mają mieć na względzie przede wszystkim cele polityczne jakie za ich pośrednictwem chce się osiągnąć. Metody gospodarcze muszą znaleźć oczywiście najpełniejsze zastosowanie, lecz winny być pojmowane jako narzędzia służące do wykonywania zadań politycznych. Jest rzeczą oczywistą, że globalny rozmiar świadczeń odszkodowawczych niemieckich powinien być rozważany także pod kątem widzenia rozmiaru szkód wojennych, które muszą ulec naprawieniu. Jednakowoż przy ustalaniu rozmiaru i jakości tych świadczeń trzeba mieć na uwadze nie tyle zrządzone szkody, ile raczej: 1) zniszczenie potencjału wojennego niemieckiego, 2) pobranie z pozostałych dziedzin życia gospodarczego niemieckiego świadczeń możliwych do uzyskania w krótkich terminach. Następstwem bezpośrednim także i tak pojmowanych odszkodowań, będzie oczywiście pokrycie znacznej części szkód wojennych poniesionych przez państwa zwycięskie. Jednakże metoda mierzenia wielkości oraz określanie jakości świadczeń, które będą miały obciążać nieprzyjaciela, musi być wysoce selekcyjna i w szczególności musi być całkowicie podporządkowana wymogowi zamierzonego osłabienia państwa zwyciężonego. W tym rozumieniu odszkodowania wojenne będą stanowiły integralną część oraz ukoronowanie działań wojennych i warunków pokojowych, terytorialnych i innych.

Trzeba przy tym pamiętać oczywiście o zachowaniu na przyszłość zdolności gospodarczej w tych działach wytwórczości niemieckiej, które nie będą niebezpieczne dla reszty świata.

Będzie zresztą istniała w Niemczech znaczna, niejako rezerwowa zdolność gospodarcza, wynikająca z faktu, że Niemcy będą i pozostaną na przyszłość

rozbrojone, gdy inne państwa będą musiały ponosić nadal ciężar zbrojeń, choć może zmniejszonych, dla utrzymania powszechnego bezpieczeństwa. Część dochodu społecznego niemieckiego, służąca dotąd na zbrojenia, będzie mogła przeto, bez dodatkowego obniżania stopy życiowej ludności niemieckiej, znaleźć odpowiednie przeznaczenie na świadczenia odszkodowawcze. Co więcej, gdyby miało być inaczej, nastąpiłoby paradoksalne zjawisko, że następstwami przegranej wojny byłyby Niemcy na dłuższy okres czasu obciążone w mniejszym stopniu niż państwa zwycięskie. Tak właśnie było po wojnie poprzedniej.

Odszkodowania wojenne, czyli raczej świadczenia wojenne pobrane od Niemiec, winny mieć na celu znaczne zmniejszenie gotowości wojennej tego państwa w zakresie gospodarczym, oraz winny zmierzać do zniesienia w możliwie wielkim zakresie samowystarczalności gospodarczej Niemiec. Następstwem takich świadczeń będzie przygotowanie Niemiec do współpracy pokojowej z innymi państwami i skłonienie ich do solidarności z resztą świata. Świadczenia te winny być pobrane głównie jednorazowo, a mianowicie przez przejęcie istniejącego sprzętu gotowego, przejęcie zakładów wytwórczych złota i dewiz oraz kapitałów i uprawnień niemieckich zagranicą. Część odszkodowania będzie zapewne mogła być pobrana w postaci świadczeń periodycznych. Jednakowoż świadczenia periodyczne winny być pobierane w krótkich terminach i jedynie z takich tylko dziedzin wytwórczości, których dalsze istnienie i rozwój nie wpływa korzystnie na potencjał wojenny niemiecki.

Świadczenia uzyskane w ten sposób posłużą nie tylko do osłabienia gotowości gospodarczej Niemiec do podjęcia wojny odwetowej, lecz ułatwią również uprzemysłowienie państw Europy środkowej i południowowschodniej. Będzie to korzystne także i pod względem politycznym, gdyż uniemożliwi na przyszłość usiłowania niemieckie w kierunku powiązania krajów, położonych na wschód od Niemiec, z interesami gospodarstwa i polityki niemieckiej.

Odbudowa krajów zniszczonych, jak wynika z powyższego, znajdzie w odszkodowaniach pobranych od Niemiec pokrycie tylko w takiej części, w jakiej umożliwią te świadczenia odszkodowawcze, pojmowane w sposób wyrażony powyżej. Należy liczyć się z tym, że okażą się one niedostateczne dla dokonania dzieła odbudowy. Reszta kosztów odbudowy będzie więc musiała znaleść pokrycie we własnych siłach gospodarczych zniszczonych krajów Europy oraz w pomocy z zewnątrz.

Ta zewnętrzna pomoc, związana zarówno ze sprawą odszkodowań, jak ze sprawą odbudowy, również nie może być wzorowana na przykładach z czasu likwidacji pierwszej wojny światowej.

Niewątpliwą jest rzeczą, że po wojnie świat będzie musiał przystąpić do gospodarki planowej, a to zarówno w dziedzinie rozdziału niektórych surowców, jak w pewnych dziedzinach produkcji. Okoliczność ta pozwala na dostosowanie do zadań odbudowy typu pomocy gospodarczej, oddzielonej od pieniądza i pospolitych form kredytu pieniężnego. Za drogowskaz przyjąć należy Lease and Lend Bill, zastosowany dziś przez prezydenta Roosevelta, jako narzędzie pomocy gospodarczej dla krajów wojujących.

Lease and Lend Bill jest w dziedzinie kredytu międzynarodowego zdarzeniem rewolucyjnym o nieznanych dziś jeszcze, lecz w każdym razie ogromnych perspektywach i możliwościach. Jest to pierwszy przykład kredytu całkowicie oderwanego od pieniądza, którego spłata przewidziana jest również wyłącznie w towarach i usługach. Terminy tej spłaty, jak wnosić należy, uzależnione będą nie od dat kalendarzowych, lecz od terminów produkcji towarów, przeznaczonych na spłatę oraz od terminów, w których usługi okażą się potrzebne. Pomoc gospodarcza międzynarodowa na odbudowę winna się kierować podobnymi ideami. Lease and Land Bill na odbudowę winien dostarczyć zniszczonym krajom tego co im będzie

potrzebne, przy uwzględnieniu ich zasobów własnych oraz świadczeń odszkodowawczych, uzyskanych od Niemiec. Potrzeby tych krajów oraz przewidziane dla nich w planie gospodarki światowej miejsce w produkcji ogólnej, określać będą ilość i jakość towarów i usług, które będą im dostarczone. Stan zaś i jakość produkcji tych krajów będą z kolei określały ilość towarów i usług, oraz terminy, w których kraje te będą zwracały w naturze, dostarczone im wartości gospodarcze.

Zarówno skuteczne rozbrojenie Niemiec, jak likwidacja ich przemysłu służącego wojnie, jak wreszcie zapobieżenie odtworzenia w przyszłości takiego przemysłu, są to zadania trudne i wymagające czujnej i nieustannej kontroli. Podobnie i uzyskanie świadczeń periodycznych, choćby tylko w ciągu kilku lat, będzie z pewnością wymagało znacznego nacisku na państwo i gospodarstwo niemieckie. Trzeba więc już dziś uzmysłowić sobie, że nie wystarczają rozliczne formy kontroli formalnej, stosowanej po wojnie poprzedniej, w postaci różnorakich komisji kontrolnych oraz agentów reparacyjnych. Będzie musiała być zastosowana forma kontroli efektywnej, która pozwoli na niezwłoczne łamanie wszelkiego możliwego oporu i bezpośrednie egzekwowanie wydanych zarządzeń. Znalezienie form takiej kontroli oraz określenie sił, które będą potrzebne dla jej sprawowania, stanowi jedno z najważniejszych zadań w dziedzinie zabezpieczenia pokoju na przyszłość.

* * *

Odbudowa polityczna Europy po wojnie nie powinna opierać się nadal na równowadze chwiejnej państw suwerennych, prowadzących swoją politykę tak, jak gdyby każde z nich istniało samo jedno na świecie, lecz musi zdążać raczej do równowagi stałej, opartej na zorganizowanej współpracy państw. Tylko wielkie obszary, planowo zagospodarowane i przygotowane do obrony, zdolne będą ostać się na przyszłość. Narody średnie i małe muszą jednoczyć się, aby przez współdziałanie uzyskać zdolność gospodarczą i siłę obronną, na które stać dotąd tylko wielkie mocarstwa. Nowoczesne federacje będą budowane, nie jak w przeszłości, w oparciu o interesy dynastyczne i zabory, ale o własne dobro samych narodów, zagrożonych w swoim istnieniu. Osnową ich winno być przeto zachowanie niepodległości połączonych państw i zarazem stworzenie jedności we współżyciu gospodarczym i w obronie. W tych federacjach, które ustrojem swoim będą zapewne odbiegały od klasycznych typów znanych z przeszłości, suwerenne państwa narodowe ustąpią tyle ze swojej suwerenności na rzecz większej całości, ile będzie trzeba, żeby dać związkowi federalnemu zdolność do samoistnego ostania się w nowym świecie samolotu, czołgu i radia oraz gospodarki światowej, opartej na najwyższej sprawności technicznej.

W szczególności w Europie środkowej i południowo-wschodniej, w szerokim pasie między Rosją a Niemcami, Morzem Bałtyckim i Śródziemnym, kształtować się będą takie federacje, wiążące ze sobą państwa pokrewne kulturą i związane bliskością geograficzną. Ten pas ziemi umyślnie zaniedbany gospodarczo, na skutek ekspansji niemieckiej, był rozbity politycznie, w sposób niebezpieczny dla samych położonych w nim państw oraz dla reszty świata. W tym pasie dwukrotnie w ciągu ćwierćwiecza wynikły napięcia, które dały początek wojnom światowym. Przywrócenie bezpieczeństwa w tej ważnej strefie Europy, liczącej powyżej 100 milionów ludności, urodzajnej i obfitującej w surowce, wymaga komasacji politycznej i podniesienia intensywności gospodarstwa. Pierwszemu zadaniu służyć będą federacje środkowo-europejskie o charakterze regionalnym, których zaczątki dziś już się zarysowują. Z inicjatywy rządu polskiego i czechosłowackiego powstała koncepcja konfederacji polsko-czechosłowackiej, z inicjatywy rządu greckiego i jugosłowiańskiego podobna koncepcja konfederacji tych dwóch państw. Obie te konfederacje rozumiane są przez państwa, które je zapoczątkowały, jako ośrodki, wokół których skupić się mają inne

przyległe państwa. W ten sposób zapowiadają się na przyszłość w tej części Europy dwie federacje regionalne, obejmujące zapewne cały powyższy obszar i związane wzajemnie układami gospodarczymi i politycznymi. W stosunku do sąsiada zachodniego, Europa środkowa i południowo—wschodnia zrekonstruowana na zasadzie federacji, stanowić będzie jeden obszar, który przez sam swój rozmiar i siłę przyczyni się skutecznie do zabezpieczenia pokoju. Biorąc pod uwagę, że czujność wszystkich narodów tego obszaru musi być zwrócona ku strzeżeniu pokoju od strony zachodniej, nie jest do pomyślenia, żeby polityka Europy środkowej i południowo-wschodniej względem Rosji Sowieckiej mogła zajmować postawę nieprzyjazną lub choćby chwiejną. Obszar położony miedzy tymi dwiema wielkimi potęgami kontynentalnymi nie może sobie żadną miarą pozwolić na powtarzanie błędu równowagi chwiejnej i balansować bezradnie między sąsiadami. Przeciwnie, musi stworzyć warunki równowagi stałej, przez zapewnienie Rosji Sowieckiej bezpieczeństwa jej granicy zachodniej, co będzie jednocześnie dla samego pasa środkowo-europejskiego pozyskaniem silnego zaplecza na wschodzie.

Niejednokrotnie spotyka się dziś w publicystyce brytyjskiej rozważania na temat " leadership " na kontynencie Europy. Przed pierwszą wojną światową oraz w czasie 20-letniego zawieszenia broni między dwiema wojnami światowymi, publicystyka angielska, odźwierciadlająca myśli i intencje City londyńskiej, skwapliwie powierzała ten " leadership " Niemcom. Wyniki tej polityki okazały się podwakroć błędne i szkodliwe dla samej Brytanii. Za pierwszym razem Niemcy sięgnęły po wydarcie Brytanii panowania na morzach i po " miejsce pod słońcem " dla siebie, za drugim razem Niemcom udało się pod osłoną tej polityki zagospodarować się w Europie tak gruntownie, że mogą dziś sięgać po panowanie nad światem. Zrażona do Niemiec opinia tych samych kół brytyjskich, które niedawno jeszcze chętnie widziały Niemcy w roli pośrednika między Imperium Brytyjskim a kontynentem Europy, zwróciła się z kolei—do Rosji Sowieckiej. W niej City londyńska zdaje się szukać czynnika, który może zagwarantować na kontynencie spokój, potrzebny do—business as usual. Jest to myśl leniwa i insularna, a ponadto bardzo szkodliwa. Rosja nie jest państwem zwróconym ku zachodowi i kierowanie jej uwagi ku Europie środkowej jest sprzeczne z jej własną tendencją polityczną. Gdyby Rosja uległa tym namowom i zechciała pokusić się o " leadership " na kontynencie Europy, popadłaby odrazu w konflikt ze 100-miljonowym blokiem narodów, zamieszkałych pomiędzy jej granicą zachodnią a Niemcami. Odebrałoby to Rosji spokój, który będzie jej bardzo potrzebny po wojnie dla własnej odbudowy. Co gorsze, dałoby pobitym Niemcom całkiem nieoczekiwaną premię, gdyż otwarłoby drogę do wichrzeń niemieckich w obszarze środkowo-europejskim, który czułby się przez Rosję zagrożony. Dlatego myśl o " leadership " rosyjskim w Europie jest tak samo szkodliwa, jak niedawna polityka " appeasement," prowadzona przez te same sfery gospodarcze i koła polityczne brytyjskie. Sfery te, ogarnięte przez gnuśny izolacjonizm, chcą poprostu, żeby je ktoś w Europie—wyręczył. Churchill powiedział w jednej ze swoich mów: " Palmą zwycięstwa w obecnej wojnie będzie odpowiedzialność zwycięzcy za losy świata." Od tej odpowiedzialności Brytania, jeżeli nie zeche przegrać wojny już po zwycięstwie, uchylić się nie zdoła. Na kontynencie Europy zatliły się dwukrotnie w ciągu ćwierćwiecza pożary, które ogarnęły potem Imperium Brytyjskie. Cała historia tego Imperium, rozsypanego na pięciu częściach świata, wskazuje, że niebezpieczeństwa grożą mu nie z jego własnych obszarów, a także nie z ich bezpośredniego sąsiedztwa, ale z tego właśnie odcinka globu ziemskiego, który dla W. Brytanii jest obszarem najbardziej egzotycznym—ze środka Europy. Stąd też W. Brytania nie zdoła zabezpieczyć pokoju światowego inaczej, jak przez strzeżenie go na własną odpowiedzialność i to nie tylko

w Europie zachodniej, ale także w środkowej i we wschodniej. Pokój i bezpieczeństwo są jedne i niepodzielne. W. Brytania będzie musiała przeto w imię własnego swego istnienia jako imperium światowe, podjąć trud ich strzeżenia wraz zainteresowanymi bezpośrednio państwami—na całym obszarze Europy.

* * *

Obok federacji regionalnej w obrębie Europy środkowej i południowo-wschodniej, przewidzieć trzeba powstanie podobnych ustrojów związkowych w innych częściach Europy, zbudowanych także na zasadzie wspólności interesów politycznych i gospodarczych państw, wynikającej z bliskości geograficznej i wielorakich powinowactw. Federacje te stanowić będą niejako nadrzędną kondygnację ponad państwami narodowymi, które pozostaną podstawowymi jednostkami w odnowionej organizacji kontynentu. Z kolei rozwinie się niewątpliwie sieć stosunków między poszczególnymi federacjami europejskimi, która znajdzie być może wyraz w jakiejś nadrzędnej organizacji europejskiej. Wreszcie z pewnością liczyć się należy z powstaniem ogólnej organizacji światowej, mającej za zadanie regulowanie najogólniejszych warunków życia powszechnego, gospodarczych i politycznych, oraz zabezpieczenie pokoju. Także i tutaj trzeba będzie skorzystać z doświadczeń 20-letniego zawieszenia broni. Na miejsce Ligi Narodów, która okazała się niesprawna, trzeba będzie stworzyć organizację zdolną do działania i do szybkiej decyzji. Będą mogły być jej powierzone tylko takie sprawy, które zdolna będzie załatwić w sposób ostateczny. Ponad wszystko—organizacja ta musi mieć siłę wykonawczą, zdolną do przeprowadzania swoich postanowień i do szybkiego przełamywania możliwych oporów. W zakresie politycznym musi mieć możność pobierania decyzji wiążących i to niekoniecznie jednomyślnie, lecz raczej kwalifikowaną większością, głosów. Swoje zadania strzeżenia pokoju spełni tylko w tym wypadku, gdy będzie miała potrzebną ku temu siłę. Karta Atlantycka przewiduje rozbrojenie państw napastniczych, przy jednoczesnym pozostawieniu uzbrojenia państw zagrożonych napadem. Istnieje możliwość powiązania tej tezy ze sprawą stworzenia międzynarodowej siły zbrojnej, służącej dla obrony pokoju, pod rozkazami naczelnej organizacji, wiążącej wszystkie państwa pokojowe. Jak się wydaje, zgodnie z doświadczeniami obecnej wojny, zadaniu temu nie zdołałaby sprostać sama tylko międzynarodowa siła lotnicza. Prawdopodobnie okaże się potrzebna wszechstronnie ukształtowana armia o wysokim uposażeniu technicznym.

W zakresie gospodarczym naczelna organizacja światowa stać będzie przed wielorakimi zadaniami. Jej przypadnie głos ostateczny w zagadnieniach planowania gospodarczego na szczeblu najwyższym. Zadanie to będzie tym ważniejsze, że planowanie będzie musiało objąć nie tylko rozdział podstawowych surowców, lecz także, w niektórych ważnych gałęziach, rozdział produkcji. W tej organizacji zapewne też ustalane będą ogólne normy, dotyczące obrotu kapitałów towarów, i sił roboczych. Sprawa uprzemysłowienia zaniedbanego gospodarczo obszaru w Europie środkowej i południowo-wschodniej oraz sprawa lepszego zagospodarowania dotychczasowych obszarów kolonialnych postawi na porządku dziennym wielki program robót publicznych o znaczeniu międzynarodowym. Kolejność tych robót, ich koordynacja i finansowanie wymagać będą pracy usilnej i wieloletniej. W ten sposób naczelna organizacja światowa, złożona prawdopodobnie z kilku połączonych wzajem instytucji, nie będzie istniała, jak Liga Narodów, w całkowitym oderwaniu od realności, lecz będzie stanowiła ukoronowanie logicznie zbudowanej struktury o kilku kondygnacjach, związanych ze sobą w sposób organiczny.

Oczywistą jest rzeczą, że taka przebudowa świata, rozmiarem swoim i zasięgiem, przekracza wszystkie znane dotąd zadania organizacyjne.

Żyjące pokolenie w interesie wszystkich następnych będzie musiało jednak przystąpić do jej podjęcia, gdyż nie znajdzie inaczej wyjścia z chaosu, w który świat popada. Dwie wojny światowe w ciągu ćwierćwiecza są wystarczająco alarmującymi objawami tego chaosu. Zwiastują one bądź odbudowę racjonalną i śmiałą, bądź zniszczenie ludzkości. Innej alternatywy nie ma. Dlatego wierzyć trzeba, że ludzkość, po odparciu najazdu niemiecko-japońskiego na glob ziemski, znajdzie dość jeszcze siły dla podjęcia prac, związanych z ratunkiem świata od zagłady.

W powyższych wywodach przywrócenie Polsce jej stanowiska w świecie wiąże się nierozłącznie z odbudową całego życia zbiorowego po wojnie. Odbudowa ta wymagać będzie nie tylko od Polski, ale od narodów o wiele od polskiego bogatszych, ogromnego wysiłku. Połączone z tym będą rozliczne trudności, których dziś jeszcze niepodobna przewidzieć, tak samo jak wojna postawiła przed rządami i wojskami zadania, o których nic przed tym nie wiedziano. Do wysiłków związanych z prowadzeniem wojen ludzie przyzwyczaili się. Wojny nie uważa się nigdzie za proces dokonywujący się samoczynnie—wojnę wszędzie "prowadzi się", i to nie tylko wojnę totalną, ale każdą. Natomiast pokój przywykło się, zwłaszcza w epoce liberalizmu, uważać za coś automatycznego, za stan rzeczy, który statycznie trwa, tak długo dopóki nie naruszy go incydentalny epizod—wojny. W istocie jest inaczej. Pokój trzeba także „prowadzić". Trzeba używać tyleż samo, a nieraz być może więcej wysiłku, aby stworzyć warunki, zapewniające organiczną trwałość pokoju. Pokój, taksamo jak wojna, nie jest stanem statycznym, lecz wysoce dynamicznym, i trzeba nieustannie pilnie czuwać nad takim ukształtowaniem jego dynamiki, aby pozostawał w równowadze dostatecznie stałej. Konieczność tę narzuca zwłaszcza wojna totalna, a odtąd będzie już każda wojna—totalną. Ta postać wojny jest prowadzona nie tylko przy użyciu najrozleglejszej skali środków wojennych, lecz jest totalna także w zasięgu przestrzennym—ma tendencję do nieograniczonego rozszerzania się. Dlatego wysiłek w kierunku przebudowy świata, gospodarczej i politycznej, ku zachowaniu pokoju—po jego przywróceniu—musi być także totalny.

Albowiem po wojnie totalnej, tylko pokój totalny ma szanse trwałości.

ANTONI WÓJCICKI

WYCHOWANIE—INSTRUMENTEM PRZEMIANY

I.

PRÓBY MYŚLENIA, POPRZEDZAJĄCE SZKICOWANIE PLANU.

Jednym z najcenniejszych rysów ludzkiego umysłu jest zdolność rzutowania w przyszłość, wybieganie myślą naprzeciw idącym czasom i zdarzeniom. Zwłaszcza w czasach, kiedy wojna rozwaliła domy, rozszarpała zacisza myśli i zburzyła narastające wiekami hierarchje wniosków—myślenie o przyszłości staje się chorobą nagminną. Naporem, od którego uwolnić się trudno, chyba, że jest się jakimś cudownym przypadkiem pozbawionym wrażliwości serca, czy zdolności do najprostszych procesów wyobraźni. Stąd po tej i tamtej stronie wojny dwu światów szaleje mimo trwania walki, zaraza planowania przyszłości, stąd wszędzie pełno komitetów, kongresów, publikacji i dyskusji. Przekorni szydercy próbują wydrwiwać to „budowanie zamków na lodzie". Zapominają o najprostszych faktach, że nawet zwierzę, któremu powódź zabrała legowisko, dziwnym wiedzione instynktem

szukać będzie innego schronu. Nam wojna zabrała nietylko domy, zniszczyła również przystanie myśli, wyraje dumań, świątynie wzlotów. Trzeba wszystko odbudować na nowo. Przymus myślenia o przyszłości jest niełatwym ciężarem. Szczęśliwsi potrafią go zasklepić w sobie zawziętą pracą, zapić czy zagłuszyć, w wielu jednak głos ten potężnieje, nie dając spokoju. Myślą i wątpią. Wątpienie jest nieodstępnym towarzyszem myśli. Szamoczemy się w sieciach wątpliwości, czy wolno nam myśleć o przyszłości, nam wybrańcom losu, a zarazem oderwanym od macierzystego pnia kraju. Wątpimy czy mamy prawo myśleć dla kraju, a czasem za kraj, czy wolno nam snuć plany, szkicować projekty. Trwożymy się wewnętrznie, czy jakieś fantastyczne zmienności losów nie rozwieją naszych prób i nie poniosą jak tyle innych do lamusów przeszłości i zapomnienia. A może niedonoszone płody pogrzebie na zawsze bomba i kula? A może niespodziewany zakręt historji zdarzeń, przekreśli sens planu zanim wyschnie farba drukarska? Jednak z wewnętrznych rozstrząsań sumienia i udręczeń wątpliwości wyrasta prędzej czy później przekonanie, że myślenie o przyszłości jest nietylko wyrazem biologicznej konieczności i psychologicznej siły wytrwania, ale również obowiązkiem wobec kraju. *Kraj myśli gorączkowo!* Odbija się to jak w lustrze, w pismach tajnych. Prawie każde z nich żyje więcej wymarzonym jutrem, niż grozą dnia dzisiejszego.

Przesuwa się tytuł za tytułem „My Wobec Jutra", „Snuć Przyszłość z Siebie", „O Nowego Człowieka", itp. itd.

Kraj jest odcięty od procesów myśli ogólnoświatowej, odcięty od prasy, tysięcy nowych książek, nowych przemyśleń i zdobyczy, powiązany ze światem jedynie cieniutką nicią zagłuszanego radja, które może zaledwie skąpe przemycić wieści. Nas, odwrotnie, sytuacja wyniosła na wyjątkowe wzgórze, z którego widok jaknajrozleglejszy. Żyjemy tu jakgdyby na przeciągu wielkich wichrów ideowych współczesności. Gromadzimy w ręku elementy, jakich inni nigdy nie skupią. Nawet jeżeli idzie o położenie kraju, to oni znają tam jedynie wycinki, jedno czy dwa pisma tajne, wymianę zdań wśród najbliższych i zaufanych, gdy nam każdy miesiąc rzuca na stół operacyjny myśli setki pism, zsumowania raportów, syntezy poglądów. W bogactwie prasy anglosaskiej, w nieprzebranej obfitości bibliotek śledzić możemy nietylko myślową twórczość współczesności ale również zestawiać ją w swobodzie pracy z dorobkiem przeszłości. Tu mamy nawet możność przeglądu prasy i książek wroga bodaj łatwiej niż w kraju. Gdy nas los w tym najważniejszym węźle komunikacyjnym myśli całego świata osadził, zbrodnią wobec kraju, nigdy niewybaczalną, byłoby niewykorzystanie tej sytuacji dla budowania przyszłości.

Jaki może być zakres naszych rozważań o przyszłości? W jakiej skali wolno nam budować plany? Otóż w tym punkcie stałe akty pokory i skromności winny poprzedzać wszystkie śmielsze marzenia. Pokory przedewszystkiem wobec ogromu zjawisk, skromności wobec znaczenia i wagi naszych prac. Dobierała nas tu do różnych prac i stanowisk najfantastyczniejsza selekcja, nie mająca nic wspólnego z selekcją talentu lub wiedzy. Niejeden minister, urzędnik, autor artykułu, przygodny mówca wydaje się sam sobie pierwszym wśród wybranych, zapominając, że emigracja jest ułamkowym odpryskiem wielomilionowego skupiska narodu, a w kraju zostało tysiące mądrzejszych od niego! Poza uprzytamnianiem sobie tej skali należy również myśleć o konfrontacji wszelkiego planu, chociażby najlepszego, z życiem. Dopiero ta próba decyduje o wartości uprzednich przemyśleń. Sprawdzenie takie może nastąpić w kraju i to w odpowiednim czasie. Dlatego też myślenie nasze powinna cechować wyjątkowa ostrożność, a zarazem *raczej analityczność niż próby syntez*, raczej zwózka budulca, niż dźwiganie budowli, raczej gromadzenie wniosków, spostrzeżeń, przyczynków, niż porywanie się na gotowe konstytucje, programy, ustroje. Jest to warunek ogromnie ważny, znacznie łatwiej do kraju przewieść

budulec i oddać go skromnie przyszłym budowniczym, by razem z nimi przystąpić do pracy, niż transportować całe struktury, co może okazać się i niewykonalne i niepotrzebne, ponadto: wojna trwa i burzy nietylko materialne dobra, ale i umysłowe konstrukcje planów. Lepiej zbierając belki i dźwigary, czekać na przejście huraganów, by budować dom w spokoju i pewności, że go się za tydzień rozbierać nie będzie.

Jest to punkt wyjątkowej wagi, który może być przedmiotem zaciętego sporu i dyskusji. Padnie tu przedewszystkiem zarzut, że jest rzeczą nie możliwą opracowywanie elementów planu, nie mając z góry zarysu całości. Otóż w zakresie nas obchodzącym, w zakresie wychowania, a nie wątpię, że tak jest i w innych wypadkach, można np. zbadać istniejące systemy statystyki szkolnej i przygotować wytyczne, obserwować odkrycia nowych tanich materiałów budulcowych do szybkiej budowy szkół, zagadnienia rozplanowania szkół, technikę współpracy radiowej w szkole, zagadnienia selekcji szkolnej i badań testowych oraz tysiące innych spraw, bez względu na to, jaki przyszła szkoła Polska będzie miała plan strukturalny całości. To samo da się powiedzieć o planie drogowym, elektryfikacji, rolniczym itp.

Gotowych całości nie wolno nam opracowywać, chyba że mają one spełniać jedynie role struktur roboczych, jakgdyby pewnych wprawek szkicowych.

Powstrzymują od planowania pełnego względy następujące:

1. W każdej dziedzinie pozostało w kraju kilkuset, o ile nie kilka tysięcy, ekspertów zdolniejszych i mądrzejszych od emigracyjnych.

2. Nie znamy podstawowych elementów do opracowania planu, jak granice państwa, ludność, ustrój społeczny, powiązania federacyjne, polityczne, gospodarcze itp.

3. Jesteśmy w wojnie, w okresie ciągłej zmienności, kiedy w przeciągu jednego miesiąca wojny błyskawicznej może się zmienić cała konstrukcja naszego przewidywania. Opracowanie całości byłoby w tych warunkach marnowaniem czasu, pracy, pieniędzy i zdolności.

Natomiast nietylko należy, ale jest naszym ważnym obowiązkiem prowadzić prace następujące:

a) Badać zagadnienia teoretyczne i praktyczne techniki planowania i obserwować prace wykonywane w licznych na terenie W. Brytanii i Stanów. Zjedn. A.P. biurach i organizacjach planowania.

b) Postarać się o ulokowanie wszystkich posiadanych fachowców na placówkach, które umożliwią zbieranie materjałów. Fachowcy ci po powrocie do kraju będą, być może nie tyle twórcami planu, co bardzo poszukiwanymi doradcami, którzy w latach odcięcia kraju, mogli nadal obserwować bieg życia narodów cywilizowanych.

c) Wykonywać pewne prace fragmentaryczne, które nie wymagają przesądzenia w tej chwili form ustrojowych, kwestji granic itp. albo też będą miały wyjątkowe znaczenie w pierwszych chwilach po uzyskaniu niepodległości, jak np. zagadnienia dożywiania, walki z epidemjami, organizacji obozów reemigrantów, uruchomienia administracji krajowej itd. Musimy zdawać sobie sprawę, że w znacznej większości niema zupełnie na emigracji wielu ekspertów i fachowców, w innych jest ich przypadkowo więcej (np. architekci, inżynierowie). Tam gdzie to jest możliwe mogłyby być wykonane pewne prace wstępne z zakresu np. planu dróg, elektryfikacji itp. przy uwzględnieniu prac dokonanych jeszcze uprzednio w okresie niepodległości, w kraju.

II.

POSZUKIWANIE PUNKTÓW WYJŚCIOWYCH.

W rozmowach o przyszłym, lepszym świecie z różnymi ludźmi: szoferem czy robotnikiem, chłopem, księdzem czy nauczycielem, lekarzem czy politykiem dochodzi się, z zadziwiającą jednolitością, prostym wnioskiem,

czy szczeblami powiązań, lub wachlarzowatem powiązaniem zjawisk, do jednej, nieodmiennej, prostej zasady, że najlepszy ustrój nie będzie wiele wart, jeśli go nie podeprą czyste ręce, zbudują światłe mózgi i pokochają uczciwe serca. *Wszystko sprowadza się do wartości człowieka, a jedyną możliwością jego przemiany jest wychowanie.* Wychowanie jest kamieniem węgielnym każdej zmiany ustroju społecznego, dźwigarem głównym, gwarancją trwałego osadzenia konstrukcji w gruncie rzeczywistości.

W próbach myślenia przedtwórczego człowiek wydaje się sobie zagubionym w chaosie zjawisk, naporu myśli, wirowaniu idej. W tym błądzeniu poomacku, w próbie wyjścia następuje w pewnym momencie spięcie myśli, jakgdyby umysł znalazł się pomiędzy dwoma biegunami o różnych potencjałach. Czytam w piśmie tajnym „My wobec jutra" : „Jesteśmy teraz jakby pod ciśnieniem wielu tysięcy atmosfer, ale właśnie pod ciśnieniem wytwarzają się wielkie siły popędowe świata . . ." I o parę stron dalej : „Przez świat krwią zalany musi przejść prąd o sile ruchu religijnego, jako początek nowego okresu cywilizacji . . ." To jest jeden biegun ! W przerzuconych książkach trafiam na jedną o zaciekawiającym tytule „ Strategy of Education in the European Crisis", napisaną przez pedagoga R. Schairera w 1940 *r*. W toku przerzucania kartek czuję jak te dwa procesy myślowe, rozgrywające się w całkowitej niewiedzy o sobie, w dwu końcach Europy, i w tak różnych warunkach, są sobie zadziwiająco bliskie, jak łączy je prąd dogłębnego porozumienia. Autor bowiem już na pierwszej stronie pisze : „Historja uczy, że nieraz naród zwycięski nie miał odpowiedniego wychowania i odwrotnie naród ujarzmiony rozwija się wspaniale wbrew uciskowi, dzięki bohaterstwu przodowników i męczenników oraz niezłomnej postawie mas. Polska w okresie niewoli była takim przykładem, a dziś służyć może ponownie jako wzór". Tak samo dźwignęła się Finlandja w XX wieku, Danja po przegraniu wszystkich swych wojen, Francja po klęsce w 1870 r. Wówczas to J. A. Rimbaud ukuł paradoks : „Słabością Niemców jest to, że zwyciężają w wojnach".

Tak wytworzone spięcie rozpoczyna bieg toku myślowego, grupuje wokół siebie fakty, wydziera myśli z książek i zdarzeń, cofa się w przeszłość i wybiega w przyszłość i żmudnie szuka odpowiedzi prostych i prawdziwych, któreby wyjaśniały, jakie siły wyprowadzają naród z dna klęski na drogę postępu i wielkości cywilizacyjnej.

Cenna to dla Polaka książka. Jednym biegiem myśli chłonie się zdania a równorzędnie tuż obok galopują, wyprzedzają tempo marzenia o przyszłości. Trzeba się z nich siłą otrząsać i wracać do zimnej, spokojnej obserwacji.

Autor zanim wyprowadzi pewne wnioski ogólne, analizuje wielkie dokonania w dziedzinie wychowania. W każdym wypadku reformator czy grupa reformatorów żąda od nowego wychowania innych form myślenia, szybszej adaptacji wiedzy do życia, doboru wartościowych przodowników z wszystkich warstw społecznych itp. Jak widzimy są to żądania natury społecznej : jak słusznie powiedział Peguy : "*Niema kryzysów wychowania— są kryzysy życia*". Głębokie zmiany w systemie wychowawczym wymagają doktryny i ideału, wymagają narodzin prądu ideowego.

Najciekawszą postacią książki, a nam jako krajowi rolniczemu niezwykle bliską, jest reformator wychowania duńskiego Grundtwig. Jego karierę posłanniczą bierze autor książki za podstawę badań strategji wychowawczej. Grundtwig staje się ostatnio bohaterem wielu książek pedagogicznych. Jedna z najciekawszych książek angielskich ubiegłego roku "Future in Education " Sir Livingstone'a, również w lwiej części poświęcona była temu wyjątkowemu człowiekowi.

Grundtwig, całe życie poszukujący prawdy, podobnie jak inni wielcy reformatorzy wychowania Rousseau i Pestalozzi, dojrzał dopiero pod

pięćdziesiątkę. Koniec tego procesu przypada na pobyt w Anglii ("Anglia zrobiła mnie tolerancyjnym i realistą" pisał później). Kiedy wystartował do pracy, stosując swoją odkrytą strategję wychowawczą szedł od zwycięstwa do zwycięstwa. W krótkim czasie skupił w uniwersytetach ludowych ponad 100.000 młodzieży, entuzjastów pracy, nauki, szczęścia, śpiewu i śmiechu. W r. 1910 Niemcy stwierdzili, że naród, który przegrał wszystkie wojny, który zdawało się skazany był na zagładę i wchłonięcie przez Niemcy nagle ożył. „Ten czarodziej"—pisali Niemcy—„odciągnął od nas wszystkich Duńczyków, zmienił ich, uczynił dumnymi z rolnictwa, szczęśliwymi w tańcu i śpiewie, jakby przemienionymi nową wiarą".

Zasady Grundtwiga były proste. Pisał o nich: "Nastaną szczęśliwe czasy, gdy wszyscy zdobędziemy wykształcenie. Biurokracja państwowa, martwa litera dogmatu i uczoność książkowa zabiły wszystko. Jedynie żyjący świat natchnionego nauczyciela, płomiennego wiarą w historję, poezję, doktryny społeczne i wiedzę, której uczy, może ożywić nauczanie, zainteresować coś więcej niż intelekt, uczynić młodzież chętną do nauki i do kształcenia się przez całe życie". Wbrew pozorom plan Grundtwiga nie obejmował przedmiotów praktycznych. Szkoły rolnicze powstały jako produkt wtórny jego ruchu. Twierdził, że w wieku 14 lat dziecko jest zmęczone szkołą. Przygoda, działalność, praca jest wówczas marzeniem młodzieży. Czemu jej tego bronić? Najlepszą szkołą jest prosty ubogi dom, zagroda, warsztat wydajnego i mądrego człowieka. Tam dopiero dojrzeją w pełni pracy ręce i mózgi. Dopiero po paru latach wracają do uniwersytetów ludowych i żyją tam przez pół roku, jak rodzina. Grundtwig radził „Niech mówią, bawią się tańczą, śpiewają, uczą się i planują. Dajmy im nauczyciela, który ziarno żywego świata posieje w otwarte mózgi. Dajcie im poezję. Nie stało się nic wielkiego w dziejach narodu, czegoby nie utrwaliła poezja . . . Historja to nie martwa przeszłość, to żywy strumień płynący z przeszłości, przez czyn i entuzjazm, poświęcenie i służbę pokoleń do wielkiej pokojowej przyszłości rodu ludzkiego. I na miłość Boską, trzymajcie państwo i jego biurokrację jaknajdalej od tego".

Grundtwig zmienił naród ciemnych wojowników w najbardziej pokojowy i oświecony. Żyją o tym człowieku legendy w Danji.

Kolejne analizy działalności Pestalozziego i ruchu Les Compagnons we Francji po wielkiej wojnie, prowadzą autora do wyprowadzenia wniosków, że w strategji wychowania tych ruchów jest uderzająca zgodność. *Wszędzie u podstawy jest rozpacz z powodu tragicznej rzeczywistości i upadku narodu.* Rozpacz ta i chęć naprawy jest motorem czynu, poświęcenia się, nierzadko osobistego, i głębokich przemian duchowych. Marzenia o nowym, lepszym życiu obejmują wszystkie dziedziny, nietylko szkołę. Wychowanie ma być jedynie środkiem, który masy doprowadzi do wymarzonego raju. Strategik wychowania jest w takiej sytuacji jak prorok Izraela. Wskazuje nowe drogi, a zarazem w swej skromności poczuwa się do współwiny za stan upadku narodu. Drugi etap to *wskazanie ziemi obiecanej*, którą można osiągnąć, jeżeli uczciwie odpokutujemy za winy. Trzecie najważniejsze stadjum wymaga *ruchu i zmiany.* Zmiany zachowania, moralności, obyczaju. Poświęcenie i zapał mają poruszyć masy, aby przesunąć je na nowe pozycje.

Prawdziwość założeń możemy łatwo zilustrować przykładami z naszych dziejów. Czyż nie miał postawy proroka, reformującego obyczaje narodu, mądry Konarski, rozważny Staszyc, namiętny radykał Kołłątaj, czy cały wysiłek rozpaczliwy Komisji Edukacji Narodowej nie zrodził się na krawędzi przepaści, do której naród się staczał: w podobnej atmosferze rodziła się praca Czartoryskiego i Filomatów w Wilnie, Estkowskiego na ziemiach zachodnich, pozytywistów po upadku powstania styczniowego. Na nic przydały się wielkie i kosztowne sztaby Jędrzejewicza, reforma jego była pustym dźwiękiem brakło jej bowiem inspiracji ideowej.

III.

WARUNEK ZASADNICZY: NARODZINY IDEI.

Kiedy próbujemy przymierzyć założenia tej swoistej strategji do warunków polskich możemy sobie z goryczą uświadomić, że spełniamy pierwszy warunek dla wielkiej reformy ideowej, gdyż stan upadku i nieszczęścia urasta w naszych oczach do rozmiarów grozy apolikaptycznej. Nawet przy bardzo optymistycznej ocenie możemy wyobrazić sobie, że w momencie odzyskiwania niepodległości, w wymarzonym dniu wolności, naród nasz ukaże się światu jak Łazarz, wychodzący z grobu. Ujrzymy masy zamorzone głodem, obdarte, pozbawione wszelkiej własności, zdziczałe od nieludzkiego terroru, młodzież zdemoralizowaną i wycieńczoną, o umysłach zachwaszczonych wieloletnim brakiem uprawy, szkoły rozbite, zniszczone i obrabowane, nauczyciele w większości pomordowani i storturowani, większość zapomni o swej pracy i zawodzie, wielu nie wróci więcej do dawnej pracy, znalazłszy lepsze możliwości egzystencji w handlu czy pracy fabrycznej. Brak będzie najprymitywniejszych urządzeń, brud i nędza zrodzą epidemje. Tysiące osób dożywiać będzie jałmużna pomocy zzewnątrz. Miliony wracać będą z obozów jenieckich w Niemczech, z dalekiej Rosji. Sprzeczne ideologje rzucą się na siebie, na ulice wyjdą tani demagodzy, by chwytać władzę zaraz w pierwszych miesiącach. Przez wiele lat brutalna walka o byt, która była jedyną formą życia przez lata wojny, dominować będzie nad życiem społeczeństwa. Zaiste będą to wymarzone warunki rozpaczy!

Czy w takich warunkach powstanie prorok w narodzie, najsrożej przez los dotkniętym, czy powstanie prąd ideowy o sile religijnego napięcia, o jaki modlą się nasi bracia w pismach tajnych?

Można powiedzieć, że prawie napewno *ruch ten nie zrodzi się na emigracji.* Nie wyjdzie z urzędu, gdzie kilku dobrodusznych pedagogów zapatrzonych w przeszłość miele drobniutkie sprawy na starych żarnach. Słyszymy od nich przy każdej okazji w długich mowach, jakie to cudowne urządzenia wprowadziła 150 lat temu Komisja Edukacji Narodowej, a nie widzimy troski o przyszłość. Zapominają, że gdyby żyli tu razem z nami wielcy twórcy Komisji, Grzegorz Piramowicz i Stanisław Potocki, to mniejby interesowali się przeszłością, a więcej badali teraźniejszość i myśleli o przyszłości. Właśnie ich wielkość polegała na tym, że potrafili w polską formę oblec współczesne im zdobycze wiedzy wychowawczej zachodu. Nie wyjdzie więc ten wielki ruch z reakcyjnej grupki, trzymającej się kurczowo starych form i deklamującej o przeszłości, nie wyjdzie też z żadnych innych kół emigracyjnych. W porównaniu z krajem żyjemy bowiem poprostu w innym żywiole. To tak jakgdybyśmy żądali od orła, by nurkował i pływał w mętnej wodzie emigracji. Prąd ideowy, który przedewszystkiem oprze się o przemianę wychowawczą może narodzić się tylko w kraju i są znaki w pismach tajnych, że ruch moralny budzi się i jak tyle razy w dziejach wyprowadzi naród z dna upadku na drogi lepszej przyszłości.

Czy należy więc całkowicie zrezygnować z jakichkolwiek robót planowych na emigracji? Otóż jest do wykonania wiele prac i to prac nieodzownych! Dotychczas mówiliśmy o stronie ideologicznej reformy, stronie niesłychanie ważnej, podstawowej, istnieje jeszcze strona techniczna.

IV.

Przy coraz to doskonalącej się technice wpływania na zachowanie się społeczeństw również strona techniczna odgrywa olbrzymią rolę. Naziści twierdzą nawet, że system wychowania to tylko forma techniczna, którą można wykorzystać zarówno w złym, jak i w dobrym celu. Wystarczy odebrać wychowawcy autonomję, a można użyć wychowania do produkowania świętych lub żołnierzy, bandytów lub uczonych. Jest to pogląd

skrajnie materjalistyczny, niemniej rezultaty, zaprezentowane przez nazistów i komunistów wykazały jak straszna potęgą jest wychowanie i jak potrafi ono całkowicie zmieniać, prawie że w życiu jednego pokolenia, światopogląd narodu. Hitler zrealizował z przerażającą skutecznością marzenia Fichtego, który w „Mowach do narodu niemieckiego" w r. 1808 wołał o zabranie wszystkiej młodzieży z rąk rodziców, oddzielenie od „zdegenerowanego" społeczeństwa i wychowanie jej w twardej szkole „obozów" i „klasztorów". Celem tego wychowania miało być „stworzenie okrutnego narodu". Wbrew pragnieniu pokoju, które jest przyrodzone człowiekowi, system taki ma gloryfikować rozbój i krew, nie karać oszustw lecz zachęcać do nich, póki nie powstanie rasa okrutnych wojowników, która pogrąży świat w chaosie i narzuci mu własny pokój.

Na naszych oczach widzimy skuteczność „techniki" wychowawczej, mimo wątpliwych celów moralnych, które ten system ożywiają. Jest naszym obowiązkiem *poznać wszytkie formy techniczne*, jakie wykorzystały praktycznie narody niemiecki i rosyjski, ażeby w jaknajlepszy system włożyć własną, o ileż lepszą, szlachetniejszą i na dłuższy dystans obliczoną treść. Dziś nawet w demokracjach rozlega się wołanie o wychowywanie „w fanatyźmie wolności, równym zapalczywości faszyzmu i komunizmu", o rozpłomienianie młodzieży ideałami demokracji. Państwa demokratyczne pośpiesznie rewidują swój program wychowawczy na tych odcinkach, które tak przemyślnie wykorzystały totalizmy, a więc oświaty dorosłych, zorganizowania wypoczynku i czasu wolnego, specjalnej opieki nad młodzieżą opuszczającą szkołę. Tu znów zanotować można niezmiernie ciekawą zbieżność pomiędzy przemyślaniami kraju, a głównemi nurtami w filozofji pedagogicznej. W piśmie „Polska walczy" czytamy: "Wolny czas przy zapewnionym jako tako powszednim bycie jest koniecznym warunkiem, aby mogła powstawać kultura duchowa, stanowiąca najcenniejszy skarb i dorobek człowieczeństwa. Cały postęp i przeobrażanie się społeczeństw w duchu większej sprawiedliwości społecznej nie ma nic innego na celu, jak tylko dać rzeszom zapracowanym i zatroskanym wyłącznie walką o byt powszedni, tę *bezcenną chwilę wolnego czasu*, z której korzystały dotąd jedynie warstwy uprzywilejowane i posiadające. Wolnego czasu obywatela boi się jedynie tyran i despota władający przemocą". Dla porównania wystarczy jeśli zacytuję tytuły poważnych dzieł pedagogicznych lat ostatnich, jak: „Wyzwanie odpoczynku", „Era oświaty całych narodów" itp, ażeby powszechność wyczuwania przeobrażeń stała się zupełnie widoczna. Idą istotnie czasy, kiedy w 10 lat będzie można osiągnąć dzięki wynalazkom i postępowi techniki więcej, niż dawniej w kilkaset. Wystarczy tylko wyobrazić sobie, ile może zdziałać radjoodbiornik w każdej chacie, równie obowiązkowy jak słynne „sławojki" w Polsce, by tylko skuteczniej i częściej wykorzystywany.

V.

OBOWIĄZKI PEDAGOGÓW EMIGRACYJNYCH.

Niewielu pedagogów znalazło się na emigracji, w tym pracowników naukowych, zaledwie około 2 procent w stosunku do pozostałych w kraju. Dlatego też wszelkie programy i najbardziej kategoryczne konieczności nie dadzą się w większości wypadków zrealizować ze względu na brak ludzi. Niemniej powinno się wykorzystać wszelkie możliwości, gdyż w pracach powojennych wychowanie będzie jednym z najważniejszych problemów, wymagających organizacji od pierwszego dnia wolności. Raporty z kraju niezbicie stwierdzają, że nastąpił tam pogrom instytucji wychowawczych, może najstraszniejszy w naszych dziejach. Szkoły wyższe i średnie zamknięte, istniejące szkolnictwo elementarne i zawodowe wegetuje, olbrzymi procent nauczycieli, badaczy i młodzieży ma uniemożliwione studja i badania na okres kilku lat, a może i nazawsze. Placówki badawcze zagad-

nień pedagogicznych oczywiście zlikwidowane są całkowicie i wszelka praca w zakresie teorji, metod wychowania itp. z pewnością ustała. Biorąc pod uwagę, że byliśmy znacznie w tym zakresie spóźnieni w stosunku do Zachodu Europy, nie z naszej zresztą winy, w tej przerwie kilkuletniej będziemy znowu odsadzeni na olbrzymi dystans, gdyż świat na nas nie zaczeka, a główne ośrodki naukowe pracują bez przerw. Odnosi się to nietylko do USA, gdzie po wojnie światowej przeniósł się wyraźnie prymat badań pedagogicznych, pracują nadal i to z niewielkiemi osłabieniami tempa, nawet kraje w pełni w wojnę zaangażowane, jak W. Brytanja i dominja.

Praca nad oświatą musi być w Polsce po wojnie rozpoczęta bez względu nawet, w krańcowym przypuszczeniu, na wynik wojny, bez względu na granice, liczbę i skład ludności, czy formę organizacyjną przyszłego państwa. W dobrym postawieniu i to od pierwszej chwili, od podstaw organizacyjnych leży pomyślność odbudowy całej struktury narodowej, w razie przegranej (wolno nam w to nie wierzyć, ale w rozważaniach uwzględniać), jak zawsze w dziejach, jedyny ratunek pozostanie w oświacie.

Cele nasze przy odbudowie, w bardzo grubych zarysach, będą następujące :

1. Odbudowanie całego systemu szkolnego, od szkół elementarnych do wyższych, według potrzeb i możliwości kraju, zgodnie z tradycją narodową, ale również z uwzględnieniem *ostatnich zdobyczy naukowych w tym zakresie.*

2. Odbudowanie placówek naukowych i instytucji badawczych.

3. Zorganizowanie przeszkolenia młodzieży, obecnie będącej w szkołach powszechnych, w zakresie języka polskiego, literatury, historji, nauki obywatelskiej i innych przedmiotów przez zaborcę zakazanych, lub fałszowanych.

4. Zorganizowanie pośpiesznego przeszkolenia tej młodzieży, która dziś szkoły jest pozbawiona, czyli na poziomie szkoły średniej i uniwersytetu, ażeby doprowadzić do normalnego dopływu inteligencji do zawodów i stanowisk.

5. Zorganizowanie oświaty dorosłych i przeprowadzenie " dekontaminacji " ludności, zatruwanej przez kilka lat wrogą propagandą. Choćby odpór narodu był jaknajlepszy, a mamy stałe świadectwa tej nieugiętości postawy, to propaganda wroga pozostawi ślady w wielu dziedzinach.

Z punktu widzenia spraw wychowawczych ważne jest wykorzystanie skupień emigracyjnych w W.Brytanji, Szwajcarji i Stanach Zjednoczonych A. P. Jak nam nieraz mówią przyjaciele Anglicy jest to okazja raz na kilkaset lat i należy ją pod każdym względem wykorzystać, obsadzając wszystkie miejsca, gdzie się da, by utrzymać mózgi w kondycji, nie pozwolić im rdzewieć, a pozatem zebrać potrzebne doświadczenia. Utrzymywanie za wszelką cenę fachowców w wojsku jest wbrew interesowi narodowemu. W. Brytanja wyłączyła z obowiązku służby wojskowej bardzo wielu nauczycieli, i zostawiła na placówkach naukowych, w instytutach kształcenia wychowawców itp. W ubiegłej wojnie sprawy tej ze strony polskiej nie zaniedbywano, aczkolwiek nie istniał żaden Urząd Oświaty. Zorganizowana w Paryżu, zdaje się około roku 1916, Polska Liga Nauczania miała za sobą kilka dzieł m. i. ciekawą pracę inż. J. Lipkowskiego p.t. "Prawidłowa organizacja szkolnictwa w Polsce." Paryż 1918. (!)

Ważność rozbudowania kontaktów naszej myśli pedagogicznej ze światem anglosaskim nie wymaga dłuższego uzasadnienia. Kontakty te przed wojną były raczej słabe w proporcji do ważności i wpływu tych krajów na urabianie doktryny pedagogicznej ; seminarja uniwersyteckie i biblioteki były nieźle zaopatrywane w literaturę angielską (Niemcy natychmiast powywozili książki angielskie, w pierwszej kolejce), ale ilość badaczy ze znajomością języka angielskiego ograniczała się do kilkunastu osób, przekłady ukazywały się spóźnione i nie obejmowały podstawowych wydaw-

nictw. A przecież *związanie się z ruchem pedagogicznym narodów anglosaskich iest dla nas problemem wyjątkowej doniosłości*, gdyż:

1. Blok ten w razie zwycięskiego zakończenia wojny będzie dominował nad światem w każdej dziedzinie.

2. Blok ten ma olbrzymi ruch wydawniczy, oparty o miljony czytelników, liczne placówki badawcze, instytuty, posiada całą gamę ustrojów szkolnych od wielkomiejskich do wiejskich (Kanada), od jednolitych narodowo do mieszanych, wielojęzycznych, od jednolitego U.S.A., po zdecentralizowany W.Brytanji.

3. Blok ten jest wierny ideologji demokratycznej, która najlepiej odpowiada charakterowi narodowemu Polaków i, miejmy nadzieję, przenikać będzie ustrój odrodzonego państwa polskiego.

4. Blok ten wyraźnie dzierży prymat badań pedagogicnych, tak w zakresie organizacji szkolnej, filozofji pedagogicznej, eksperymentów metodycznych, jak i badań teoretycznych (psychologja, socjologja), a jednocześnie posiada znakomicie zorganizowany " wywiad naukowy," tak że nieraz więcej można dowiedzieć się o szkolnictwie sowieckim lub niemieckim z książek angielskich, niż z ich własnych. Nie mam ani ambicji, ani upoważnienia do szkicowania programu pracy w tym zakresie, pragnę jednak zwrócić uwagę na szereg prac, które możnaby podjąć, gdyby inteligentny, fachowy ośrodek kierowniczy przystąpił nareszcie do jakiejś planowej roboty w tym zakresie. Szkicując najpobieżniej widzę następujące możliwości:

1. Nawiązanie istotnego, nietylko etykietalnego, kontaktu z brytyjskiemi oraz innemi władzami wychowawczemi w sprawach zadań, gromadzenia zbiorów, stypendjów itp.

2. Współpraca z organizacjami wychowawczemi W.Brytanji. Jest ich sporo i bardzo aktywnych, a życzliwie do pomocy narodom europejskim nastawionych. Nauczycielstwo angielskie może najwydatniej postąpiło na drodze rozumienia spraw kontynentalnych i porzucenia „postawy izolacyjnej."

3. Akcja zbiórki książek, czasopism, podręczników. Przy umiejętnej organizacji można uzyskać wiele książek bezpłatnie i po wojne zasilić poważnie ograbione bibljoteki uniwersyteckie.

4. Gromadzenie wzorów pomocy szkolnych. Szkoła staje się coraz bardziej prawdziwem laboratorjum. Nietylko pomoce szkolne, ale również gry i zabawki opracowywane są dziś na podstawach badań naukowych.

5. Skierowanie kilku osób do badań i obserwacji specjalnych, jak np: inżyniera do badań budownictwa szkolnego (nowe materjały budowlane, konstrukcje przenośne, postęp w planowaniu szkół), statystyka do badań statystyki szkolnej, jej metod i form, lekarza do zagadnień opieki i higjeny itd.

6. Obsadzanie tylu odcinków wychowania, ilu fachowców znajdziemy, a więc: przedszkoli, szkolnictwa elementarnego, dopełniającego, średniego, zawodowego, dokształcającego, oświaty dorosłych, organizacji młodzieżowych. W każdym zakresie chodziłoby nietylko o zwiedzanie ciekawszych zakładów, ale również zebranie materjałów porównawczych drogą studjów książkowych, zebranie ważniejszych pozycji bibljograficznych, wytypowanie ważniejszych dzieł, które winny być przełożone w pierwszym okresie na język polski, czy nawet podjęcie przekładów już obecnie, zebranie wzorów i ważniejszych podręczników.

7. Skierowanie kilku osób do badań nad pedagogiką porównawczą systemów szkolnych, doktrynami pedagogicznemi, czy zagadnieniami specjalnemi, jak poradnictwo zawodowe i selekcja szkolna, niezmiernie ważne po wojnie,

8. Nawiązanie kontaktu i zapewnienie możności studjów emigrantom w Szwajcarii (doskonałe szkolnictwo elementarne i zawodowe) oraz USA.

Wiem, że na wywody powyższe odpowie się tysiącem zastrzeżeń, że wojna, że brak ludzi, że są ważniejsze sprawy itd. itp. Trzeba surowo i objektywnie rozważyć hierachję prac, przygotowujących przyszłość, a jestem najgłębiej przekonany, że nawet najsurowszy sędzia zawyrokuje, że *każde myślenie o przyszłości musi być oparte* na fundamencie tej przyszłości, *na planowym przygotowaniu wychowania nowego typu Polaka.*

JERZY KUNCEWICZ

O PEŁNE WYZWOLENIE CZŁOWIEKA

1. Potwór z Podziemi

Kiedy powstawał pieniądz, nie był on niczym więcej. jak tylko znakiem obiegowym, służącym wymianie usług. Początkowe formy pieniądza, mającego postać bezużytecznego kawałka skóry lub muszli, usuwały możność gromadzenia majątku w tego rodzaju znakach bezwartościowych. Używanie pieniądza w tej pierwotnej postaci było możliwe tylko w warunkach bliskiego współżycia kontrahentów. Nadużycia usuwała zwartość środowisk ludzkich, wsparta poczuciem moralnym. Warunki produkcji, uzależnione od mięśni i sprawności ludzkiej, zakreślały granice produkcji w ramach, dających się ująć przez każdego zainteresowanego. Ewolucja pieniądza, przekształcająca go w krążek bronzowy, srebrny, lub złoty, zmieniła istotnie jego pierwotny charakter. Pieniądz sam przez się stał się dobrem pozornie użytkowym, stał się towarem. Cena pieniądza, złożonego z substancyj rzadkich, o małej praktycznej użyteczności i o trudnej do określenia zawartości produkcyjnej pracy, niczym nie była związana z realnym życiem i z wytwórczością. Powszechność tego pieniądza, tak jednogłośnie uznawana za wielką zdobycz społeczną, stała się źródłem klęski, klęski oderwania pieniądza od krągu znanych sobie wzajemnie producentów i użytkowników. Pieniądz w nowej formie znalazł się na gościńcu, prowadzącym do kraju fikcji. Narasta cała alchemia pieniądza z olbrzymią masą znaków kabalistycznych. Nowa nauka tajemna zapewnia jednym niczym niezasłużony dobrobyt, innym nędzę. Pieniądz zmienia się w czynnik niezależny, a niezbędny w procesach produkcji. Zyskuje on przewagę nad pracą, nad siłami przyrody. Rola pieniądza wyrasta do granic, przy których nie ma on panów nad sobą.

Wokoło pieniądza i gospodarki pieniężnej skupiła się zwarta grupa kapłanów, znawców tajemnicy, obficie korzystająca z łask, spływających na świątynie. Sami kapłani coraz bardziej hypnotyzowali się połyskiem, oraz wagą krążków i sztab złotych. Hypnoza pieniądza działała, sens właściwy tego pomocniczego środka wymiany wymykał się świadomości, a prawa, rządzące ruchami nowego bóstwa, przekraczały pojętność najbardziej wtajemniczonych. Skupienie środków pieniężnych w rękach nielicznych rodzin bankierskich dało tym rodzinom specjalną pozycję społeczną, stawiając je obok najwyższych dostojników kościoła, państwa, czy koryfeuszy nauki lub sztuki. Różnica pomiędzy potęgą i znaczeniem bankierów a innych potentatów polegała na tym, że znaczenie tej pierwszej grupy ugruntowane zostało bez stosownego wkładu twórczego z ich strony, oraz ryzyka życia lub krwi.

Trzeba jednak być sprawiedliwym. Pieniądz jako krążek czy sztaba złota, a przede wszystkim jako banknot, czek, czy przekaz, odegrał wielką rolę w rozwoju gospodarczym. Dzięki tym formom pieniądza, oraz dzięki organizacji bankowej w najdalszych zakątkach globu mogły powstawać nowe warsztaty produkcji. Pieniądz ułatwiał nabywanie potrzebnych narzędzi i surowców w najdogodniejszych dla przemysłowca posta-

ciach i miejscach. Tymczasem ziemia także malała. Wytwórczość przekraczała potrzeby, uwarunkowane panującym ustrojem gospodarczym i związanym z nim rozdziałem dochodu społecznego. Zalety pieniądza, zalety nabyte w ostatnich stuleciach i tak kiedyś dawniej istotne, stały się z czasem źródłem klęsk ludzkości. W czwartym kwartale 1937 r. do Stanów Zjednoczonych A.P. przywieziono jeden milion dolarów w złocie. W kwartale pierwszym 1936 r. przywieziono 24 miliony dolarów w złocie. Różnica ta jest bardzo znaczna, ale okaże się ona wprost znikomą, gdy przytoczymy z kolei kwartał drugi przytoczonego 1937 r., kiedy przywieziono aż 651 razy więcej, niżeli w kwartale czwartym tegoż roku, lub gdy wymienimy cyfrę kwartału drugiego 1939 r., kiedy aż 747 milionów dolarów w złocie znalazło się na bezpiecznym wybrzeżu amerykańskim. Czy w innych krajach sprawa wygląda podobnie? W marcu 1938 r. rezerwa złota w Anglii wynosiła 836 milionów funtów szterlingów. Rezerwę tę obliczono po cenie 7 £. za uncje. W marcu 1939 r., to jest w rok potem, spadła ona do 560 £ milionów, czyli zmniejszyła się o około jednej trzeciej. Te fantastyczne wedrówki złota nie są tylko właściwością krajów anglosaskich. Jeszcze większe skoki obserwujemy we Francji i we wszystkich pozostałych państwach świata.

Złoto się uskrzydliło, ten ciężki metal całymi wagonami przerzuca się po kuli ziemskiej. W ślad za uciekającym złotem wali się stałość pieniądza i wszystkich papierów wartościowych. Powszechność pieniądza i łatwość jego przekazywania stają się źródłem zniszczenia. Padają banki, zamykają się fabryki, tłumy bezrobotnych wylegają na ulicę. Sztandary rewolucyjne grożą wszystkim, a złoto w szaleńczym pędzie na skrzydłach samolotów, na pokładach najszybszych, najbardziej luksusowych statków—goni przez świat. Bankierzy, finansiści, mężowie stanu, celnicy—stoją bezradni, gdyż strumień niszczący przenika wszędzie, omija wszelkie trudności, przekracza wszelkie bariery zakazów. Tłumy stają w długich ogonach przed kasami bankowymi zapatrzone w miraż ratowania swej zagrożonej fortuny, której na imię cyfra, a której treścią banknot kolorowy, bezwartościowa namiastka mało wartościowego metalu.

Pracowicie obmyślone teorie, grube, pełne rozumu foliały o pieniądzu—zawodzą, okazując brak realizmu ich autorów. Bankierzy gubią się wśród swych tajemnic. Życie olbrzymich mas ludzkich, zależne od fantasmagorii, ulega zahamowaniu i rozkładowi. Pieniądz, wszechwładne źródło twórczości materialnej, okazuje całkowity brak związku z tym, co stanowi istotną siłę i podstawę dobrobytu.

Czyż tylko mit złota i jego nieprawdopodobne wędrówki są przyczyną rozkładu? Czy choroba nie objęła raczej całego organizmu, normującego obieg pieniężny? Przez długi czas podstawą zaufania finansowego były bilanse banków i bilanse najpoważniejszych organizacyj przemysłowych i handlowych. Bilans był tabu, cyfry jego nie budziły wątpliwości. Poczucie moralne, a przede wszystkim dbałość o opinię firmy, stanowiły dużo skuteczniejsze zabezpieczenie prawdy tej kupieckiej spowiedzi, aniżeli wszelkie sankcje karne, przewidziane w przepisach kodeksów. Dbałość o firmę, łączącą się najczęściej z nazwiskiem jakiejś rozkochanej w tradycjach mieszczańskich rodziny, darzyła tę firmę solidnością. O ile bilans przeciętnego domu bankowego czy kupieckiego nie wzbudzał sceptycyzmu, o tyle bilanse banków emisyjnych były wprost świętością. Sumy złota, zalegającego podziemne lochy, opatrzone potężnymi zamkami, świadczyły o potędze instytucji i stanowiły gwarancję wygodnego papieru-banknotu. Dziś nie tylko w czasie wojny, kiedy wszystko jest tajemnicą i wszystko drży przed groźnym spojrzeniem cenzora, ale już na wiele lat przed wojną—świętość bilansów została naruszona. W bilansach współczesnych wiele pozycji zakamuflowano, co do innych zrodziły się poważne wątpliwości. Nie tylko sprawozdania firm przemysłowych i handlowych budziły niepokój

co do ścisłości ich dorocznych zeznań. Banki emisyjne wielu krajów poczęły ogłaszać niepełne, albo zgoła nieścisłe bilanse. Bank Sowiecki nie podawał często swego zapasu złota, a i wyszczególniona suma obiegu banknotów nie zbudziła zaufania. Bank Rzeszy niemieckiej uciekał się do skomplikowanych kombinacji, a zapas walut i złota był podawany w takich wysokościach, jak tego wymagała sytuacja polityczna i zamiary wojenne wodza. Inne państwa z małymi wyjątkami preparowały i upiększały swe bankowe oblicza tak, jak zdaniem kierownictwa gospodarczego i politycznego danego narodu najlepiej to odpowiadało zamiarom tych sfer. Coraz mniej świat wiedział i coraz mniej wiedzieli sami wtajemniczeni, co dzieje się w jaskini smoka. Jawność obrotu pieniężnego, uznawana za podstawę zdrowia gospodarczego, przestała istnieć. W wielu wypadkach wrócono do zamierzchłych czasów, kiedy książęta średniowieczni w prymitywny sposób fałszowali poprostu jakość pieniądza.

Nieobliczalność obiegu pieniężnego wzrasta, ze wzrostem zależności banków emisyjnych od nacisku władz państwowych. Państwo niczym się nie różni od zwykłego obywatela w jego pożądaniach pieniądza. Różnica w tym zakresie sprowadza się tylko do dwóch momentów: po pierwsze państwo potrzebuje dużo, bardzo dużo pieniędzy, po drugie, państwo ma środki administracyjne, które mu pozwalają łatwiej, aniżeli każdemu z nas zaspokoić swoje pragnienia. Organy finansowe państwa różnymi kanałami nie tylko w ustrojach totalistycznych, ale i w wielu demokracjach odprowadzały maksimum środków obiegowych do swoich szkatuł. Państwo pełnymi dłońmi zagarniało środki finansowe banków emisyjnych, utrudniając jednocześnie ich uzyskiwanie innym organizacjom gospodarczym. Tajemnice alchemii bankowej, powiązały się z tajemnicami stanu i z groźnie brzmiącym frazesem „interes państwowy".

Z państw słabszych, bardziej zagrożonych gospodarczo, lub stojących przed prawdopodobieństwem zawieruchy wojennej, różnymi szczelinami odpływało złoto i pełnowartościowe waluty. Państwa na dorobku, państwa pragnące rozbudowy swego przemysłu a nie mające na to złota, musiały uciekać się do tranzakcyi, właściwych bankrutom. Mit złota, jego władza, przytłaczały wszystko, co było wartościowe, istotnie i cenne ze względu na swą użyteczność. Dla ratowania pozorów, dla łatania dziur gospodarczych, spowodowanych odpływem złota, państwo poświęcało wszystko. Wobec małego znaczenia, jakie przypisywano przedmiotom użytkowym, płacono każdą cenę za złoto lub waluty. Z krajów rolniczych Europy Środkowej, z dalekiej Azji oraz z Ameryki Południowej, wysyłano góry artykułów spożywczych i surowców, by za nie otrzymać niewielkie bryły złota. Wielka Brytania, Francja, a przede wszystkim Stany Zjednoczone A.P. skupiały około 90% złotego metalu. Konkurencja pomiędzy krajami rolniczymi rosła. Zabiegi około utrzymania okruchów tego skoncentrowanego bogactwa pochłaniały dobrobyt setek milionów pracowników rolnych. Polski cukier, rumuńska czy węgierska pszenica, rosyjskie, polskie, czy jugosłowiańskie drzewo i wielki szereg innych najcenniejszych dóbr wysyłano do krajów przemysłowych za ekwiwalent, który niewiele przewyższał koszty transportu. Pożądanie złota i walut było tak wielkie, pęd w tym kierunku tak niezahamowany, że np. Polska, zagrożona najazdem niemieckim, oraz inwazją bolszewicką, wyprzedawała swój sprzęt wojenny do ostatnich dni sierpnia 1939 r. Pęd ten był rezultatem choroby powszechnej, świadectwem odejścia od rzeczywistości i roztapiania się w świecie fikcji.

Wielkie masy ludności w krajach rolniczych i potężne zastępy bezrobotnych w krajach przemysłowych przyglądały się zdaleka tym niezrozumiałym zapasom górnych kilku tysięcy. Walka o złoto, przedstawiana przez popularną, pełną nieuctwa prasę, jako walka o dobro powszechne, przerastała świadomość cierpiących. Pieniądz, jako źródło wszelkiego dobra, jako narzędzie pracy i dobrobytu—to była wiara powszechna.

Pracowano nad umocnieniem tej wiary przez długi ciąg lat. Starano się zaćmić zrozumienie praw zdrowego rozsądku u ludzi, ceniących poprostu użyteczność i ośmieszano wulgarność i „nienaukowość" takiego podejścia. Z ofiarności mas w walce o rzeczy nieistotne, a właściwie wręcz szkodliwe—uczyniono sprawdzian obywatelskości.

O ile zasadą krajów rolniczych był eksport ich produktów za każdą cenę, o tyle prawem krajów przemysłowych był tani chleb dla robotnika. Z tej zasady taniego chleba wywodzi się zanik rolnictwa w Wielkiej Brytanii. Z niej wyrasta kryzys w rolnictwie Stanów Zjednoczonych. Kraje przemysłowe odrywają wielkie grupy ludności od ziemi i skupiają je w miastach oraz osiedlach fabrycznych. Więzy, łączące człowieka z ziemią, która daje poczucie realizmu i zdrowy instynkt społeczny, zostają nadwyrężone. Człowiek przemysłowy popada w niewolę fikcyj, wśród których prym trzyma pogoń za złotem, banknotem, lub rachunkiem czekowym.

Zapomina się o tym, że tani chleb z krajów rolniczych, to jednocześnie zamknięte wrota dla eksportu artykułów przemysłowych do tych krajów. Częściową kompensatą stają się kredyty eksportowe i premie wywozowe. Każdy z ministrów skarbu Wielkiej Brytanii czy Stanów Zjednoczonych dobrze się orjentuje, że tego rodzaju kredyty—to przepadłe pieniądze. Każdy człowiek światły wie, że te kredyty i te premie nie uratują sytuacji, nie uruchomią stojących maszyn oraz nie zatrudnią milionów bezrobotnych. Jednak mit taniego chleba, mit stworzony przedewszystkiem dla potrzeb świata bankowego, jako środek gwarantujący procenty i rentowność przemysłu, zwycięża. Każdy logiczny argument wobec przewagi tych co rządzą, ginie niezauważony. Zwycięża świat kapitału, chroniąc cały dewastacyjny system zasad obiegu pieniężnego. Zwycięzca ofiar nie liczy. Polityka banków emisyjnych związana z dobrobytem i władzą rodzin bankierskich, dalej z rodzinami przemysłowymi i kupieckimi utrzymuje wszystkie legendy i wszystkie niedorzeczności. Naruszenie skamienialiny zasad obiegu pieniężnego, niedostosowanych do nowych warunków społeczno-gospodarczych, grozi posiadaczom katastrofą. Więc zasady te, przeciw całej logice życia i troskom miłosierdzia, sztucznie są utrzymane.

Złoto, banknot—te siły według wiary powszechnej życiodajne, wydostawszy się ze skarbca banku emisyjnego, odbywają drogę pełną najdziwniejszych przygód, zanim dotrą do rąk szarego człowieka. Ile tajemniczych i jak zabytkowych obrządków towarzyszy temu procesowi przenikania pieniądza z mroków podziemi do mroków portfeli czy portmonetek—o tym wiedzą tylko wtajemniczeni. A jak niedorzeczne są te obrzędy i drogi krążenia soków pieniężnych—tego doświadcza na sobie każdy obywatel, choć nie może zrozumieć całej bezmyślności procesów, którym ulega. Jak w wielu wierzeniach rytuał zagubił dla uczestników swój sens istotny, zaginął wszelki związek, jaki istniał pomiędzy metalem czy banknotem, a życiem gospodarczym.

Czy znamy dziś wielką ilość wypadków przynoszenia do banku emisyjnego sztab złota, aby je zamienić na bilety bankowe? Prawda, że w związku z potrzebami wojny w wielu krajach wydobyto pod naciskiem ustawy, czy też uczucia patriotycznego, bacznie strzeżone przez posiadaczy złota okruchy i złożono je na szali obowiązku. Te specjalne wypadki, to raczej zaprzeczenie uprzednio obowiązującej reguły. Minął czas, gdy chętnie niesiono ciężkie sakiewki, by ich zawartość wymienić na banknoty. Zasada wymienialności i zasada złota, jako podstawy zdrowego obiegu pieniężnego, pozostaje martwą literą prawa dla fachowców bankowych. Życie sprawy te przesądziło i usunęło. Wymiana złota na banknoty stanowi zasadniczą drogę dopływu znaków pieniężnych do masy ludzkiej. Dzisiaj ta metoda rozprowadzania środków obiegowych nie istnieje, czy przywrócenie jest możliwe? czy może nas ucieszyć? i uzdrowić nasze życie gospodarcze? Kto poza posiadaczem złota otrzymuje pieniądze z banku

emisyjnego? Otrzymuje je posiadacz weksli, przedstawiający je bankowi dla skupu. Weksel przez dłuższy czas był dokumentem stwierdzającym dokonanie tranzakcji kupna—sprzedaży pomiędzy producentem towarów użytkowych a ich dalszym przetwórcą, odsprzedawcą lub konsumentem. Weksel w tych warunkach był dowodem wyprodukowania i wymiany dóbr potrzebnych człowiekowi. Nabycie weksla przez bank emisyjny oraz udzielenie zań banknotów łączyło proces obiegu pieniężnego z obiegiem wytwórczym. Ten rodzaj tranzakcji między bankiem emisyjnym a przedstawicielami życia gospodarczego, dużo lepiej i dużo realniej wiązał obieg z produkcją, aniżeli tranzakcja tegoż banku z posiadaczami złota. Tranzakcje, dokonywane złotem, nosiły zawsze cechy spekulacji, fikcji, no —i często niemoralności. Teraz już weksel nie ma dawnego znaczenia, a spekulacja oraz państwo objęły i tę dziedzinę obiegu, która dawniej stanowiła świadectwo realnej, użytecznej pracy. Instytucje przemysłowe unikają weksla, uciekając się do rachunku otwartego, zabezpieczonego bardziej realnymi walorami niż podpisy firm lub osób, o których wobec nieścisłości bilansów często niewiele można się dowiedzieć. Weksel, dzięki formie kredytu, który reprezentuje, nie stwarza granic psychicznych dla kredytów udzielanych i dla zobowiązań zaciąganych. Weksel wraz z zanikiem ambicji firm, który to zanik jest następstwem anonimowości oraz ucieczki przed odpowiedzialnością osób stojących poza firmą,—stał się niebezpieczny. Dziś z tranzakcji wekslowych korzystają przeważnie osoby, czy firmy słabe, lub potrzebujące pieniędzy na spekulację. Banknot, przenikający obecnie do ośrodków życia gospodarczego w drodze skupu weksli przez instytucję emisyjną, nie jest już pieniądzem ulokowanym w najtęższych warsztatach. Życie rozerwało również związek pomiędzy produkcją a obiegem. Związek dawniej logiczny, na którym opierał się realizm mechanizmu pieniężnego, coraz to bardziej zawodzi, a cały mechanizm obraca się w próżni ze szkodą dla wszystkich.

Istnieją jeszcze dwie dalsze drogi, przy pomocy których bank emisyjny rozprowadza wydobyte ze schowków pieniądze. Jeśli rozporządzamy papierami wartościowymi lub innymi zobowiązaniami, uznanymi przez bank za wartościowe, to bank emisyjny pod zastaw tych dokumentów może nam postawić do dyspozycji walutę. Jakiego rodzaju papiery przeważają wśród papierów, uznanych za dostateczną gwarancję dla tego rodzaju tranzakcji? Podstawę do tych tranzakcji stanowią przeważnie papiery państwowe, lub papiery komunalne. Kto głównie pożycza pod zastaw tych papierów? Państwo, lub instytucje od niego zależne. Państwo staje się w coraz to większej mierze dysponentem środków obiegowych. Wiemy zaś, że nie jest ono najtęższym wytwórcą dóbr produkcyjnych, czy użytkowych. Taki stan rzeczy nie może zabezpieczać produktywnego wyzyskania zdobytych w łatwej drodze pieniędzy. Państwo jednak nie chciało i nie chce ograniczyć swego apetytu do kredytów przyznanych mu za przywilej emisyjny, który to kredyt choć stale podnoszony, nigdy władzom naszym nie wystarcza.

Inne drogi emisyjne są również pewną formą świadczeń banku na rzecz potężnego państwowego kontrahenta. Instytucje zależne od rządu wystawiają zobowiązania, ktore są dyskontowane. Kredyty, które czerpie skarb państwa z banku emisyjnego i innych instytucyj finansowych, stale wzrastają. Pożądaniom państwa nie może się oprzeć bank centralny czy inne banki, ale i wszelkiego rodzaju zakłady ubezpieczeń społecznych, jako też instytucje pokrewne. Istniejące w tych instytucjach ograniczenia statutowe są usuwane, lub stają się martwą literą. Siłą państwa i tajemniczy argument „wyższej konieczności" oraz "interesu państwowego" przezwyciężają wszelkie przeszkody. Na domiar złego nie można stwierdzić, aby środki pieniężne czerpane przez państwo były używane w sposób potęgujący rozwój gospodarczy. Państwo stoi urzędnikami i jest ostatecznie rządzone

przez urzędników, a jeśli czasami nie jest ich państwem, to w każdym razie jest domeną trosk i nadziei biurokracji. W tych warunkach większość sum, osiągnięta przez państwo, przepływa do kieszeni urzędniczych i bywa obracana na wydatki, często niewiele mające wspólnego z celowym rozwojem gospodarczym.

Stoimy przed zjawiskiem rozbratu pomiędzy formą pieniądza, jego obrotem, a produkcją. Dopływ środków obiegowych do maszyny produkcyjnej i do konsumenta zagubił się w zardzewiałych trybach rutyny. Cień przeszłości, błądzący po zakamarkach gabinetów dyrekcyjnych i lochach bankowych, decyduje o życiu gospodarczym. Skonsternowani rutyniści, nie rozumiejący nic poza swoimi nałogami, a zarazem dufni w swoją wiedzę, nie pojmują buntu potęg, które im dotąd uległe służyły.

Automatyzm przeważa nietylko w dziedzinie zasad, obciąża on także technikę wewnętrzną ogranizacyj finansowych. Terminy weksli, forma weksla, metody wywiadu o klijentach, postępowanie z klijentami—wszystko to jest poza świadomością i celowością, wszystko to jest odruchem. Na terenie bankowym ciągle jeszcze panuje przeświadczenie, że z Anglii do Indji jedzie się trzy miesiące. Ciągle się myśli, że transport złota jest trudny i niebezpieczny. Ciągle się zapomina, że pędzimy w przyszłość z szybkością, przy której albo więzy starych form pękną, albo my będziemy nimi zdławieni.

Związek pomiędzy pieniądzem a państwem degeneruje obydwa te czynniki. Ambicja niezależności, tak długo ujawniana przez bankierów i przedstawicieli życia gospodarczego, zaginęła. Symbioza pomiędzy administracją państwową a pieniądzem odebrała bankierom ostatnie pozostałości zmysłu realnego. Symbioza ta paczy również administrację, otwierając jej możliwości łatwych sukcesów finansowych. Zanika troska o podniesienie wytwórczości i oparcie jej na zdrowych podstawach. Poco walczyć i myśleć, kiedy przed państwem stoją otwarte kasy bankowe? Bank ze swej strony przestał interesować się warsztatem i produktem, gdy pieniądze od niego pożycza i zwrot ich gwarantuje wszechmocne państwo. Giną resztki związków pomiędzy obiegiem pieniężnym, a produkcją i wymianą. Państwo operujące tysiącem martwych paragrafów i setkami tysięcy urzędników nie ratuje sytuacji. Człowiek, przyroda, produkcja—zagubione w huku potężniejących maszyn, szukając dróg wyjścia, potykają się o tomy niby mających wszystko wiązać ustaw.

Kiedy człowiek płacił za świadczenia innego człowieka muszelkami lub kawałkami skóry, znali się osobiście nabywca i wytwórca. Obydwaj umieli „zdrowym rozumem” ocenić wartość produktów przez siebie wytwarzanych. Kiedy bankier z czasów średniowiecza pożyczał pieniądze rzemieślnikowi lub rycerzowi, wszystko o nich wiedział i wszystko oni o nim wiedzieli. Kiedy w ubiegłym stuleciu domy bankowe pracowały z firmami kupieckiemi, czy przemysłowemi, zdawało im się, że wiedzą, na co pieniądze idą i jakim celom wytwórczym służą. Obecnie dyrekcje wielkich banków stoją wobec wielkich niewiadomych, pochowanych za szumne nazwy bezimienne i za tajemnicze zakamarki bilansów. Dziś tranzakcje najodpowiedzialniejsze są pełne niewiadomych dla wszystkich, nawet pozornie wtajemniczonych. Nie pomogą góry cyrkularzy, wywiadów, sprawozdań. Nic nie pomoże ingerencja wszechpotężnego i wszystko obejmującego państwa. Drogi pieniądza, drogi produkcji, drogi konsumcji, rozdziału dochodu społecznego zagmatwały się, straciły grunt realny. Łaczność, płynąca z życia ustała, łączność papierowa nie uratuje przed katastrofą. Mityczny potwór z lochów bankowych żyje tylko tym życiem o którym głosi wieść gminna. Wszystkie zaś legendy, które wieszczą jego zakłamane sługi rozproszy jedno trzeźwe spojrzenie.

CZESŁAW POZNAŃSKI

DOKTRYNA NIEINTERWENCJI.

W polskiej wersji praw człowieka spotykamy stwierdzenie, że naród, którego prawa będą przeczyły prawom człowieka, winien być uznany za napastnika. Tę samą ideę w formie mniej jaskrawej znajdujemy w raporcie Labour Party, który mówi: „Każdy naród ma prawo do wyboru swej formy rządzenia, pod warunkiem, że uzna i będzie szanował Cztery Wolności i zobowiązania międzynarodowe z nich wynikające".

Niewątpliwie takie postawienie sprawy jest odstępstwem od tradycyjnych norm prawa międzynarodowego. Jeżeli sięgniemy do źródeł naukowych to przekonamy się, że suwerenność państwa w sprawach wewnętrznych jest uznana za dogmat; że wszelka interwencja z zewnątrz, celem zmiany formy rządów w jakiemkolwiek państwie, jest uznana za niedopuszczalną.

Jeżeli więc tak jest, jeżeli zarówno autorowie polskiego projektu, jak i autorowie angielskiego raportu świadomie zupełnie żądają odrzucenia tradycją uświęconej zasady, to warto może sprawie tej bliżej się przyjrzeć. Warto zanalizować i historję samej zasady i to, czy rzeczywiście była ona tak niewzruszona, jak w to nam każą wierzyć podręczniki; warto wreszcie zastanowić się, dlaczego ją obecnie należy formalnie odrzucić. Otóż pierwszem stwierdzeniem, które wtedy poczynimy, będzie, że zasada nie wtrącania się w sprawy wewnętrzne państw jest zasadą względnie bardzo młodą. Wszystkie wojny wieku XVII, czy to wojna trzydziestoletnia, kiedy Gustaw Adolf śpieszył na pomoc protestantom niemieckim, czy to wojny Ludwika XIV z Wielką Brytanją, ściśle związane że sprawą katolicyzmu w Anglji i restauracji Stuartów, czy to wreszcie wojny polsko—rosyjskie, zarówno gdy magnaci popierali Dymitra Samozwańca, jak i kiedy carowie moskiewscy „pomagali" kozakom, były wojnami, w których ościenne mocarstwa wyraźnie zupełnie szukały wpływu na życie wewnętrzne państw innych. Istotnie, po raz pierwszy bodaj, doktryna nie mieszania się w sprawy wewnętrzne innych państw zostaje sformułowana dopiero pod koniec XVIII wieku przez wielkiego prawnika szwajcarskiego Vattel'a, który twierdził: "C'est une consequence manifeste de la liberté et de l'independance des nations que toutes sont en droit de se gouverner comme elles le jugent à propos et qu'aucune n'a le moindre droit de se mêler au gouvernement d'une autre".

W teorji prawa międzynarodowego zasada ta, ustalona przez Vattela, nie budziła żadnych wątpliwosci wśród współczesnych. Praktyka jednak mówiła zgoła co innego. Ani Fryderyk II, ani Katarzyna II nie wahali się na chwilę mieszać w sprawy wewnętrzne Polski, jako protektorzy dyssydentów. A po konstytucji 3 maja, Katarzyna na wezwanie targowiczan oficjalnie wystąpiła, jako protektorka „swobód" polskich.

Tak samo na Zachodzie koalicja przeciw Rewolucji Francuskiej miała wyraźnie na celu zgniecenie ruchu rewolucyjnego i przywrócenie monarchji. Początkowo coprawda William Pitt był przeciwny krucjacie antyrewolucyjnej. Jego zdaniem należało "pozwolić Francji urządzać swe sprawy wewnętrzne tak jak potrafi". Ale później, jak wiadomo, ten sam Pitt stał się duszą koalicji. I to właśnie Anglik, Burke, najmocniej sformułował doktrynę uprawnionej interwencji. Burke pisał: „Jeżeli wojna przeciw Ludwikowi XIV, który chciał nam narzucić swą religję, była wojną usprawiedliwioną, to wojna przeciw mordercom Ludwika XVI, którzy chcą nam narzucić swą antyreligijność, jest wojną usprawiedliwioną; wojna przeciw systemowi, który pozbawia życie godności, a śmierć nadziei, jest wojną usprawiedliwoną. Jeżeli było słuszne prowadzić wojnę, by zapobiec połączeniu się dwóch

koron na jednej głowie, to słuszne jest prowadzić wojnę o to, aby zapobiec zerwaniu wszystkich koron z głów, które je noszą i ścięciu tych głów. Jeżeli słusznym powodem wojny jest ochrona niepodległości i wolności narodu, to wojna o ochronę przed całkowitą zatratą niepodległości, własności, swobody, życia i honoru jest wojną słuszną, konieczną, męską, pobożną; i wszystkie boskie i ludzkie zasady nakazują nam prowadzenie jej tak długo, póki *system, który grozi wszystkim porówni* nie zostanie obalony".

Po wojnach rewolucyjnych i napoleońskich usiłowano tę doktrynę interwencji usankcjonować. Święte Przymierze miało wszak za zadanie nie dopuścić do ruchów rewolucyjnych w Europie; członkowie jego byli zobowiązani do dławienia rewolucji nawet poza granicami swych krajów. W praktyce jednak próba ta, mimo wysiłków Metternicha, nie powiodła się.

Anglja bardzo szybko opuściła Święte Przymierze i powróciła do doktryny nieinterwencji. Francja po interwencji w Hiszpanji też się do doktryny zniechęciła—zresztą w roku 30 nastąpił w Francji przewrót rewolucyjny. I jedynie obok Metternicha, Mikołaj I pozostał wierny ideałowi Świętego Przymierza. Nie mógł coprawda we Francji przywrócić na tron Karola X; nasza polska rewolucja uratowała Francję Ludwika Filipa od interwencji. Ale wysłał swe wojska w roku 49 by ratować tron Węgier dla Franciszka Józefa.

Jednocześnie jednak królowa Wiktorja pisała do swego wuja, króla Belgji, o republikańskiej Francji 1848 roku: "Jeżeli powstanie rząd, który będzie miał poparcie kraju, to będziemy musieli go uznać, by zmusić do zachowania pokoju i istniejących traktatów, co jest najważniejsze. Nie będzie to dla nas przyjemne, ale sprawa publiczna i pokój Europy muszą przeważyć nasze sympatje osobiste".

To ścisłe rozróżnienie między polityką wewnętrzną państw, nic sąsiadów nie obchodzącą, a polityką zagraniczną; to uznanie, że z każdym rządem, który szanuje zobowiązania międzynarodowe swych poprzedników, należy utrzymywać poprawne stosunki, de facto więc panuje dopiero od połowy XIX wieku. I istotnie panuje nad całym wiekiem XIX.

Jednak już podczas pierwszej wojny zasada ta została na nowo zachwiana. Woodrow Wilson, z którego jest modnie dzisiaj naigrywać się, a który tem niemniej był wielkim mężem stanu o proroczej wizji, w swojej mowie senackiej 22 stycznia 1917, po raz pierwszy sformułował nową zasadę. Wskazał on wtedy, że należy dążyć do „swobody mórz, sprawiedliwości dla mniejszych narodów i pokoju opartego na zasadzie, *że rządy czerpią swe legitymacje ze zgody rządzonych*".

A na cztery dni przed wypowiedzeniem wojny przez Stany, w słynnej mowie Kongresowej z d. 2 kwietnia 1917 roku, nadał swej myśli to ostateczne sformułowanie: „Trzeba świat uczynić bezpiecznym dla demokracji. Pokój świata musi być oparty na wypróbowanych fundamentach wolności politycznej".

Wilson przegrał. Doraźnie coprawda znikło cesarstwo niemieckie i przyszła republika wejmarska. Po wojnie jednak z powrotem zatryumfowała zasada nieinterwencji, nie mieszania się w sprawy wewnętrzne państw. Gdy Mussolini doszedł do władzy, nikt nie zareagował. Nie było żadnej interwencji dyplomatycznej, gdy zamordowany został Matteotti, i gdy krwawy dyktator począł likwidować swobodę Włoch. Bezkarnie przeszło Dollfussowi morderstwo robotników wiedeńskich i wprowadzanie ustroju korporatywnego. Nawet potworności regime'u Hitlerowskiego uznane zostały za "sprawy wewnętrzne" Niemiec, do których innym państwom mieszać się nie wolno. Wreszcie przyszła krwawa farsa „nieinterwencji" w sprawy hiszpańskie, kiedy to dopuszczono do tego, by aeroplany i tanki niemieckie i włoskie zgniotły republikę hiszpańską w

myśl zasady nie mieszania się w sprawy wewnętrzne Hiszpanii.

A jednak nawet w tym okresie doszło do interwencji w sprawy wewnętrzne jednego z państw. Francja i Anglja popierały w Rosji i Kołczaka, i Denikina i Wrangla, i Judenicza. I ten jeden wyłom w zasadzie nie mieszania się w sprawy wewnętrzne daje nam klucz do zrozumienia jej istoty i jej granic. Interwencja antybolszewicka wywołana była przez te same motywy, co interwencja przeciw Rewolucji Francuskiej. Sfery rządzące Zachodu obawiały się, że zwycięstwo bolszewizmu w Rosji odbije się echem i w ich krajach, że będzie sygnałem do rewolucji powszechnej. Postanowiły więc dopomóc do zniszczenia tego źródła zarazy. W zwycięstwie zaś Franca w Hiszpanji nie dopatrywała się ani Anglja, ani Francja żadnej groźby dla swych interesów.

Doktryna nieinterwencji w sprawy wewnętrzne dlatego mogła panować w wieku XIX, że mimo wszystko, zasadnicze podstawy zarówno Imperjum Rosyjskiego, jak np. Republiki Francuskiej były w znacznej mierze zgodne. Wszędzie państwo było w zasadzie praworządne, wszędzie w zasadzie panował system kapitalistyczny.

Powstanie dyktatur w drugiem i i trzeciem dziesięcioleciu wieku XX obaliło jednak same podstawy doktryny nieinterwencji. Mussolini i Hitler grali bardzo zręcznie. Nietylko, że zapewniali, że faszyzm, czy nacjonal—socjalizm nie są artykułami eksportowemi, ale operowali także nader umiejętnie straszakiem bolszewizmu.

Usypiali w ten sposób czujność. Aż wojna obecna wykazała, że podobnie, jak niepodobieństwem było, żeby w Stanach Zjednoczonych istniały Stany wolne obok Stanów, w których panowało niewolnictwo, tak i w świecie dzisiejszym nie mogą współistnieć państwa demokratyczne i państwa dyktatorskie.

Piąte kolumny, te piąte kolumny, które w części spowodowały upadek Norwegji i Holandji, a w 90 bodaj procentach spowodowały upadek Francji, są najbardziej jaskrawą wskazówką, że istnienie dyktatur w państwach ościennych jest stałą groźbą dla wszystkich innych państw. Każda dyktatura w sobie samej nosi pęd do powszechności, żaden dyktator nie czuje się pewny, póki istnieją wolne ludy, jemu nie poddane. Faszyzm jest wojną. Początkiem jego jest wojna wewnętrzna, koniecznością podbój świata. Jak to śpiewała młodzież hitlerowska: „Heute gehoert uns Deutschland—Morgen die ganze Welt".

Dlatego też, gdziekolwiek by powstały, czy pozostały rządy dyktatorskie będą one groźbą dla wszystkich.

I dlatego trzeba zerwać—z nie tak starą i nie tak bardzo uświęconą, jakeśmy widzieli—zasadą nie mieszania się w sprawy wewnętrzne państw i śmiało uznać, że świat nowy będzie musiał być oparty na nowej zasadzie. Zasadą tą będzie stworzenie takiej organizacji międzynarodowej, która by niedopuszczała do obalania swobód demokratycznych.

HERMINJA NAGLEROWA.

CIĘCIWA.

Pociągi ewakuacyjne odbywały swoją drogę krzyżową. Zrazu wyznaczano im kierunek i miejsca postoju. Wprędce jednak okazało się, że mierzenie czasu jest wobec szybkości wyścigu wojennego — anachronizmem. Po wielekroć trzeba było dźwigać walizki, jedyny już dobytek, a tak właśnie dokuczliwy i prawie znienawidzony przez swoje natręctwo. Ciągle przecież

zdawało się nam, że owe toboły i walizy, owe sakwojaże i nesesery mają jakieś prawo do naszej troskliwości. Ba—do naszej uczuciowości, która już zaczynała być tęsknotą za porzuconym domem. Była to jedna z wielu suggestyj, chcących w swoim uporze przetrwać wszystko: tułaczkę i poniewierkę, żal i wstyd.

Z temi nowemi uczuciami trudno było się pogodzić. Działały chorobowo jak toksyny, przeciw którym mądry organizm nie wytworzył jeszcze odtrutki. Tak sądziliśmy wówczas, nie zdając sobie sprawy z tego, że już sam gniew jest antytoksyną, że nawet niepowściągliwość słów była lekiem na bezradność, niemal już podobną depresji.

Bo piękna wrześniowa pogoda nie działała kojąco. Strojąc się w letnie barwy, drażniła jesiennym rozstrojem. Już nie listopad tylko miał być odtąd "trudną dla Polaków porą", ale i wrzesień. Oznaczymy go kiedyś w kalendarzu czarną obwódką i im będzie piękniejszy, tem cięższej będzie znieść jego polsko-jesienne uroki. Chyba, że wrzesień właśnie. . . .

Nie wybiegajmy jednak naprzeciw nadziejom. Wówczas nie było ich w naszych sercach, tak już bliskich śmierci, że aż sennych i otępiałych.

Pociąg nasz nie wypuszczony nocą ze Zdołbunowa doczekał swojej kolejności aż do białego dnia. Był 15-y września 1939 roku. Przebiegłszy niewiele kilometrów, pociąg znowu przystanął na wymijalni. Ktoś twierdził, że przed nami idą, a może tak samo stoją pociągi wojskowe. Ktoś gniewnie zapewniał, że to poprostu bałagan.

Godziny czekania wmuszały oczom krajobraz za oknem, a raczej dwa rozmaite krajobrazy. Tak bowiem bywa, że w przeciwległych oknach wagonu jawią się niepodobne do siebie wycinki, jakgdyby pociąg przebiegał wzdłuż granicy dwóch stref. Gdy po lewej stronie jest las, po prawej rozciąga się moczarzysta łąka. Gdy w jednem oknie zataczają się chaty wioski, w drugiem smużą się wydmy piaszczyste, zaprzeczające istnieniu ludzkich osad.

I tym razem ramy okien obwiodły dwa widoki. Z prawej było na pierwszym planie obejście i wysoki stóg siana. Ściernisko rozściełało się od wału kolejowego i zwężając się w perspektywie, chłonęło pył słoneczny dla potrzebnych mu malarskich barw. Żółte tu blisko, liljowiało więc w dalecyźnie, aby wreszcie opasać się niebieskością podchodzącą pod kolor nieba. Zmęczony wzrok uciekał w dal dla rekreacji. Kiedy zaś ściągał swoje promienie spowrotem, stawał się na chwilę znowu badawczy i drobiazgowy. Dostrzegał niemal każde źdźbło nacięte sierpem, każdy chwast i kwiat. Z łaski słońca i pogody ożyły bowiem kwiaty polne. Pokaleczone przez żniwiarzy, krzewiły się odnowa ostróżki, dokwitając swoje zmartwychwstanie jeszcze intensywniejszym szafirowo-

fjoletowym tonem. Kąkole natomiast stały się wątlejsze i bledsze. Maki musiały uledz powoikowi, który opasując ich łodygi, wyrastał im ponad głowę i tłumił czerwony kwiat obfitością białych kieliszków. Za to rumianek szalał od przestronności, nietylko kwitnąc ale i pachnąc w słonecznym żarze. Woń tego kwietnego potu wchodziła do przedziałów pociągu, przypominając kobietom—salon fryzjerski.

W drugiem oknie spalała się w słońcu kartoflana nać. Rudo-zielona strzępiła się wzdłuż bruzd spopielałych od długotrwałej posuchy. Starczo i nędznie dożywały krzaki kartoflane swój czas. Kruszały z każdą godziną, pozbawione soków, nierade już niczemu. A najmniej właśnie słońcu, które ludzi tylko starość swojem ciepłem. Tak wygrzewa się na przyzbie zgrzybiały chłop, wierząc, że słońce odmłodzi go niczem szczepionka. Nać ziemniaczana w roślinnym instynkcie wie o swojem konaniu więcej i pewniej niż człowiek, a przeżywa swoją tragedję ciszej i bez zdumienia.

Za kartofliskiem skośną ścianą stał las. Zielony jeszcze i zdawałoby się młody, przynależny barwom lata. Wydawał się przez to urągliwy wobec zamierania kartofliska. Trwając tak swoją puszystą świeżością, służył ludziom użyczliwie. Bywał im osłoną i ukryciem, maskując niejako ich popłoch przed bombowcami. Mój Boże—był, jak kokosz, która skrzydłami osłania pisklęta przed jastrzębiem. Tak musiało się wtedy myśleć o tym lesie, czy też lasku, aby natychmiast popsuć sobie samemu beztroskę patrzenia smutkiem, jakże zgryźliwym i nieprzyjaznym.

Pociąg stał na szynach tak mocno, jak dom na podmurowaniu. W istocie mienił się już domem, pełnym gwaru i powszednich zagadnień. Głód wypędzał podróżnych na poszukiwania. Ktoś zdobył litr mleka, ktoś bochenek chleba. Młodzieży i dzieci nie można było poskromić żadną perswazją, nawet tą najbardziej okrutną, że jest wojna. Wyskakiwały z pociągu, nie chcąc nic wiedzieć o niebezpieczeństwie nalotu. A kiedy nareszcie udało się zagnać je do wagonów, ten jeden—siedem-nastolatek w uczniackiej czapce na bakier, został krnąbrnie i zadarłszy głowę, szukał na niebie wroga. A może tak tylko wpatrywał się w rozpięty szeroko błękit, zachwycony jego bezmiarem, zuchwały młodością, umiejącą podołać niebu i zakazom matki. Oto stała w oknie blada i zastraszona. Jest wielka i mocna, jest piękna i ukochana. Jakże cudownie jest nie słuchać jej i tu wobec wszystkich mieć swoją wolę. Martwić ją, zapowiadając grubym, chropawym głosem: Pójdę do wojska, bo co mama wie!

A zresztą nawet nie to, wcale nie to. Miał ochotę stać przed pociągiem, więc stał. Niech mówią, że dla świeżego powietrza. Owszem—było świeże, choć znowu nie tak bardzo. Od wagonu-cysterny zalatywał zapach benzyny, parowóz czadził

dymem i smarami, od zagrody nawiewało nawozem, a gdy się usiadło na chwilę, ziemia niemal cuchnęła czemś przykrem i nieznanem. Przeciwnie—czemś znanem: cmentarzem. Wielka rzecz, że właśnie cmentarzem! Można zaraz wytłumaczyć, dlaczego. Rośliny butwieją. Tak musi być, że jesienią zamiera....

Lekko po wierzchu mózgu i na samym jakby skraju serca plątały się te sprawy nieco żenując młodzieńca. Zaczynały niby coś znaczyć, ale matka w sam czas podała pajdę chleba z twarogiem. Oczywiście—zapomniała posolić. Ale niech tam! Nie warto o to robić kwestji. Chłopak jadł, odwróciwszy się tyłem do pociągu. Widać było, jak dzielnie pracowały jego szczęki, a wątłe policzki puchły od wielkich kęsów. Krótki cień południa wybiegał mu spod szeroko rozstawionych stóp.

Stał tak po prawej stronie pociągu, gdy po lewej zastukotał bieg parowozu. Lekko, tanecznym truchtem przebiegły nowiutkie pulmany o ślepych, błoniastych szybach. Było może pięć, może sześć wagonów, a przemknęły się wzdłuż naszego pociągu wstydliwie, jak dama zdążająca chyłkiem do garsoniery. Na kartoflisko dmuchnął lekki dym i szybko rozpłynął się w suchem powietrzu.

Wszystkowiedzący orzekli, że to pociąg Prezydenta. Nie, to wiedzieli przecież, że sam Prezydent autem, że szereg aut za Prezydentem. Jakżeby inaczej? Ale pociąg, który przebiegł, był mimo to, powiedzmy dokładniej—zamkowy. Wiózł może służbę, może jakieś ważne i potrzebne przedmioty. Bóg raczy wiedzieć, kogo i co wiózł. A teraz napewno już ruszymy. Na tamtego warszawskiego strojnisia czekaliśmy, żeby mu dać "for". Zatem jazda!

Nie ruszyliśmy jednak. Słońce rozgrzewało blachę wagonów, powietrze, mimo na przestrzał otwartych okien, stało się duszne i pragnienie gaszono wodą z pobliskiej studni. Pijąc, łykało się smak próchna i pleśni. Chłopak podał matce blaszankę nieuważnie. Chciał coprędzej odbiedz z powrotem na ściernisko, żeby widzieć samolot. Zaalarmował wszystkich radjowem wezwaniem:—Uwaga, uwaga, nadchodzi! Z lotu kawek niczem augurowie odgadywali podróżni kierunek latawca. Był to wywiadowca, grający dźwięcznym motorem gdzieś bardzo wysoko pod niebem. Jego mglisty kształt w w otoczy słonecznej kurzawy to wymykał się, to znowu jawił się oczom. Szybował płynnie w tamtą stronę, w którą potoczył się ów "pociąg Prezydenta".

Zaczem znowu orzekli wszech spraw świadomi, że to nasz samolot wywiadowczy penetruje niebo. I rzecz dziwna—do zdobnych wagonów odnosiliśmy się z niejakim sarkazmem, samolot natomiast, choć wyznaczyliśmy mu opiekę nad nimi, wzniecił nasz entuzjazm. Niesprawiedliwi i nielogiczni w uczuciach, mieliśmy teraz rozjaśnione twarze i błyszczące oczy: że nasz, że tak wysoko, że motor ma przyjemny ton. Urok

samolotów jest bowiem tak wielki jak ich groza. W tej chwili byliśmy pod urokiem i coś, jak dawno nie zaznane uczucie bezpieczeństwa, przepłynęło przez nasze serca. Kwadrans, może nieco dłużej odpoczywaly nasze nerwy. Jesień stała się znowu piękna i rodzima. Ktoś zanucił piosenkę, wypuszczając ją przez otwarte okno, jak ptaka z klatki, w daleki przestwór.

I wtedy właśnie rozsypane po niebie stado kawek panicznym, nierównym lotem, z krzykiem gardlanym trwogi—przefrunęło nad pociągiem od prawej strony ku lewej. Wnet też zagrały zdaleka już słyszalne ponure motory bombowców. Ktoś bystrooki policzył je na niebie. Było ich dziewięć. Prędko, zanim jeszcze uświadomiono sobie ich grozę, zrewidowano tamtą, niewczesną radość. Stało się jasne, że wywiadowca był niemiecki i że z przeznaczenia swojego był—donosicielem. On to zasygnalizował umykania „salonek" i postój naszego pociągu. Łatwy, bezsporny cel dla pocisków.

Czyjaś krótka komenda postanowiła, że zostajemy w pociągu i zadławiła gwar. Stało się tak cicho, jakgdyby nicość i próżnia wyparły wszelkie życie. A przecież każdy jakoś zakrzątał się koło siebie i swoich. Bezbronni organizowaliśmy obronę— jakże śmiesznie i dziecinnie. Padanie na podłogę, okrywanie głowy poduszkami, przywieranie całem ciałem do ścian wagonu, barykady z walizek—były zabawą dorosłych w grze o życie. Ale nadewszystko broniła się sama wola życia tak wielka i mocna, że rozsadzała serca aż do śmiertelnego wytężenia.

Bo strach nie kurczy ciała i nie zwiotcza mięśni. W swojem najwyższem napięciu styka się strach z bezstrachem i przybiera te same formy reakcji. Ciało rozrasta się, rozpiera, pręźnieje. Staje się jakby rozpaczliwym odporem i w tejże samej chwili walczy o swoje istnienie. Ogromnym łomotem krwi wykuwa i odmierza odłamki sekund, aby się stały dłuższe od dni i lat i pomieściły w sobie świadomość niezniszczalnego życia. Męka wysiłku wykracza po za miarę ludzką. Toteż trwanie bohaterskiej ekstazy strachu nie może być ciągłe. Nawet sekundy łamią się na okamgnienia. Dzielą je intermezza westchnień, jęki, modlitwy. Zapamiętane słowa głębokich, cichych modlitw szarpią się teraz, następują jedne na drugie, zmieniają się w bełkot, który tylko Bóg zdolny jest zrozumieć.

Tymczasem odezwało się niebo straszliwą muzyką motorów. Zdawało się, że strop niebieski rozdziera się, rozpęka. Bo to, co robiło wrażenie przejrzystości, co nawet w zachmurzeniu bywało puszyste i rozdmuchliwe, było teraz twarde jak drzewo i z trzaskiem darło się nad dachami wagonów. Z wszystkich zmysłów jedynie słuch działał. Ale i on wypełniał swoją funkcję ułamkowo. Gdzieś bowiem zagubiły się detonacje bomb, a za to gdakanie kulomiotów było ogłuszające. Uderzenia kul padały grubym gradem, tłukąc szyby, które rozpryskiwały się bezdźwięcznie, jakgdyby wcale nie były ze szkła.

Kiedy więc nagle oczyściły się przestworza, nad pociągiem rozpostarła się taka cisza, że zdawała się nie być z tego świata. Zaraz też oczy obłąkaly się w nieprawdopodobieństwie jasności, nie mieszczącej w sobie żadnych zarysów. Trwało to nieziemskie zachwycenie zaledwie kilka sekund, poczem targnęła nami przytomność i usprawniła nasze zmysły.

Po prawej stronie stóg częściowo rozwiany, jeżył się sianem. Bliżej toru ziemię poryły jakby pazury olbrzymiego zwierza. I jakgdyby drapieżca nie dokończył swojego posiłku, walały się kawały mięsa utaczane w kurzu. Strzępy ubrania zaledwie zdradzały swoją przynależność. Jedynie czapka uczniowska leżała osobno, tak lekko zwiana, że zachowała jeszcze zarys głowy na denku.

Nie należało patrzeć na matkę. I gdyby nie była tak wielka, tak narzucająca się oczom, może mógłby wzrok umknąć i nie zapamiętać jej gniewnego zdumienia. Twarz jej była czerwona, jak po ogromnym wysiłku. Może krzyczała, ale nie—nikt nie słyszał jej głosu. Nawet jej jęku nie słyszano. Zataił się za wzburzeniem, które uderzało krwią do głowy i zabarwiło czerwienią twarz.

Ktoś wetknął jej w rękę czapkę syna. Wzięła ją bez skwapliwości i zgniotła tak, jak to zwykli czynić uczniacy—w pierog. Potrzymawszy chwilę, położyła je na ławce, jakby nie wiedząc co począć z tym kaszkiecikiem. Może w swojej rozpaczy nie umiała swoich uczuć sformułować nawet tak, jak my, którzy patrząc na tę czapkę, błąkaliśmy się w rzewności : że tylko tyle po tym chłopcu, że już tylko tyle. . . .

Ale i nam nie dano czasu na żałobne westchnienia. Bo już ktoś rzeczowo robił bilans, stwierdzając nie bez chełpliwości, że żadna z bomb nie trafiła w pociąg i że tylko siejba karabinów maszynowych pokiereszowała wagony. Nieco tej chełpliwości brzmiało w głosie przy wyliczaniu : jeden kolejarz zabity, oficer ciężko raniony w obie nogi, kobiecie rykoszet rozszarpał ramię. Chyba dlatego ta odrobina chełpliwości, żeby usprawiedliwić uprzedni strach—że miał uzasądnienie, że nie umniejszył wartości, która w tych czasach słusznie ściągała się do jednego mianownika : odwagi. Doznania ludzkie wiją się i plączą zanim zdołają ujawnić się w nieskażonej formie. Niekiedy potrzeba na sprostowanie uczuć tylko krótkiej chwili, ale bywa i tak, że staje się to dopiero po dniach, miesiącach, latach, gdy napozór wszystko jest już odległe i uciszone.

Tu, w pociągu, wydarzenia były nietylko bliskie ale tłoczyły się, napierały na siebie. Bo oto znowu zabrzmiały na niebie motory. Bombowce wracały na miejsce zbrodni. Teraz czyjś rozkaz wypędzał kobiety i dzieci z wagonów. Dalej, dalej—w stronę lasu, przypaść płasko między bruzdy kartofliska ! W biegu oddech ranił wyschniętą tchawicę, a gdy ciało przywarło

do ziemi, ruch serca wydawał się jej ruchem—ogromnym i miarowym.

Nad kartofliskiem przepłynęły cienie samolotów, podobne do cieni gradowych chmur, przetaczanych wiatrem. Zniżając się zmrokiem okryły leżących. Płochliwe spojrzenia dostrzegły olbrzymie kadłuby i kółka podobne do podgiętych szponów. Jak rzęsistą czerwcową ulewą spadały kule, krusząc krzaki kartoflane, wwiercając się w miał gruntu.

Nie było jednak lęku w nas. Tylko gniew i wstyd. Zespoleni z ziemią, wydawaliśmy się sobie zepchnięci w hierarchji stworzeń do rzędu glist. I potem jeszcze, kiedy podźwignęliśmy się z ziemi, nie mogliśmy ocknąć się. Wysoko osadzona, dumna głowa człowiecza, jakgdyby ciągle jeszcze tarzała się w prochu. Tylko gniew targał się w sercu, żądny wystrzelić w górę, wyżej, wyżej ponad głowę, żądny dosięgnąć pustego już, niewinnym kolorem błękitu barwionego, nieba.

Potem na stacji w Dubnie usłyszeliśmy głos matki. Mówiła do dyżurnego oficera :—Niech pozbiera, niech zakopie na miejscu. Niech postawi krzyż. Po wojnie zapłacę mu za ten kawałek ziemi, ale niech grób będzie tam, na jego polu. Głosem pełnym i twardym wydawała te zarządzenia. Niemal rozkazywała. Jej twarz ciągle jeszcze pałała gniewem.

Pomyślałam wtedy, że między strachem a gniewem napięła się cięciwa, która drży z niecierpliwości, aby coprędzej przyłożyć do niej mściwą strzałę.

HERMINJA NAGLEROWA.

Buzułuk, w listopadzie 1941 r.

JÓZEF WITTLIN

PUSTE SŁOWA

W epokach, jak nasza, napełnionych aż nadto konkretną treścią, w epokach katastrof i wstrząsów,—bujnie zakwitają puste słowa. Jak chwasty plenią się na pobojowiskach, na ruinach zbombardowanych miast i niby fałszywe nieśmiertelniki „zdobią“ mogiły bohaterów. Im treściwsze czasy, tem puściejsze żerują na nich słowa. Wścibiają swe nosy w masowe rzezie, towarzyszą ostatnim tchnieniom konających na storpedowanych statkach. Ludzi, przywiązanych do rzetelności, ta wszechobecność pustych słów, mówionych i pisanych, nietylko zawstydza, lecz poprostu—brzydzi. Być może, iż ów powszechny niemal stan rzeczy wywodzi się z wielkiej niewspółmierności słów do zjawisk, które słowa te pragną wyrażać. Tam gdzie mamy do czynienia z takiemi zjawiskami, jak: wojna, ucisk, głód, wielkie niedole narodów, pragnienie lepszej przyszłości, często nie potrafimy się wysłowić. Tem gorzej, gdy na wyrażenie tych spraw posługujemy się pustosłowiem.

Nie chcę być sam podejrzany o używanie pustych słów, więc powiem pokrótce co za takowe uważam. Są to dźwięki mowy ludzkiej, nie odpowiadające żadnym wyobrażeniom. Ani konkretnym, ani abstrakcyjnym. Lub też dźwięki wyrażające treści fałszywe, zdeformowane moralnie, uczuciowo i materjalnie. Sprawą tą zajmuję się już oddawna, prawie tak długo jak literaturą. Przed dwudziestu z górą laty, w przedmowie do mego przekładu homerowej Odyssei, starałem się ujawnić parę pustych słów, stosowanych w literaturze. Przeciwstawiłem wówczas słownictwu Homera, ściśle i precyzyjnie oddającemu jego wizję poetycką, błędy semantyczne niektórych pisarzy współczesnych, używających słów, które nie pokrywają się z żadną wizją u nich samych, ani u czytelnika, lub wywołują fałszywe wizje. W poezji t.zw. „Młodej Polski“ nieraz spotykało się słowo: „nenufar“. U niektórych autorów wynikało z kontekstu, że autorowie ci nigdy nenufarów nie widzieli, lub widzieli, lecz nie przeczuwali, że to na co patrzą jest nenufarem. Po dziś dzień spotykamy w polskiej mowie drukowanej słowo: “sarabanda“ przeważnie w połączeniu z przymiotnikami: “dzika“, “zawrotna“. Autorowie tych kombinacyj padli ofiarą pustosłowia. W najlepszym wypadku podłożyli pod słowo: „sarabanda“ fałszywe wyobrażenie, wynikające zapewne z romantycznego dla nich brzmienia tego słowa. Nie trzeba być człowiekiem szczególnie muzykalnym, ani znawcą dawnych tańców, lecz poprostu wystarczy zajrzeć do encyklopedji, aby przekonać się, że sarabanda jest zaprzeczeniem dzikości, szaleństwa, zawrotności. To—bardzo spokojny, posuwisty, niemal uroczysty taniec, nawet nie wirowy, lecz raczej chodzony, jak nasz polonez. Używanie pustych słów w piśmiennictwie luksusowem nie jest specjalnie szkodliwe. Co innego, gdy tyranizują one nasze życie społeczne i mają wpływ zarówno na nasze istnienie, jak i na naszą zagładę. Tu byłyby wskazane jakieś sankcje, których wykonawcami powinni być pisarze.

Proszę mi wybaczyć, że znów zacytuję siebie i powtórzę to, co już raz napisałem z okazji pierwszej wojny światowej. No, ale nie ja wywołałem tę ohydną i o tyle groźniejszą powtórkę dziejową. W powieści p.t. “Sól ziemi” pewien naczelnik stacji kolejowej wyraża się w pierwszych dniach sierpnia 1914. (w b. Galicji, należącej wówczas do zaboru austrjackiego) tak: “Za tydzień wkroczymy do Belgradu, za dwa tygodnie weźmiemy Warszawę, a za trzy tygodnie z Boską pomocą będziemy w Moskwie“. Tę wypowiedź pozwolił sobie autor zaopatrzyć następującym komentarzem: “Mówiąc“ wkroczymy do Belgradu i weźmiemy Warszawę, “ nie miał naczelnik na myśli swego fizycznego udziału w wyprawie, od której przynajmniej narazie zwalniał go urząd i wiek. Użył on tylko popularnej w czasie wszystkich wojen formy czasownika, w której ci, co

zostają w domu, manifestują swą solidarność z tymi, co idą na wojnę". W obecnej wojnie ten, że go tak nazwiemy, pluralis arriericus, liczba mnoga tyłowa—również znajduje szerokie zastosowanie. Nawet niektórzy paralitycy, przykuci do swych foteli na kółkach, maszerują na Berlin, zajmują Tokio, wkraczają do Rzymu. Pustość tych form słownych w porównaniu z arcyrealnym trudem żołnierskim jest conajmniej nietaktem, na który człowiek chyba tylko raz w życiu może sobie pozwolić. Ale skoro, zresztą nie z naszej winy, okazje do popełnienia tych nietaktów powtarzają się co dwadzieścia lat, powinniśmy przynajmiej przejść pewną ewolucję języka potocznego.

W tej chwili n.p. dużem wzięciem cieszy się w języku polskim na obczyźnie słowo: demokracja. Nie: narodowa demokracja, nie socjalna demokracja, i nie chrześcijańska demokracja, tylko sama: demokracja. Słowo to, bez poprzedzających je przymiotników dla wielu ludzi w Polsce przedwrześniowej było poprostu synonimem wyznania mojżeszowego. Dla Hitlera też. Dziś jawi się to słowo w sensie afirmatywnym na licznych ustach wykrzywionych źle ukrytym grymasem wzgardy nie tylko dla ludzi tego wyznania, ale i dla wszystkich konsekwencyj, jakie wiara w ten wyraz w swej nieskażonej treści, pociąga. Co do mnie, starego, choć nie bezkrytycznego demokraty (bez przymiotnika), miałbym w takich wypadkach ochotę sparafrazować słynne powiedzenie bohatera pewnej kiepskiej sztuki niemieckiej: "Gdy słyszę słowo: demokracja, odbezpieczam . . . " Ale, co ja właściwie odbezpieczam? Moją bronią jest tylko bezbronne słowo, którem strzelam do słów pustych, pustość wyrażających. Czyli, że strzelam w próżnię.

MARJA PAWLIKOWSKA

SZKICOWNIK WOJENNY.

I.

Wielki jest zły duch i szeroko rozpięte są nocne jego skrzydła. Jak matka miłośnie nad kołyską pochylona, tak i on w nienawiści swojej troskliwie czuwa nad światem, serce swoje posępne całkowicie poświęcając tej nienawiści, która miljony istnień ogarnia.

Żyjemy w jego cieniu, wdychamy powietrze, w którem on wichrzy. Zarażeni jesteśmy jego myślą, szatańską wielkością jego uczuć.

Drobny, pospolity, mierny człowiek, któremu zaledwie sił i wytrwałości starczyło, aby któremuś z bliźnich źle życzyć, aby najbliższemu z sąsiadów nogę podstawiać, jako uprzykrzonemu —dzisiaj nienawidzi narodów całych, niemal całej ludzkości!

Wygraża rasom. Szydzi z pobojowisk, radośnie, choć nieco konwulsyjnie, ogłasza głód i choroby dziesiątkujące przeciwnika. Gwałtowny wicher w kominku mieszczańskim kosmiczne w swym przelocie wygwizduje melodje; podobnie i w duszach ludzkich brzmią dzisiaj obce jakieś tony. . . .

II.

Natchnienia wiejące z otchłani, przerastają nas biednych, nas, jeszcze ludzkich. Człowiek, jak szczur, fantastyczną melodją zaklęty, biegnie wślad za swoim Szczurołapem owitym po czoło w czarną opończę, dmącym w fujarkę z kości ludzkiej. Oszalałą gromadą otacza go, ściga i wyprzedza. Piszczałka ogarnia świat, rośnie w koncert porywający. Tło tej to przesmutnie bohaterskiej fanfary stanowi jednostajny skowyt, ujadanie, które znamy z radjowych odbiorników tak dobrze. Głosy podjadków, drobnej fauny z dna piekieł, rzępolą zawzięcie, podczas gdy czołowe demony ogłaszają z dumą postępy swoje i tryumfy, a z radością cudze straty i mogiły.

Skowyt piekielnej biedoty, " Dolnych zjaw," nieprzyjacielskich stacji, głuszących się wzajem, o jakżeby się rozpętał, gdyby Ten, którego " królestwo nie było z tego świata," stanął nagle przy mikrofonie aby powtórzyć raz jeszcze słowa, za które Go tu kiedyś, już podczas gościny u nas, zamordowano.

Usilnie, nieustępliwie, z furją zagłuszałyby Go te szatańskie rzępoły.

III.

Krótkie jest życie znikomego człowieka, szatana natomiast zdaje się być wieczne. Dlatego ci co są przez niego opętani, patrzą w tak odległą przyszłość, karmią się tak dalekiemi nadziejami, jakgdyby wieki mieli przed sobą! Nie rozumiejąc własnego opętania, tłumaczą je sobie troską o przyszłe pokolenia. Obroną ognisk domowych, dzieci i kobiet, dawnym frazesem, już się dzisiaj zasłaniać nie mogą, i one bowiem żywy i martwy udział biorą w tej katastrofie. Jest wielkość i wspaniałość w okrutnej dzisiejszej wojnie, lecz równie mało ludzka, jak i boska, obca nam, czarna wielkość. Łzy, wstrętne Złemu Duchowi jak woda święcona (gdyż są one zawsze szczere i Bogu się srebrzą), nie pojawiają się już w oczach ludzkich, pełnych dumy, stwardniałych na kość.

Nie żałować siebie ani drugich; wzgardzić dobytkiem swoim i cudzym, sztuką, pięknem, zdrowiem i schronem! Tak oto olbrzymie skrzydło szatana, wiejąc, podrzuca proch ludzki, wznosi go wyżej, ekstazą go wzburza, wreszcie rozrzuca popioły na cztery wiatry. Oszukańcza to ekstaza! Jakże spokornieje ród ludzki po tym wybuchu siły swojej i słabości.

ANTONI SŁONIMSKI

DO PRZYJACIELA

Jak krzew burzą z podmorskiej wyrwany głębiny,
Uschłoby serce moje na Florydy piasku.
Wolę mój Londyn ciemny od Ameryk blasku.
Mrok jest oczom przyjazny a sercu—ruiny.

Tutaj zegar te same wydzwania godziny,
I kiedy noc jest w Polsce i tu niema brzasku.
Wiesz jaką wzgardę żywię dla tłumów poklasku,
I dlatego zrozumiesz te proste przyczyny :

Gdy na niebie wieczornym tu gwiazda zaświeci,
Wiem, że się w nią wpatrują naszych bliskich oczy.
Ta sama mgła krajobraz otula i mroczy—
Gwiazda i mgła srebrzysta minionych stuleci—
Tu mewa z nad Bałtyku czasem w locie zboczy,
Stąd bliżej. Stąd, jak mewa westchnienie—doleci.

EUGENJUSZ CĘKALSKI.

OSTATNIA JESIEŃ

KRASNYSTAW.

Ziemio lubelska, kraju mego dzieciństwa, nic bomby i pożary nie odjęły Ci twej skromnej, jedynej piękności. Parowy pełne leszczyny, pagórki pokryte lasem, łąki bujne i kwietne nad wąskimi, zdradliwymi rzeczkami, chaty zgrzybiałe, ludzie prości mówiący językiem Kochanowskiego. Sina Anglia, rozśpiewany Paryż, stalowy Bałtyk czy szmaragdowy Adriatyk, czerwone skały Dniestru i liliowe ściany Tatr—wszystkie te sprawy wzroku, jedyne i ukochane wizje krajów i mórz—nie zastąpią nigdy prostej i zwykłej krasy Lubelszczyzny. Ziemia, z której się wyrosło. Bukowe lasy i pełne kwitnącej tarniny wąwozy Nałęczowa i Kazimierza. Loess—glinka nawiana—fantastycznie rzeźbiona deszczem, żyzna warstwa, cmentarz starych roślin, matka wciąż nowego kwiecia. Moja Polska jest taka. Sosnowa, pełna kwiatów, chrząszczy. Leżałem na łące, pędy tymianku. jaskrów i traw wysokich szumiały z pszczołami i motylami nad głową, niebem sunął jeden biały obłok, zrywałem wtedy liście szczawiu i żułem—było południe i szczęście.

Wracam teraz do tej Lubelszczyzny w samochodzie cierpliwie mnie niosącym—widzę te same sady i wioski, ten sam las w Topienniku, gdzie z harcerzami chodziłem na wycieczki, śpiewałem o " starym cyganie " i " wszystko mi jedno " i kochałem się w uczennicy klasy drugiej, pannie Janinie Goszczyńskiej.

Teraz las w Topienniku pełen jest uciekinierów, szosą dudnią auta. Udaje mi się jednak namówić moich panów, żeby stanąć, zjeść coś, zapalić papierosa. Pod drzewami dobrze, samolot auta nie dostrzeże.

Podchodzi do nas jakiś gość w mundurze strzelca—jedzie podobno rowerem od Kalisza—opowiada co tu się przed godziną stało. Że kapitan

zastrzelił w aucie szpieg czy dywersant—że dywersant tłumaczył się, że go kapitan dusił, że dywersant opowiadał o tem, że jest urzędnikiem fabryki prochu w Kieleckiem. Pewnie łże. Ale moi panowie jak to usłyszeli, ożywili się—gdzie, kto, znamy dobrze tę fabrykę, możemy sprawdzić, dawać tego dywersanta. Odwieźli go do Krasnegostawu—mówi strzelec. Więc jedziemy tam, zatrzymamy się trochę, zapada decyzja.

Przypadek rzecz święta. Jeszcze jedna okazja do pochwały tego świata, przez który gonią mnie demony i Hitlery. Już Plato powiedział, że istotą zjawisk jest przyroda i przypadek. Kiedy wali się świat i człowiek staje się małym odpryskiem wielkich, kosmicznych procesów—jak to jest w tej wojnie—wtedy przypadek pojawia się raz po raz i bezmyślną, kapryśną ręką wiedzie mnie znowu—tym razem do Krasnegostawu—mojego niegdyś miasta—gdzie chodziłem 20 lat temu do szkoły i skąd w roku 1920 wygnała mnie inna zawierucha—ta od Wschodu. Tym razem mam znowu w wojnie ujrzeć Krasnystaw i spędzić w nim parę dni.

Najpierw miało być pół godziny, ale zrobiło się pięć dni. Bo tak: miasto znajome przywitało mnie starym dobrze znanym deptakiem na rynku, tam ustawiamy samochód. Franek i generał—że w mundurach—idą na posterunek badać dywersanta. Trwa to dość długo—z apteki wyłazi tymczasem osoba łysa i nieco podobna do glisty—to Maciuś, kolega. Poznaje mnie odrazu. Gadu, gadu, co i jak, widać, że Maciuś sam w strachu. Krasnegostawu jeszcze nie ewakuują, ale się zanosi.

Wracają nasi panowie—Franek bardzo tajemniczy oświadcza, że zostajemy tutaj. Zaczynamy wojować i urzędować, generała mianowano komendantem strefy, on jest przy nim. Ślicznie, no a my ? Ubierzemy was w mundury (Szeląg jest majorem—choć emerytem) będziecie żołnierzami. Tu zresztą wogóle idylla, miasto bomb nie widziało, osiem spadło przy stacji, tylko jedna wybuchła, zapalników nie było, tak zwane czeskie bomby, ktoś tam w Rzeszy dobrze nam życzy. Na ratuszu stoi pan z teatralną lornetką, jak Niemiec przeleci mu koło„głowy—zaraz gra na alarm na rogu myśliwskim. Dobrze się Krasnystaw uchował, przez 12 dni ani jednej bomby. Zostajemy tutaj, przeczekamy, wiać niema sensu.

Więc Maciuś szykuje kwatery u siebie w aptece, mnie prowadzi do jakichś paniuś w starej żydowskiej ruderze.

Szeląg sam był w 2-gim Oddziale, wypytuje o badanie szpiega, jedyne oko aż mu się śmieje z radości, onby go badał, dajcie mu mundur, onby mu założył " basetlę."

No, a jak z tym dywersantem ? Szpieg napewno, mętnie się tłumaczy, odkryto, że był latem w Gdańsku, pewnie go ten kapitan zdemaskował i za to do niego strzelał. Szpiegów teraz jak psów.

Powieszono szpiega następnego dnia rano. Przez 5 lat był referentem mobilizacyjnym fabryki broni. Kiedy go wieszano wołał—Niech Żyje Polska. Kto go wie, czy był szpiegiem, czy nie. Franek wziął do portfelu kawałek sznurka po nim—na szczęście.

Teraz zaczyna się pobyt w Krasnymstawie—rejestrowanie łazików, badanie kto jedzie, dlaczego, dokąd, pchanie do koszar. Walą auta jedno za drugim, w nocy aż domy się kołyszą od motorów. W wytwornym Chevrolecie żandarmi z karabinami przy kierownicy—kto jedzie—obsługa aparatów Hughesa—z rozkazu Naczelnego Dowództwa. Otwieramy auto, w środku śliczne panienki, jakaś staruszka, klatka z papugą, dywany. Sanacja się ewakuuje.

O sanacjo, bezstroska i radosna, rozdzielająca ordery, brzęcząca ostrogami i dzwoniąca śmiechem wesołych panienek. Dziesięcioletni bałaganiku odrodzonej Polski, wiedzieliśmy, że grzeszysz, że Berezy i Brzeście ciążą nad tobą jak ciąży nad Polską pyszałkowatość i pijaństwo szlachty i nowej szlachty-piłsudczyków. Ewakuujesz się—radość to dla narodu wielka—ale któż pomyśli, że ewakuujesz ze sobą wolność i niepodległą Polskę. Za

fanfaronadę i głupotę płacimy krwią dzieci i kobiet, hańbą ucieczki. Tu w Krasnymstawie myślimy, że jak już to wszystko zgniłe i zwiotczałe wywieje, zostanie nam dość siły, aby się oprzeć i walczyć dalej Powiada tak Tadek Bieliński, inżynier z Rzeszowa, kolega szkolny—napotkany tu jak biwakuje w ogrodzie z manatkami, żoną i dziećmi. Ma samochód—brak mu benzyny. Prosi mnie abym mu pomógł zdobyć trochę. Jak dam mu benzyny—chce 10 litrów—pojedziemy w stronę Polesia. To najlogiczniej. Ma kuzynów w Kobryniu. Tam Niemcy nie dojdą i stamtąd nadejdzie pomoc sowiecka. Pocóż będę tłuc się na południe—ziemia obca, Ukraińcy, powstanie hajdamackie murowane. Zobaczymy powiadam—postaram się o benzynę, w głębi serca przyznaję Bielińskiemu rację, wydaje mi się że, trzeba jechać na Wschód nie na Południe.

Ale narazie o jechaniu nie myślimy, wiadomości nie ma wprawdzie, ale poczta pantoflowa nic złego nie przynosi. Niemcy są nad Wisłą ale będą pewnie zatrzymani. Wogóle trzeba raz gdzieś czegoś się doczekać a nie wiać owczym pędem. Więc staramy się przydać na coś. W dzień pędzą auta, idą żołnierze : w nocy brzęczą kajdany, najpierw mówiono, że to niemieccy jeńcy potem się okazało, że ewakuacja więzienia świętokrzyskiego—dożywotnich. Wystrzelałbym wszystkich, po co to prowadzić—powiada Franek. Niech się pan nie martwi, mówi major, już ten naczelnik więzienia po lasach partiami ich zlikwiduje.

W mieście jest spokój, tylko po nocy spać nie można : moja gospodyni jest histeryczka a jej siostra zupełnie wariatka. O 3-ciej w nocy zaczynają szaleć. Pani Grzelicka jest nauczycielką w gimnazjum, jej córka studiuje medycynę we Lwowie. Mieszkają w ruderze żydowskiej na rynku. Zgniłe schody prowadzą na górę, klatka schodowa pachnie błotem, gnojem, mydlinami i obierzynami kartofli. W mieszkaniu stoją trzy krzywe stołki, wisi reprodukcja " Rejtana," kwiatki stoją w barokowej wazie, ale wogóle jest bałagan, bo panie już od trzech dni pakują i rozpakowują walizki, chcą uciekać. Niech pan powie—przyjdą tu Niemcy ? Nie przyjdą, powiadam, zresztą wierzę, że nie. Niech pan powie, jak bomba trafi w dom, to co ? Nic, zabije i spokój. Niech pan zobaczy, czy nasz schron bezpieczny. Więc pchamy się razem ze świeczką i zakutaną w chustki służącą do piwnicy. Rany boskie, co za piwnica ! Już dawniej słyszałem, że z Krasnegostawu do Zamościa prowadzą lochy podziemne z XVI wieku. No tak, to właśnie te lochy, idzie się na dół schodami, sklepienia wielkie, tobołów pełno, wilgoć : siedzą płaczące żydówki z bachorami, wogóle nie wychodzą choć bomb niema.

—Niech pan powie czy bezpiecznie—pytają jeden przez drugiego, że ja niby z Warszawy, pod bombami byłem. Bezpiecznie powiadam—ale jak zasypie wyjście to co ? Ach—cieszą się bardzo—mamy kilofy, łopaty przygotowane. Zawsze tu będziemy się kryć.

Ale ani ja, ani major nie lubiliśmy ciemnych nor. Więc jak zatrąbił nasz herold z ratusza nie szliśmy do lochów tylko do żydowskiego sadu obok. Leży sobie człowiek pod drzewem, samoloty liczy, słońce grzeje, gruszki można zajadać. Zresztą bomb nie było.

W nocy heca. Panie Grzelickie chcą uciekać. Przylatuje siostra, doktorowa Lickindorf z płaczem i wrzaskiem, że spać nie może bo się bomb boi, że trzeba jechać na wieś i co ja radzę. Wyciągnęły mnie z łóżka i rajcują. Ta, że dzisiaj 13-go, że ma złe przeczucie, tamta, że jej kot drogę przebiegł—płacz i lament. Skrzyczałem baby, uśmiechnąłem się życzliwie do córki, była spokojna, gryzła wargi, wstyd jej było za matkę i ciotkę, nie umiała je uspokoić. Sama biedactwo, brzydula, miała narzeczonego gdzieś w armii—czekała co będzie. Franek pytał się mnie zawsze kiedy wracałem z kwatery—no cóż, użyłeś sobie, uskuteczniłeś panienkę ? Tak to się mówi na wojnie i wogóle między rodakami. Ale nie w smak mi były te uwagi. Bo nie romanse, a histeria odchodziły w tym domu co noc.

Spać nie dawali. A to trąbią na alarm, więc moje panie w dyrdy do lochów i dziwią się, że ja zostaję w łóżku. Potem znowu pakowanie i odpakowywanie waliz. A całą noc walą ciężarówki i wojsko idzie po ciemku.

Życie w Krasnymstawie płynie dość gładko. Uciekają wszyscy, ale my Krasnystaw trzymamy za twarz. Naczelnik poczty chciał wiać, pułkownik —został. Pułkownik z generałem chodzą po mieście, łazików biją po mordach, rygor i dyscyplina jest. W koszarach nawet się oddziałki z maruderów formuje. Ja siedzę przy radio, łapię stacje angielskie, niemieckie, francuskie, robię notatki, raporty, komunikaty. W kwaterze prasowej piszemy komunikat na maszynie. Gazet niema więc wywieszamy wiadomość na rynku—tłum się gromadzi i czyta. Właściwie nic nie wiadomo, Warszawa się broni, Niemcy nad Wisłą i podobno koło Lwowa. Latają nad nami i zdala słychać bomby. Nas oszczędzają jakoś. Chwile wolne obaj z Frankiem spędzamy na pielęgnowaniu auta. To nasz skarb jedyny. Zresztą Franek ma także forsę ze sobą. Pokazuje mi plikę banknotów, nosi zawsze w kieszeni munduru spiętej agrafką—nikt o tem nie wie, niech ja wiem—bo jakby co. . . . Auto stoi na rynku.

Mój Maciuś z apteki ma minę niewyraźną. Apteka cały dzień deskami zabita, ruch duży, wszystkie środki opatrunkowe wyprzedane. Maciuś powiada : słuchajcie kolego, co robić, jakby Niemcy szli—żeby tak z wami pojechać, co ? Mam benzyny dwa litry, butelkę wina, trochę spirytusu. Wyciąga Maciuś zapasy, do auta niesie, generał się krzywi, ale trudno, Maciuś już do naszego obozu należy, młody, niech jedzie. Tylko, że nie jedziemy jakoś na razie ." *Czekamy na rozkazy.*" Matka Maciusia, stara i brudna, chodzi jak upiór po aptece, stary aptekarz, Maciusia ojciec, krząta się, okulary mu z nosa lecą. Smutni po kątach szepczą. Maciusia mama od wybuchu wojny nie rozbierała się na noc. Boi się nalotów.

Smutno mi. Myślę o mojej matce. Jest stąd o siedemdziesiąt kilometrów—poszedłbym tam, ale co mi z tego ? Tam właśnie są już Niemcy. Trzeba czekać.

Rano Franek oznajmia, że mosty podminowane i trzymać auto w mieście z tej strony Wieprza czyste szaleństwo. Niech bomba most zniszczy, nie ma drugiego, aż hen pod Trawnikami—będziemy odcięci. Wniosek—auto ma stać za mostem—przy wiosce. Pilnować trzeba na zmianę.

Jedziemy za miasto, za most. Za mostem tor kolejowy, szosa na prawo, szosa na lewo, chaty na wzgórzu, pola. Za chatami uliczka cicha—tu sobie stajemy, szosa w pobliżu, jadą auta, wojsko raz po raz idzie, z chaty obok wychodzi starszy pan i bardzo rosyjskim akcentem prosi, żebym za niego gospodyni wytłumaczył, że nie jest szpiegiem. Pokazuje legitymację oficerską—emerytowany pułkownik, uciekł z Warszawy, teraz córka ma anginę, zatrzymał się tu. Tłumaczę gospodyni, że legitymacja dobra. Wszędzie ludzie niespokojni wietrzą szpiega. Z sąsiedniej chaty przychodzi chłopek mały, zasuszony, siada koło nas, razem obserwujemy samoloty, słuchamy dalekich detonacji bomb. Raz po raz i koło nas lecą—chowamy się do rowu, jeden z gospodarzy rów wykopał, bardzo teraz dumny. Do Strzelca należy i tłumaczy, żeby baby chustek jaskrawych nie nosiły, bo ten w górze wszystko widzi i do ludzi w polu często strzela. Mały nasz chłopek prosi potem nas i kilku zabłąkanych żołnierzy na mleko i chleb, nie chce od nas za to pieniędzy—jakto, jabym teraz od Polaka wziął, krowę ostatnią oddam, żeby Niemca zwalczyć. I aż mu się oczy śmieją, czapkę na ziemię rzuca, zatańczył na niej, pobijemy Niemca aż będzie trzeszczało.

Ale oto lecą gdzieś bardzo od nas blisko, biegniemy do rowów, aż nagle powietrze jękło od eksplozji, w rowie dzieciaki płaczą, pies szczeka i kobiety się modlą. Walą detonacje tuż koło nas i świszczy coś po strzechach niby kule. Ktoś krzyczy " ogień "—Kasprzak się pali—biegniemy na wzgórze —tuż koło nas za wzgórzem słup ognia, domy rozbite. Nasz chłopek wali w gong przeciwpożarowy. Potem były takie rzeczy—ze strzechy zleciał

trzepocząc skrzydłami gołąb—bez ogona, odłamek mu ogon urwał. Pies naszego gospodarza przyleciał z zerwanym łańcuchem—na szosie zbieraliśmy odłamki roztopionego metalu. Znowu nas do rowu gonią, jeszcze raz grzeją bomby ale gdzieś dalej—postanawiam iść do miasta sprawdzić czy most cały i co się wogóle stało.

Dobrze, żeśmy za wzgórzem stanęli, bo z drugiej strony wielkie pobojowisko. Cztery domy w gruzach, żydowska budka z owocami rozbita, dwoje starych Żydów zginęło. Leżą na szosie poplątane druty telegrafu i wyrwane kamienie, ale szosa i tor cały—sześć bomb było—sześć osób zabitych, drugie tyle rannych. Jeden uczniak zamiast położyć się pod drzewem—stanął i odłamek czaszkę mu rozłupał—dom policjanta na rogu dopala się malinowym ogniem.

Dziwne jak w mieście pusto—wszystko się pochowało po norach—trochę strach iść przez pusty most, na którym tylko samotny wartownik czuwa—Niemcy ciągle latają blisko.

Ale na niebie armia jakaś nowa się ukazuje—pierwszy raz od dwu tygodni nowy sprzymierzeniec się odezwał, czarne chmury—ulewa, grzmoty—jakże radośnie witamy tę niebieską artylerię. Niedługo nam grała—po dwu godzinach na nowo błękit nad nami furkocze śmigłami niemieckich maszyn.

Decydujemy, że bardzo głupio się stało, żeśmy samochód postawili pod chatą—dobrze, że ocalała, ale i szosa blisko i tor z drugiej strony, lepiej się następnym razem w lesie usadowić. Jedziemy do lasu. Okładamy maszynę gałęźmi. Czasem Niemcy tuż nad wierzchołkami drzew krążą, dziwne, że i na to mają czas—trzeba się zamaskować. Major został w samochodzie, idę do miasta coś załatwić i majorowi przynieść jedzenie. Wiadomości nie ma, światło się nie pali, radio nie gra, elektrownia w Zamościu zniszczona. Kupuję ze trzy wianki kiełbasy, parę butelek lemoniady. Idę pod wieczór przez pola i łąki z powrotem. Major opowiada, że Niemiec nad samochodem latał, i pół godziny trzeba było w krzakach leżeć. Jemy kiełbasę i pijemy lemoniadę, a że czytam angielską książkę, więc major rozmowę o Anglii nawiązuje. Śmieszne to bardzo i piękne siedzieć w szumiącym lesie sosnowym koło zasłoniętego gałęźmi auta, popijać kiełbasę farbowaną lemoniadą, nasłuchiwać Niemców i mówić o zamglonym i jakimś dalekim Londynie.

D.C.N.

MARJAN HEMAR.

CUD BIEDNYCH LUDZI

SZTUKA W PIĘCIU OBRAZACH.

OSOBY :

ELŻBIETA MAJEWSKA (GRZEGORZOWA)
ANNA } *jej córki.*
TERESA }
MICHAŁ GROMADZKI, *szewc, mąż Anny.*
JÓZEF BYLEJAK, *elektrotechnik, mąż Teresy.*
DR. SEWERYN SZULC, *lekarz.*
SĘDZIA ŚLEDCZY.
KSIĄDZ DR. DOBRANIECKI.
ZAKRYSTJAN KOŚCIOŁA.
PROKURATOR.
OBROŃCA.
PREZES SĄDU.
MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI.

PROFESOR DR. OKÓLSKI, *psychiatra, rzeczoznawca sądowy.*
SĄSIADKA GRZEGORZOWEJ.
JANOWA, *dozorczyni domu.*
POLICJANT 1.
POLICJANT 2.
SŁUŻĄCY U MINISTRA.
STRAŻNIK WIĘZIENNY.
WOŹNY SĄDOWY.
WOŹNI W SĄDZIE, POSTERUNKOWI, SĄSIEDZI I SĄSIADKI GRZEGORZOWEJ.
PUBLICZNOŚĆ W SĄDZIE.

Rzecz dzieje się współcześnie, w stolicy.

OBRAZ I.

Obszerna izba w suterynie. W głębi, po lewej, parę stopni wiedzie do drzwi, które wychodzą na podwórko kamienicy. W głębi nawprost kuchnia. Na blacie kuchennym garnki z wodą i baniaki z bielizną. Na prawo w głębi łóżko, na którym leży chora Tereska. Po lewej stronie, z frontu, okienko u góry. Pod oknem balja dymiąca i sprzęt do prania. Przy balji w pełnej robocie Grzegorzowa. Obok kuchni krzesła drewniane, na prawo, bliżej frontu, drzwi wiodące do drugiej izby, przy nich stara kozetka. Przy balii ławka.

Tereska, Grzegorzowa, Józef, Anna, Sąsiadka, Lekarz.

LEKARZ (stoi przy łóżku Tereski, po ukończonym badaniu, mówi— wpół do Józefa, wpół do reszty obecnych). W medycynie nie ma cudów. To trudno i darmo.

JÓZEF (ciężko) Ale Pan Bóg może cud zrobić.

GRZEGORZOWA Ty lepiej pana doktora słuchaj, kiedy pan doktór taki dla ciebie łaskawy! A kazania swoje zostaw!

LEKARZ Panie drogi, co ja mam panu powiedzieć? Ja nie poto przychodzę, żeby z panem dyskutować o Panu Bogu, prawda—człowiek musi sam przede wszystkim o to dbać, żeby się wyleczyć. To znaczy robić wszystko, co na jego chorobę jest skuteczne. Ale to jeszcze nie znaczy, że mu musi pomóc. Przede wszystkim przepisowa kuracja—a jak się uda, to samo jest już dostatecznym cudem. Bo same proszki, czy maść, czy krople—to jeszcze nie jest zdrowie. Jest jeszcze człowiek, którego się leczy—u jednego środek skutkuje, u drugiego nie. My róbmy swoje— na cud zawsze się jeszcze znajdzie miejsce w naszym życiu—rozumie mnie pan?

GRZEGORZOWA Jemu nadaremnie mówić! Pan doktór swoje, a on swoje. . . .

LEKARZ Ja panu, o pańskiej żonie, tak mówię, jak jest. Trzeba ją porządnie leczyć. A na leczenie zarabiać pieniądze, bo kuracja jest kosztowna. Jeżeli pan swoją żonę naprawdę kocha, niech pan sobie szuka roboty, czym prędzej—i każdy grosz trzeba dla niej wydać.

GRZEGORZOWA Iii . . . co jej to pomoże!

LEKARZ Wszyscy mówicie głupstwa! Trzeba jej elektrycznych masażów, trzeba diatermii, nacierań i tak dalej—i za pół roku może tańczyć po pokoju. Ale wymodlić jej zdrowia nie wymodlicie. Pewnie, że to wygodniej opuścić ręce i zdać się na Pana Boga.

GRZEGORZOWA Za przeproszeniem pana doktora, ja jemu to samo powiadam i nie od dzisiaj. Ja już nie mówię—nawet jakby nie dla jej zdrowia było, weźmy, że Teresce i tak nie pomoże—to przecież wstyd dla dorosłego chłopa, żeby na moją jedną głowę zwalić. Ja już sobie ręce urabiam po łokcie, żeby tylko na ten kawałek chleba wydołać. Dwa miesiące siedzi mi na karku i palcem nie ruszy, nie zapyta nawet, skąd mam na tę łyżkę zupy. Nieszczęśliwa moja godzina, że córkę za takiego wydałam.

ANNA Kobiecie, żeby tak na mózg padło, to jeszcze rozumiem, ale chłop, młody i rzemiosło w rękach ma. . . .

JÓZEF Dałaby matka spokój—co ja zrobię, panie doktorze . . . pracy nie ma.

GRZEGORZOWA Nie ma, jak się nie szuka! Widzisz go! Do domu po ciebie przyszlą!

LEKARZ Może co dla was wynajdę . . . tak . . . wiem, że teraz nie łatwo. Co to ja jeszcze chciałem—aha. Przyjdź pan do mnie pod wieczór, trzeba by zajrzeć do radia, znowu coś tam piszczy—dobrze?

JÓZEF Teraz bym poszedł.

LEKARZ Teraz nie, pójdę na górę i za pół godziny będę schodził, to panu przyniosę tę maść dla żony—potem, jak będę wracał do domu, zabiorę pana z sobą.

JÓZEF Dobrze, panie doktorze—(pomaga mu włożyć palto).

LEKARZ Dziękuję, zarzucę tylko—

GRZEGORZOWA Dziękuję panu doktorowi za dobre słowo i za pomoc, niech Pan Bóg wynagrodzi!

LEKARZ Dobrze, dobrze—bądźcie państwo zdrowi—(w stronę chorej) —no, dowidzenia pani! Zobaczy pani, że wszystko będzie dobrze!

ANNA Dowidzenia panu doktorowi!

(Józef odprowadza doktora po schodkach i za drzwi).

CHORA (bełkoce) Dziękuję.

ANNA (po wyjściu lekarza) Porządny człowiek.

GRZEGORZOWA Młody doktór, pacjentów jeszcze nie ma, to się tam byle kim zajmie. (Józef wraca przy tych słowach do łóżka chorej i siada obok niej).

GRZEGORZOWA Jemu nie tyle o Tereskę chodzi, ile że zawsze przyuczy się trochę. Cały dzień nic nie robi.

ANNA Tyle, że rano w szpitalu.

SĄSIADKA Z tego nie wyżyje. Zawsze musi taki parę lat poczekać, nim go zaczną znać na mieście.

ANNA Swoją drogą już pół roku będzie, jak się do nas sprowadził. Ale inny by i z nudów nie przyszedł—do cukierni wolałby pójść. Zawsze to porządny człowiek.

GRZEGORZOWA Bo młody jeszcze. Każdy doktór—póki młody, to porządny. Potem się tych chorych napatrzy, nastuka, to na nieszczęście ludzkie będzie obojętny.

SĄSIADKA Nieszczęście z tą waszą Tereską.

GRZEGORZOWA Pewnie, że nieszczęście. . . .

SĄSIADKA Trzeci miesiąc już tak leży?

ANNA A czwarty nie łaska? Przecież w tydzień po Nowym Roku jak ją połamało, równo w dwa miesiące po ślubie.

SĄSIADKA Może, żeby byli dziecko odrazu zrobili, toby jej nie chyciło. . . .

GRZEGORZOWA Jeszcze mi tu dziecka brakowało!

ANNA Ciekawa jestem, czy on jej co pomoże?

SĄSIADKA W takiej chorobie, to już nic nie pomoże—to już do starości tak poleży.

JÓZEF Serca trzeba nie mieć, żeby tak mówić przy niej! Przecież każde słowo słyszy!!

GRZEGORZOWA To ją weź do kliniki! Do szpitala! Do sanatorii! Żeby jej uszu nie urażali! Ona tu jest u swojej matki, co jej lepiej życzy, niż ty! Bo palcem dla niej nie ruszysz!

JÓZEF (zakrywa rękami głowę) O Boże, Boże miłosierny!

GRZEGORZOWA (w nagłej pasji, do Anny) A twojemu mężulkowi też kiedyś wszystkie włosy ze łba zedrę! Pijak przeklęty! Teraz już w biały dzień na podwórzu się zatacza, ludziom na pośmiewisko! Już szydła

w rękach utrzymać nie może! Jeszcze ty śmiesz do mnie po pieniądze przychodzić. Nieszczęśliwa moja dola, nieszczęśliwa godzina, w której się tego od rodzonych córek doczekałam! Pomocy się doczekałam na stare lata! Bogdajbym się przedtem na tamten świat wyniosła! (pracuje zapamiętale).

SĄSIADKA Moja pani kochana—na dzieci w starości liczyć . . . toś się pani wybrała . . . Dziecko na starość najgorszy wróg. . . .

ANNA Pani, rzeczywiście, toby tylko mamę judziła.

SĄSIADKA Niech ręka boska zachowa—przecież o obecnych się nie mówi, tylko ogólnikowo, od życiowej strony.

ANNA Nam tu żadne ogólniki niepotrzebne.

GRZEGORZOWA Wiadomo—uderz w stół nożyce się odezwą!

JÓZEF (wstaje) No, Tereska—poleżysz sobie spokojnie—

GRZEGORZOWA Nie, na bal pójdzie—tańczyć!

JÓZEF Ja wnet przyjdę.

GRZEGORZOWA (do sąsiadki) Każdy grosz trzeba by dla niej oddać—na masowania elektryczne—chwała Bogu, że pani słyszała—przez pół roku leczyć by ją trzeba. A jak ja moimi starymi rękami na kartofle dla nich wszystkich zarobię, to już łaska niebieska. A zapytaj go pani, gdzie jemu tak śpieszno? Pewno roboty poszukać. . . .

JÓZEF (twardo) Do świętej Teresy zajdę. (Stoi chwilę, tępo patrząc przed siebie w ziemię, potem zbiera się w sobie i wychodzi).

TERESA (z trudem) Przyjdź—Józuś. . . .

GRZEGORZOWA (za nim, półgłosem) Ręce i nogi połam.

ANNA Wie mama, to aż dziw, co się z tymi chłopami czasem robi. . . . Już nic nie mówię o Michale—Michał trzy lata temu jak zaczął pić—jemu już wszyscy święci nie pomogą—ale Józuś! Taki wesoły chłopak był, taki prędki—

SĄSIADKA A ja pani mówię, że to jeszcze cud, że jej nie rzucił. Inny by dawno był rzucił i dziewczynę sobie jaką znalazł—

GRZEGORZOWA On by ją rzucił? Sam się zmarnuje a od jej łóżka nie odstąpi—jak ten pies. Przecież przez tę jej chorobę stracił pracę w warsztatach, bo od niej z początku na krok nie odstępował.

ANNA A mnie jego nawet żal.

SĄSIADKA Pewnie, że żal—jego prawo byłoby za jaką dziewczyną polatać, albo do baru pójść, pocieszyć się z kolegami—

ANNA W każdym razie większe prawo, niż mojego Michała—

SĄSIADKA A on nie, tylko w kościele wzdycha, albo jej rękę trzyma.

GRZEGORZOWA (po chwili) Pewnie, że żal takiego chłopca. . . . Zięć każdy to obcy człowiek w rodzinie. Ale czy ja nie widzę? Odrazu przyszło na niego—i choroba Tereski, i robotę stracił, i to, że całą chętkę do życia. Jak się kto raz tylko modlić zacznie i bić w piersi i tylko z nieba wypatrywać pomocy, to już jakby z drogi zeszedł i gdzieś poszedł polem na przełaj. Dla życia już jest stracony, bo to nie ma końca. A cały dom i żonę i wszystko na mojej starej głowie zostawił!

DOZORCZYNI (zagląda przez drzwi) Można do was na chwilkę?

GRZEGORZOWA Znowu ta jędza—Ano, można.

DOZORCZYNI (weszła, siada przy nich, do Anny) Wasz to podobno u Joska flaszkami rzuca, aż strach. . . .

ANNA Skaranie boskie. . . .

DOZORCZYNI Jeszcze kogo zabije. . . .

GRZEGORZOWA (z nagłą rozpaczą). Ach, rzuciłabym was wszystkich i poszła przed siebie—żeby nie te lata! Te lata na karku!!

DOZORCZYNI Mnie już pan rządca mówił, żeby wam powiedzieć, w sprawie tych awantur ciągłych . . . że tak dłużej nie będzie można. . . .

ANNA Jezus Marja, Jezus Marja. . . .

SĄSIADKA A co rządcy do tego? Niech na Kozłowskich uważa. Kozłowski gorszy.

DOZORCZYNI A mnie co do tego, który gorszy? Pan rządca mówił, że w komisarjacie zamelduje—o eksmisję.

GRZEGORZOWA Niech pan rządca melduje. Przynajmniej wyjdzie na jaw, kto jemu donosi.

DOZORCZYNI Moja pani, ja tam nic nie donoszę, tyle, że za porządek odpowiadam.

SĄSIADKA Nie widzieliście. . . .

DOZORCZYNI A tak! Odpowiadam. A wam z dobrego serca mówię—jak się pan rządca rozłości, to dnia tutaj nie pobędziecie—

ANNA Widzisz go! Wypowiedzenie przyszło. . . .

DOZORCZYNI A przyszło—ale przez policję!

GRZEGORZOWA Pani Janowa! Ani moje córki, ani ja, w życiu całym z policją nic nie miałyśmy, i mieć nie będziemy! Więc niech mi pani dziecka tem nie straszy, bo poco ma się skończyć na brzydkich słowach!!

DOZORCZYNI Ja, ani nie straszę, ani się sama nie boję! Tylko z dobrego serca przestrzegam. (Słychać na podwórku pijackie okrzyki). A że prawdę mówię to pani słyszy. (Wchodzi z trzaskiem Michał, podpity).

MICHAŁ Baczność!! A ty sukinsynu jeden! Baczność mówię!! Na trzy kroki—i wara!!

GRZEGORZOWA (groźnie). Michał, ty tu wrzasków nie rób, bo cię ukropem zleję przez łeb! Ty pijaku!

MICHAŁ Kto pijany? Ja?! Wcale nie pijany. Tylko para tutaj taka—i zemgliło mnie. Anna, chodź do domu. Baczność, marsz!!

ANNA Niech mu mama powie, żeby nie podchodził, bo mu oczy wydrapię!

MICHAŁ Za co? Jeden kieliszek wypiłem. Franio stawiał. I zemgliło mnie (zatacza się, siada koło kuchni).

ANNA A służąca z pod piątego dwa razy była o te pantofle pytać!! Miały być na wczoraj!

SĄSIADKA Każdy szewc, jak mówi na wczoraj, to myśli na jutro!

MICHAŁ (śmieje się pijacko) Na jutro. Jutro będą. Za tydzień. Jak będę zdrów. Zemgliło mnie.

ANNA (zrywa się) Ja chyba do Wisły pójdę! (Chwila milczenia).

DOZORCZYNI Pani Grzegorzowa—a komorne pani szykuje?

GRZEGORZOWA Szykuję, szykuję—na razie ważniejsze mi, żeby do ust mieć co włożyć—

DOZORCZYNI Ja tylko z dobrego serca przypominam—(wstaje i idzie na schodki.) (Słychać tupot nóg—drzwi otwierają się nagle—wlatuje bez czapki Józef, w ręku trzyma sznurek pereł—wzrok ma błędny—potrąca na stopniu dozorczynię—zatrzymuje się).

DOZORCZYNI Panie—wolnego—

JÓZEF Tereska!! Tereska!! Cud!!

ANNA Co jemu się stało?

JÓZEF Tereska! (płacze i śmieje się naprzemian). Będziesz zdrowa! Będziesz zdrowa! Będziesz się leczyć! Cud się stał! Perły!! Perły!!

GRZEGORZOWA Zwarjował?

SĄSIADKA Jak on wygląda—

JÓZEF Mamo!! Tereska! Moja złota, moja kochana, najdroższa moja! Już! Już koniec! Już koniec!

MICHAŁ Koniec! Diabli wzięli!

GRZEGORZOWA Co to znaczy? Jaki koniec? Z czem?

JÓZEF Słuchajcie, słuchajcie wszyscy—moi drodzy, moi drodzy—Bóg wynagrodził—a ja wiedziałem, że tak będzie! Ha! A ja wierzyłem! Od pierwszej chwili! Perły! Ani na chwilę nie przestałem wierzyć—

Tereska—popatrz—no, popatrz—tu są twoje kąpiele i masaże i klinika dla ciebie—i zdrowie—i koniec biedy! Od jutra! Mama przestanie pracować —odpocznie sobie—pojedziemy na wieś, Tereska—to twoja święta pomogła!

ANNA Matko Boska, co on mówi?

JÓZEF Święta Teresa—Święta Teresa! Ja wierzyłem—nikt się nie zlituje, nikt nie wysłucha, a ona tak! Popatrz . . . te perły—to warte dziesięć tysięcy—może sto tysięcy! To twoje zdrowie—będziemy tańczyć i skakać z radości—

MICHAŁ (wstaje) Ukradłeś!

DOZORCZYNI Ukradł? (wybiega niedostrzeżona).

GRZEGORZOWA Ukradłeś!

JÓZEF (śmieje się do rozpuku) Aha! Nie ukradłem! Nie ukradłem!

ANNA Mów—że, mów—że, Józek.

JÓZEF Dała mi — — podarowała mi—(głos mu się trzęsie od łez)—z szyi zdjęła—podarowała mi. Powiedziała mi: weź. Powiedziała mi: weź, mnie nie trzeba.

GRZEGORZOWA (po chwili ciszy) Kto?

JÓZEF Twoja imienniczka. Patronka twoja. Najlepsza Święta. Najsłodsza Święta. Teresa, Teresa! Powiedziała mi: weź.

ANNA Józek, opamiętaj się, odpowiedz!

JÓZEF Klęczałem przed nią, modliłem się. Popłakałem się strasznie —moja złota, moja kochana, jak ja cię kocham—jak ja teraz pracować będę dla ciebie—teraz dopiero—biłem się w piersi, żeby zrobiła cud, żeby ci zdrowie wróciła—co ja bez ciebie jestem? Nie chcę być bez ciebie! Modliłem się — nagle—

MICHAŁ (wstaje) Jezusie Marjo—

JÓZEF Nagle—jakby mi kto mokrą szmatą mózg przetarł—perły miała na szyi—prawdziwe są—drogie. To klejnoty. Wy nawet nie wiecie, jak drogie—i nagle światło robi się na obrazie—perły błyszczą—

GRZEGORZOWA W imię Ojca i Syna—

SĄSIADKA I Ducha Świętego—

JÓZEF Jasność nagle się zrobiła przede mną—myślałem, że umieram —tylko płakać mi się chciało—i poruszyła się.

ANNA Poruszyła się . . .

GRZEGORZOWA Jakto—ręką poruszyła?

JÓZEF Ręką poruszyła — — zdjęła sznur—

ANNA I głos usłyszałeś—

JÓZEF I głos usłyszałem: weź to—mnie nie potrzeba—weź to—

ANNA Powiedziała: weź to—

JÓZEF I podała mi.

ANNA (pada na kolana) Józuś—Józuś — —

GRZEGORZOWA Józuś—dziecko moje—to cud—

JÓZEF Cud—Mamo—cud, ja wierzyłem, że Bóg—jeśli zechce—Cud! Tereska, moja dziecina chora—biedactwo moje maleńkie—teraz będziesz zdrowa! Rozumiesz, co to znaczy? Będziesz chodzić—będziesz ruszać swoimi rękami—będziesz chodzić w ogrodzie, schylać się do kwiatków, będziesz głaskać drzewa—

GRZEGORZOWA Józuś—przebacz mi! przebacz mi wszystkie złe słowa—(Podczas ostatnich słów w drzwiach stłoczyli się ludzie—napierają na izbę—sąsiedzi i sąsiadki)

JÓZEF Ja nikomu nie krzyw, nikomu nie pamiętam—dziękujmy wszyscy! O, Boże, Boże wielki—jakie szczęście, jakie szczęście!

SĄSIEDZI, SĄSIADKI To prawda? Nie ukradł? Cud! Perły! To prawda! Boże, bądź miłościw!

JÓZEF Ludzie! Słuchajcie—klęczałem przed świętą Teresą—to jej imienniczka! Patronka jej! Modliłem się—nagle ujrzałem jasność—

GRZEGORZOWA Jasność zobaczył, jak Bóg na niebie—i poruszyła się—

LUDZIE Poruszyła się—

ANNA Rękę wyciągnęła do niego—

GRZEGORZOWA Zdjęła z szyi swoje perły—

SĄSIADKA I dała mu !

LUDZIE Perły mu dała ! Z szyi zdjęła !

SĄSIADKA I mówiła z nim, jak ja z wami !

GRZEGORZOWA Powiedziała : weź to—mnie te perły niepotrzebne, a dla twojej Tereski zdrowie będzie z nich—

LUDZIE Mówiła z nim ! ?

JÓZEF Tak, tak !

GRZEGORZOWA I o mnie mówiła ! O mnie ! Pamiętała—że nie będę już tak harować—i błogosławieństwo dała dla nas wszystkich—i dla was—

JÓZEF Tak ! Tak !

(Ludzie zaczynają klękać na schodach)—(Ruch koło drzwi).

(Wchodzi dozorczyni, za nią dwóch policjantów).

POLICJANT 1 To ten ?

DOZORCZYNI Ja nic nie wiem—

GRZEGORZOWA A panowie czego tu— ?

DOZORCZYNI Ja nic nie wiem—tyle, że obowiązek mam zameldować—

GRZEGORZOWA (W furii) Ach ty Judaszu !

POLICJANT 2 Spokojnie, spokojnie. (Do Józefa). Pan jest Józef Bylejak ?

JÓZEF (Uśmiechnięty) Ja—ja—ja—

POLICJANT 2 Te perły skąd ?

GRZEGORZWA Nic tu po panach ! Złodzieja tu nie znajdziecie !

SĄSIADKA Judasze przeklęte chodzą i szpiegują !

POLICJANT 1 Proszę spokojnie, nic się tu złego nikomu nie zrobi.

ANNA No, to policja niepotrzebna !

JÓZEF (Krzyczy) Bądźcie cicho ! Cicho—już ja sam im powiem—

POLICJANT 2 No, to najlepiej tak. Odrazu i poprostu. Doniesienie jest, żeście perły ukradli u Świętej Teresy.

GRZEGORZOWA Bóg cię za to ciężko skarze, szpiegu ludzki !

LUDZIE (do dozorczyni) Bóg za to pokarze ! Wiary trzeba w sercu nie mieć ! Tfu !

(Spluwają przed nią)

DOZORCZYNI Pokaże się wszystko. (Znika).

JÓZEF Bądźcie cicho—(do policjantów)—te perły są od świętej Teresy —ale nie ukradzione !

POLICJANT 1 To skąd je pan ma ?

JÓZEF Dała mi—darowała mi—dla żony chorej—

POLICJANT 2 Ha, ha.

WSZYSCY (bezładnie) Modlił sie—od trzech miesięcy—to jej patronka—jasność zobaczył—poruszyła się—rękę podniosła—perły z szyi odpięła, podarowała mu, głos usłyszał—powiedziała : weź to, mnie nie trzeba pereł, weź i wylecz żonę.

POLICJANT 2 No, pozwoli pan z nami—

ANNA Dokąd ?

POLICJANT 1 Iiii—do komisariatu i tyle.

LUDZIE Nie damy go—nie wolno ! Nie ma takiego prawa !

GRZEGORZOWA Józuś—nie chodź !

LUDZIE Nie puścimy go ! Cud był !

POLICJANT 1 Proszę spokojnie—

LUDZIE Nie damy go zabrać ! Krew się tu poleje !
(Ludzie napierają na policjantów)
POLICJANT 2 Proszę się rozstąpić—
JÓZEF Spokój, Spokój ! Cicho wszyscy ! Spokój !—(zgiełk cichnie) —ależ ludzie—przecież ja chętnie pójdę—przecież chcę pójść—czego miałbym się bać ? Sam komisarz mi uwierzy—musi mi uwierzyć !
SĄSIADKA (krzyczy spazmatycznie) Musi uwierzyć ! !
POLICJANT 2 No, i mądrze powiedziane—
JÓZEF Módlcie się teraz—dziękujcie Bogu—i świętej Teresie—(wszyscy klękają) ja tu wrócę—zaraz—i będę się modlił z wami—jeszcze się z żoną pożegnam—
POLICJANT 1 Ale prędko.
JÓZEF (Podchodzi do łóżka żony, klęka przy chorej, w izbie robi się bardzo cicho). Tereska—dziecinko moja—zaraz tu wrócę do ciebie, już na krok nie odejdę, aż pójdziemy razem—podziękować jej.
LUDZIE Amen.
JÓZEF Widzisz te perełki ? To twoje zdrowie—to nasze szczęście—całuję twoje ręce—i twoje stopy—całuję twoje czoło i twoje włosy—za to, że przez ciebie stałem się godny—
LUDZIE Amen. (Józef kładzie czoło na pościeli łóżka, chwila ciszy).
POLICJANT 2 No, chodź pan już.
JÓZEF Idę teraz—zaraz wrócę—nie bój się ! (Wstaje, idzie z policjantami ku drzwiom).
LEKARZ (wchodzi) Co się tu dzieje ? Maść wam przyniosłem—policja ? Co się tu stało ? Panie Józefie—
GRZEGORZOWA (prędko) Cud był—cud był—niech pan klęka—cud był—święta perły mu dała—za sto tysięcy—na leczenie Tereski—
LEKARZ Co ? Co to wszystko znaczy ?
LUDZIE Cud był, cud był !
JÓZEF Wszystko panu doktorowi powiem—tylko tu wrócę—no, idźmy prędko—
(Ze schodków odwraca się do Tereski). Bądź zdrowa, Tereska—
TERESKA (Dźwiga się z trudem na łóżku, jak w ekstazie, podnosi się).
LUDZIE Wstaje—wstaje—wstaje—sama ! sama ! sama ! !
TERESA (Zstępuje powoli z łóżka, chwiejąc się robi parę kroków, mówi z trudem, lecz wyraźnie). Przyjdź prędko—Józeczku—najukochańszy—
LEKARZ (Krzyczy) Pani wstała ? Pani się rusza ? (Podbiega do niej, podtrzymuje).
(Ludzie przerażeni, policjanci zdejmują czapki)
LEKARZ (Krzyczy) Na kolana ludzie ! Na twarz ! Na twarz !
(Wszyscy zastygli w ekstazie)
JÓZEF Tereska ! ! (Chwila ciszy—mówi prawie szeptem)—Panie Boże —Panie Boże — — czem ja za to zapłacę ? (Chwila ciszy). Chodźmy panowie—chodźmy prędzej—żeby prędzej wrócić—(Wybiega, policjanci za nim).
(Cisza, ludzie modlą się, Teresa stoi z przymkniętymi oczyma i uśmiecha się. Lekarz podtrzymuje ją i nie spuszcza z niej oczu. Grzegorzowa i Anna zanoszą się płaczem).
MICHAŁ A ja—w takiej chwili—pijany ! ! W takiej chwili ! W takiej chwili ! (Bije się pięściami w głowę i płacze).

KURTYNA

KONIEC OBRAZU PIERWSZEGO D.C.N.

GENERAŁ J. F. C. FULLER.

Artykuł napisany specjalnie dla "Nowej Polski."

PRAWA WOJNY TOTALNEJ.

Wojna totalna jest zjawiskiem rewolucyjnym. I właśnie tym różni się od wojen politycznych, prowadzonych dla celów dynastycznych czy strategicznych. Nie jest ona kontynuowaniem polityki państwowej innemi środkami, jak wojnę określił Clausewitz, lecz jest starciem między nowym a istniejącym porządkiem. W istocie swej jest konfliktem duchowym, w którym idea przewyższa wszystkie inne wartości nie wyłączając ofiary życia.

Jest sprawą najwyższej wagi, by demokracje zrozumiały tę prawdę, gdyż w przeciwnym wypadku rozminą się z sensem istotnym obecnej walki, a tem samem dostrzegać będą wszystkie fakty w świetle fałszywym. Aczkolwiek demokracje słusznie głoszą, że obecna wojna jest konfliktem ideologicznym, wojną idei, a więc wojną o charakterze rewolucyjnym, można by się zapytać gdzie jest ich duch rewolucyjny, gdzie ta iskra, która rozżarzać winna wszystkie ich działania? Odpowiedź, że szukać jej należy w postaci "wolności", które wprowadzone będą z chwilą osiągnięcia zwycięstwa jest niedostateczna, gdyż wojna rewolucyjna rozgorzeć może jedynie w ogniu idei znajdujących się w stanie gwałtownej, wulkanicznej erupcji. Przypuszczenie, że wojnę rewolucyjną może podtrzymać idea zawieszona w próżni jest równie niedorzeczne jak oczekiwanie, że samochód ruszy na hipotetycznej benzynie. W tym tkwi też źródło jałowości Karty Atlantyckiej.

Możnaby z większym logicznym uzasadnieniem twierdzić, że odpowiedź leży w sposobie życia wytworzonym przez demokrację i że ten sposób, jako żywotniejszy od sposobów wprowadzonych przez różne autokracje, musi w końcu przeważyć. Gdyby tak było, trzebaby zapytać, jak to się dzieje, że zamiast stawać się coraz doskonalej demokratyczne w miarę trwania wojny, demokracje stają się coraz mniej demokratyczne. W rzeczywistości, już są one niemal autokracjami, mimo, że odrzekają się wiary, której wymaga autokracja jako swej podpory. Przyjęte zostały obrzędy, ale wiara została odrzucona, wobec czego obrzędy stały się jedynie bezwartościowym ceremonjałem bez możności działania, nieożywionym magiczną i fatalną siłą wiary.

Wynika z tego, że jeśli wiary hipotetyczne bezsilne będą w walce z wiarą żywą, że jeśli Stary Porządek nie wykaże większej zdolności przetrwania aniżeli Porządek Nowy, nie będzie się on mógł wzmocnić przez przyjęcie form Nowego Porządku przy równoczesnym wyklęciu jego ducha. Ma więc przed sobą dwie alternatywy: albo musi wytrwać przy swej własnej wierze w jej dzisiejszej postaci, albo musi zmodyfikować tę wiarę na tyle, by jej zdolność istnienia przewyższała zdolność istnienia wiary zwalczanej. Jeśli się tak nie stanie, wówczas nawet zwycięstwo w tej wojnie nie uratuje Starego Porządku od przyjęcia w części wiary przeciwnika, a temsamym w wyniku wojny utrwali się sposób życia, który się chciało zwalczyć.

Historja wykaże kiedyś, że nie jest to jedynie puste przypuszczenie i dlatego celem uzasadnienia tego prawdopodobieństwa warto zbadać wyniki dawnych wojen rewolucyjnych—totalnych conajmniej w swych ideach jeśli nie w swej formie.

W ciągu ostatnich czterystu lat, największym konfliktem rewolucyjnym były wojny religijne, które nastąpiły po Reformacji. Było to starcie między katolikami a protestantami, z których pierwsi bronili istniejącego stanu rzeczy, drudzy zaś pragnęli przystosować religję do tych warunków ekonomicznych, które się stopniowo rozwinęły od czasu wypraw krzyżowych. Konflikt ten trwał blisko sto lat i osiągnął swój punkt kulminacyjny w najbardziej barbarzyńskiej wojnie czasów nowożytnych, mianowicie w

wojnie Trzydziestoletniej, trwającej od 1618-1648 roku. W czasie tej wojny Europa środkowa została spustoszona, blisko połowa ludności zginęła, a nie jeden z narodów europejskich zepchnięty został do poziomu ludożerstwa.

Z rozpoczęciem tej wojny Liga Katolicka postanowiła wytępić protestantyzm, a Cesarz Fryderyk II głosił, że "lepiej zamienić kraj w pustynię, niżeli by mieli nim rządzić heretycy". Ponieważ jednak protestanci wolność obrzędów cenili nad życie, wynik był taki, że gdy na skutek obopólnego wyczerpania przeciwników wojna się skończyła, mimo iż Europę zmieniono w pustynię, herezja pozostała. Długotrwałość i okropności Wojny Trzydziestoletniej można przypisać faktowi, że ideologicznie obie strony były totalistyczne. Mimo to Nowy Porządek zwyciężył, gdyż wobec nie przystosowania się katolików do protestantyzmu, powszechność—czyli totalizm katolickiego kościoła—została po roku 1648 niepowrotnie zniszczona.

Następna wielka wojna ideologiczna trwała od roku 1775—1815, to znaczy od wybuchu amerykańskiej wojny o niepodległość do upadku Napoleona. Rozpoczęła się ta wojna od utarczki pod Lexington a zakończyła decydującą bitwą pod Waterloo. Podobnie jak wojny religijne toczyły się pod hasłem „wolności obrzędów" tak w tej wojnie hasłem była wolność polityczna. Walka ta między Anglikami w Anglji a Anglikami w Ameryce Północnej w większym stopniu, aniżeli rewolucja francuska doprowadziła do gigantycznego konfliktu.

Uczestnik wojny amerykańskiej Stedman pisał o kolonistach : "Przewódcy ich, ożywieni duchem wolności, powzięli w najstraszniejszych okolicznościach decyzje wielkie i podniosłe, i dlatego doczekali się ostatecznego tryumfu". Podczas gdy "rząd brytyjski nie umiał się zdobyć na jakiś wielki akt, którym opanowałby okoliczności i wypadki, lecz myślał tylko o tym jakby podtrzymać swą władzę przy pomocy tymczasowych półśrodków i dlatego uległ". Możnaby powiedzieć, że rewolucja francuska zrodziła się raczej w Ameryce, aniżeli we Francji. Stamtąd to żołnierze francuscy przewieźli do ojczyzny ziarna wolności, równości i braterstwa. Streszczając swoje wrażenia z wojny, młodociany Saint-Simon wyznał :

„Czułem, że rewolucja amerykańska oznacza początek nowej ery politycznej, że ta rewolucja wywoła niechybnie wielki postęp w cywilizacji powszechnej i że niedługo spowoduje wielkie zmiany w porządku społecznym istniejącym w Europie".

I tak się stało. I mimo faktu, że kontr-rewolucja z Wielką Brytanją na czele pokonała rewolucję po 23 letnich zmaganiach się, ideologicznie Wielka Brytanja uległa rewolucji, i w roku 1832—to jest w zaledwie siedmnaście lat po upadku Napoleona—burżuazyjna demokracja usadowiła się w Anglji na dobre. Jednem słowem, herezja, którą postanowili Anglicy wytępić w roku 1793, została w znacznej części przez nich przyjęta jako dogmat ich politycznej wiary.

Taki obrót rzeczy zrodził jeszcze jedną rewolucję, którą tym razem nie było starcie między dwoma wyznaniami religijnemi czy między dwoma światopoglądami politycznemi, lecz między dwoma systemami ekonomicznemi—„posiadających" i „nieposiadających", które stworzył liberalizm (demokracja burżuazyjna) w połączeniu z rewolucją przemysłową. Jednem słowem był to konflikt między proletarjatem a burżuazją, w którym pierwszy pragnął zdobyć nie tyle władzę polityczną, która była niczem dla pustych żołądków, lecz wolność ekonomiczną—wolność od niedostatku. Taka była podstawowa idea rewolucji totalistycznej, która wybuchła w Rosji w roku 1917.

Mimo, że dla celów propagandowych demokracje powitały tę rewolucję życzliwie, z chwilą rozbicia Niemiec podjęły próbę zduszenia rewolucji rosyjskiej, gdyż zagrażała ona gospodarczemu i społecznemu porządkowi

wszystkich państw zachodnio-europejskich. Próba ta nie powiodła się i nowa idea przenikająca poszczególne narody wkrótce przybrała formy różnorodne. W Rosji był to bolszewizm, we Włoszech faszyzm, w Niemczech narodowy socjalizm, w Hiszpanji falangizm, a w Japonji "współ-dobrobyt". I właśnie ten podział narodów na dwa wrogie sobie obozy gospodarcze przyczynił się bardziej aniżeli cokolwiek innego do wybuchu wojny obecnej. Jest to wojna, która pod wielu względami przypomina Wojnę Trzydziestoletnią. Podczas bowiem, gdy w tamtym konflikcie kwestje religijne pomieszane zostały z gospodarczemi i wrogowie stawali się przyjaciółmi, a przyjaciele wrogami, w wojnie dzisiejszej kwestje ekonomiczne poplątane zostały z kwestjami politycznemi, a sprzymierzeni i neutralni zmieniali swe stanowiska i stawali się wrogami z prawdziwie zdumiewającą beztroską.

Jeśli rozważymy obecną wojnę jako walkę ideologiczną, dostrzeżemy przedewszystkim, że inicjatywa, to znaczy siła popędowa była dotychczas monopolizowana przeważnie przez nową ekonomję, co należy przypisać faktowi, że narody autokratyczne ożywione są swoistym duchem krucjaty. Hitler zauważył kiedyś, że „człowiek nie odda swego życia dla interesu, ale poświęci je dla idei." To jest powodem, dla którego ataki ideologiczne Niemiec były jak dotąd tak dewastujące w porównaniu z atakami ich przeciwników. W książce swej „Report on France", p. Tomasz Kernan stwierdza:

„Propaganda nasza wołała ‚demokracja i wolność' w próżnej wierze, że hasła, które nie rozpalały ludności krajów totalitarnych dość wcześnie, by zapobiec dojściu do władzy dyktatorów, mogą być nadal wysuwane w okresie powodzenia militarnego, by natchnąć tę samą ludność do zwrócenia się przeciwko jej zwycięskim przewódcom. Nasza ofenzywa ideologiczna nastawiona była na przeszłość, naziści natomiast chytrze nastawili swoją ofenzywę ideologiczną na przyszłość."

Dlatego też słabego ogniwa w wielkiej zbroji strategicznej demokracji należy szukać raczej w braku dostatecznie silnej wiary rewolucyjnej, aniżeli w brakach oręża i zasobów. I dlatego też propaganda wroga zwraca się przedewszystkiem przeciwko temu brakowi. Dzień i noc wmawia się mocarstwom sprzymierzonym, że walczą o utrzymanie systemu ekonomicznego, który musi powodować nędzę wśród nieprzebranej obfitości. Co więcej, że w tej walce nie wahają się zamienić całego cywilizowanego świata w jeden obszar nędzy, wśród której mogliby nadal żerować monopoliści. I mimo, że te zarzuty są przesadne, podobnie jak każda propaganda jest przesadna, tysiące ludzi ożywionych miłością ojczyzny—w każdym razie tu, w Wielkiej Brytanji—zdaje sobie sprawę, że pod łuską tej propagandy tkwi nieco prawdy. Zdają sobie sprawę, że w latach 1919-1939 było coś doszczętnie złego w systemie ekonomicznym i finansowym państw demokratycznych. Że wśród potencjalnego bogactwa istniało ubóstwo, że istniały wielkie obszary zamieszkałe przez ludność żyjącą w nędzy, że następowały po sobie złe i dobre cykle konjukturalne, że trwały nieskończone spory ekonomiczne zarówno w łonie poszczególnych narodów jak i między państwami. Mimo, że zdawano sobie sprawę z tych faktów, nie zdołały one nigdy rozpalić wyobraźni Francuzów, Anglików czy Amerykanów, jak to sie stało z Rosjanami czy Niemcami. U tych narodów dążenia te stały się fanatyczne, stały się demonami, które trzeba było egzorcyzować, gdyż jak długo istniały, życie wydawało się niewarte przeżywania. Gdy tymczasem w państwach demokratycznych sprawy te uważane były jedynie za materjalne niewygody i przykrości, za kwestję płac, polityki partyjnej, a więc za sprawy, za które nie warto umierać.

W ten to sposób od samego początku tej wojny demokracje nigdy nie zostały opanowane jakąś wielką światową ideą, któraby podmuchem ognia rozpaliła je moralnie, społecznie, przemysłowo i politycznie, i pchnęła ku

zwycięstwu lub śmierci, jak to kiedyś stało się z protestantami siedemnastego wieku, sankiulotami ośmnastego i bolszewikami dwudziestego wieku.

I tu—twierdzę—tkwi brakujące sprzęgło w demokratycznym systemie wojny. Co więcej, o ile demokracje nie znajdą tego sprzęgła, wówczas nawet jeśli militarnie zwyciężą w tej wojnie, nawet jeśli kraje nieprzyjacielskie zamienią w pustynie, herezja pozostanie. Nie wygrają wojny, jeśli nie odnajdą tego sprzęgła idei, i kto wie czy nie będą zmuszone przyjąć w tej czy innej formie herezji, którą obecnie zwalczają.

NAUKA W SZTUCE RZĄDZENIA

Brytyjskie Stowarzyszenie dla Popierania Nauki odbyło w Londynie w dniach 26—28 września 1941 trzydniową Konferencję poświęconą całkowicie dyskusji nad pracą jednego działu Stowarzyszenia, mianowicie Działu Społecznych i Międzynarodowych Stosunków Nauki. W Zeszycie I "NOWA POLSKA" przyniosła zasadniczą rozprawę H. G. Wells'a p.t. "Mózg Swiata" oraz sprawozdanie z dyskusji odbytej na tej samej sesji Konferencji.

Redakcja „Nowej Polski" zamieści w najbliższym numerze z pozwoleniem autora rozprawę Profesora A. V. Hill'a, Członka Izby Gmin, p.t. „Użytkowanie i Nadużywanie Nauki w Rządzeniu". W dalszej dyskusji na tej sesji Konferencji Prof. J. D. BERNAL omówił "Funkcje Uczonego w Polityce Rządowej i w Administracji".

Zwrócił on uwagę, że wojna obecna wykazała dobitnie zależność rządzenia od nauki, oraz że potrzeby wojny różnią się od potrzeb pokojowych jedynie tylko swą oczywistą nagłością. Wszystko to, co nauka dała wojnie dla celów niszczenia ludzkości, może znacznie skuteczniej i z większą gotowością dać dla jej dobra. Doświadczenie wojny wykazało jaskrawie, że w nowoczesnym świecie liczy się tylko działanie zorganizowane i że żadna działalność nie da się skutecznie zorganizować, o ile nie będzie organizowana naukowo.

Pierwszemi darami, które nauka przyniosła ludzkości, były wynalazki mechaniczne, czy chemiczne —tania energja, wielka ruchliwość, szybkie komunikacje, nowe materjały. Obecnie zaczynamy już dostrzegać, że ważniejszym od tego wszystkiego jest nowy sposób działania, który rozwinął się wraz z nauką i przenika dziś do wszystkich dziedzin działalności ludzkiej. Nauka jako miernik, nauka jako zorganizowany zdrowy rozsądek jest coraz bardziej i coraz powszechniej uznawana.

Jesteśmy świadkami całkowitej przemiany stanowiska nauki w sprawach społecznych. Obecne warunki wojenne przyspieszyły tę przemianę i umożliwiły rozwój, który przed wojną wymagałby wielu lat. Dziś zdajemy sobie sprawę, że nauka ma znaczenie szersze i dalej idące zastosowanie w sprawach rządzenia, aniżeli dotychczas przypuszczano.

Wielu ludzi, szczególnie wśród urzędników państwowych, wyobraża sobie, że w administracji państwowej uczony jest wyłącznie tylko czynnikiem doradczym. Pożytek z niego jest ten, że gdy od czasu do czasu, niektóre zagadnienia—najczęściej, względnie błahe zagadnienia techniczne—nie dadzą się zadawalająco rozwiązać, korzysta się z rady uczonego specjalisty. Uczony więc udziela na żądanie wskazówek, administrator zaś albo przyjmuje, albo ignoruje te wskazówki, poczem ustala swą politykę. Metoda taka załamała się jednak i obecnie miejsce jej zajmuje stopniowo metoda, przy której nauka coraz bardziej przenika całą machinę rządzenia. W szczególności nauka przenika w coraz większym stopniu do dwuch zasadniczych funkcji rządzenia. Jedną jest ustalenie wytycznych polityki, drugą wykonywanie tej polityki. Mieliśmy

cały szereg przykładów scalonego rozwiązywania przez techników i uczonych zagadnień z góry określonych. Obecnie stoimy wobec zadania określenia tych zagadneiń.

W warunkach wojennych nie mamy potrzebnego czasu na zbadanie stojących przed nami zagadnień. W czasie wojny, katastrofy następują zbyt szybko i chodzi o to, by im zapobiec, a nie o to, jak na nie reagować po niewczasie. Dlatego też musimy dążyć do określania stojących przed nami zadań środkami naukowymi. W pierwszym rzędzie koniecznym jest naukowe zbadanie potrzeb w sposób szybki i skuteczny. Doświadczenia tej wojny dowiodły, że zadanie to jest możliwe i że może być szybko wykonane.

W przeszłości statystyki rządowe uważane były raczej za materjał historyczny. Wyczerpujące wyliczenia ustalały dane istniejącej sytuacji, które rejestrowało się dla potomności, jak było np. ze spisami ludności. Dziś posiadamy znacznie szybsze sposoby rejestracji i w ogólnych zarysach możemy w ciągu tygodnia, ustalić sytuację faktyczną i przystąpić w następnym tygodniu do działania. Nie daje nam to wprawdzie wyników skalkulowanych z dokładnością ułamkową, ale lepsze są dane przybliżone, aniżeli żadne. W każdym razie umożliwiają nam zbadanie charakteru zagadnień.

Zbadanie i ustalenie granic zagadnień bieżących jest nową, niezwykle ważną funkcją nauki. Z chwilą, gdy zagadnienia te będą uporządkowane, okaże się, że większość z nich już gdzieś, przez kogoś została w zasadzie rozwiązana i chodzi poprostu o porozumienie się z właściwymi ludźmi, by się dowiedzieć, jak zastosować dane rozwiązanie w poszczególnym wypadku. Tu stajemy wobec poważnej luki w naszej służbie informacyjnej, która nie obejmuje całkowicie istniejącej wiedzy. Zaradzić temu mogą nowoczesne metody dokumentacji, jak np. mikro-fotografja. Jasnem jest jednak, że pozostaje jeszcze wiele nowych zagadnień, które trzeba będzie rozwiązywać w drodze badań naukowych, będących funkcją odpowiednich instytucyj, działających w stałym ze sobą porozumieniu.

Przechodząc od kwestji badań naukowych do kwestji stosowania ich wyników, musimy stwierdzić, że konieczne jest znaczne ulepszenie metod. Według obliczeń amerykańskich z przed kilku lat, przeciętny okres czasu, dzielący zjawienie się jakiejś idei w umyśle człowieka i wcielenie jej w postaci artykułu powszedniego użytku, wynosił około 150 lat. Okres ten został już znacznie skrócony, ale zawsze jeszcze wynosi około 10 lat. Otóż i ten okres czasu jest zbyt długi, poprostu dlatego, że nie ma racjonalnej organizacji wykorzystywania wyników badań naukowych. Warto wspomnieć dla przykładu, że pomysł zapinacza „zip“ istniał w formie skończonej przeszło 15 lat, zanim znalazł się ktoś, kto zajął się wykorzystaniem tego wynalazku.

Innym powodem opóźnień jest odosobnienie, w którem dokonuje się proces eksploatacji i oddzielenie tego procesu od badań naukowych. Przez ich zjednoczenie, wykorzystywanie wynalazków może być znakomicie przyspieszone. Ale same wynalazki nie wystarczą. Musimy się nauczyć ich najlepszego używania i tu właśnie nauka daje nam nieocenione korzyści.

Pozostaje jeszcze kwestja kontroli. Chcemy nie tylko wiedzieć, czy zastosowane środki były skuteczne w ich pierwotnym zamierzeniu, lecz również czy mają inne jeszcze skutki nieprzewidziane i nieobmyślane w chwili ich wprowadzania. Potrzebny nam jest stały, technicznie wykwalifikowany organ dla badania wyników wszelkich zarządzeń w administracji państwowej z lat ubiegłych i odnalezienie wynikających z nich trudności i nowych możliwości. Taki scalony organ informacji, badań, rozwoju, wykonania i kontroli, może się stać kośćcem naukowej administracji, w pełnym tego

słowa znaczeniu, a nie polegającej tylko na udziale kilku wybitnych uczonych. Będzie to czynnik niezbędny przy budowie świata przyszłości.

Nie należy jednak sądzić, że taki schemat ogólny samoczynnie spowoduje pożądaną przemianę naszego systemu administracyjnego. Wspomniane funkcje są przedewszystkim abstrakcyjne i formalne. Jeśli mają być skuteczne, muszą być użyte rozumnie, przez ludzi zdolnych zarówno do naukowego pojmowania, jak i do powzięcia odpowiedzialnych decyzyj. Nie da się tu w żadnym wypadku pominąć elementu ludzkiego. Ale nawet najzdolniejszy administrator, pozbawiony tych pomocy, pozostanie w nowoczesnym świecie ślepy i bezsilny.

Nie wystarczy również prowadzenie tym sposobem poszczególnych resortów rządowych, o ile podobne metody nie będą użyte dla obszerniejszego scalenia ogólnej działalności administracyjnej i gospodarczej. Wynika z tego, że niezbędnym jest plan ogólny, obmyślony i wykonywany naukowo. Potrzeba takiego planu ogólnego została już powszechnie uznana. Wojna wykazała, że nowoczesne państwo przemysłowe może się rozwijać tylko wtedy, jeśli działalność jego w różnych dziedzinach zostanie skoordynowana we wspólnym kierunku. Z drugiej stony ekonomiści klasyczni zawsze twierdzili, że planowanie na wielką skalę jest niebezpieczne przez możliwość olbrzymich omyłek w dystrybucji zasobów i przez brak automatycznych hamulców strat i zysków. Ta krytyka jednak nie odnosi się do planowania jako takiego, a jedynie do planowania nie-naukowego. W naszych czasach bowiem równie łatwym jest planowanie dla jakiegoś indywidualnego przedsiębiorstwa, jak dla departamentu stanu. Wszechobejmujące planowanie powinno by być nawet łatwiejsze, gdyż planujący nie potrzebują brać pod uwagę zmiany warunków, wywołanej aktywnością w innych dziedzinach. Niemniej, planowanie jest zadaniem olbrzymiem, które zajmie najlepsze zdolności ludzkie na długie lata, a musi być wypracowane naukowo. Nie stać nas dłużej na korzystanie z nauki w działaniach cząstkowych przy pominięciu jej w działaniach ogólnych. Anarchja i głupota u góry zbyt często niweczyła całkowicie dobre skutki doskonałych planów szczegółowych dla niektórych działów przemysłu czy administracji państwowej.

Przyszedł czas by stwierdzić, że najważniejszym z zagadnień naukowych, domagających się natychmiastowego rozwiązania, jest wypracowanie urządzeń centralnych funkcji ko—ordynacyjnych nowoczesnego społeczeństwa.

W istocie swej zagadnienie planowania wymaga rozwiązania równania o wielu zmiennych, przedstawiających różne sposoby użycia, wysiłków ludzkich dla uzyskania maksymalnej możliwości działania ludzi w najlepszych biologicznych i socjologicznych warunkach.

Pozostaje jeden szczególnie nas interesujący aspekt ogólnego planowania, mianowicie planowanie samej nauki. Była to do niedawna kwestja sporna, ale spory te ustępują wobec konieczności wywołanych warunkami, które pozostaną równie naglące w czasie pokoju, jak są dziś podczas wojny. W planowaniu nauki istnieje jednak zagadnienie, przerastające pod wielu względami zagadnienia innych dziedzin ludzkiego działania. Nie można nakazać ludziom by myśleli. Jeśli więc nauka ma być planowana, trzeba by planowanie to odbywało się na podstawie ochotniczej i ko-operacyjnej, pod skuteczną kontrolą samych uczonych. Pełne użytkowanie intelektualnych zasobów ludzkości da się osiągnąć przez zbudowanie organizacji elastycznej, dającej pełną gwarancję wolności i całkowite poparcie inicjatywie jednostki.

Wielką tragedją naszych czasów jest użycie nauki dla celów wybitnie destrukcyjnych, gdyż nauka jest zorganizowana i kontrolowana przez siły, których samo istnienie

jest zaprzeczeniem wszystkiego, co nauka sobą przedstawia. Los uczonych niemieckich jest dla nas ostrzeżeniem, by odrzucić panujący do niedawna pogląd, że nauka zajmuje się tylko środkami, bez względu na cele jakim służą. W dużej mierze stało się to dlatego, że uczeni sami nałożyli takie granice swemu działaniu. Z ogólnego, naukowego punktu widzenia nie można oddzielić środków od celów. Istnieje jeden cel wspólny—którym jest maksymalne wykorzystanie wrodzonych społecznych i indywidualnych zdolności ludzkich, a warunkiem niezbędnym dla osiągnięcia tego celu jest dostarczenie wszystkim ludziom najlepszych fizjologicznych i społecznych warunków bytu. Jeśli uczeni i nieuczeni nie będą dążyli do tego celu, ludzie nadal trwać będą w walce z sobą.

Pozostanie to prawdą po tej wojnie, tak jak nią jest podczas wojny. Musimy znaleźć wspólny cel, który przewyższy wszystkie ograniczone motywy prywatnego zysku i indywidualnego bezpieczeństwa, dominujące nad ludźmi przeszłości. Cel taki już powstał i żyje w umysłach wielu miljonów ludzi wszystkich państw świata.

W nowym świecie potrzebne nam będzie pełne wykorzystanie zasobów światowych w służbie ludzkości. Zasoby te nie są już tylko dobrami materjalnemi w rodzaju kopalń węglowych i pól pszenicznych. W większym stopniu są niemi wewnętrzne bogactwa ludzkie i społeczne, oraz siły uporządkowanej inteligencji ludzkiej, którą jest nauka, mogąca wskazać ludziom drogę do pełnego panowania nad środowiskiem. Jeśli uczeni chcą uniknąć dzisiejszego unicestwienia i zniszczenia, muszą współdziałać. Dlatego też nauka nie może pozostać rezerwatem nielicznych jednostek. Podobnie jak uczony w coraz wyższym stopniu interesuje się wszystkiemi zagadnieniami ludzkiemi tak obywatel musi poznać głębsze i szersze zastosowanie nauki. Nowoczesne państwo nie będzie mogło czerpać pełnych korzyści z nauki, o ile nie będzie posiadało dostatecznej ilości naukowo wykształconych obywateli, co wymaga nowych koncepcji nauczania.

Weszliśmy w fazę, w której ludzie mogą conajmniej posiąść świadomość funkcjonowania społeczeństwa, w którem żyją.

Jedną z cech tej nowej świadomości jest przemiana machiny państwowej, opierającej się na tradycyjnej biurokracji, walczącej z zachłannością przemysłu na organizację naukowo uporządkowaną, służącą do zaspokojenia potrzeb ludzkich. Nie mam złudzeń co do tego, że transformacja taka będzie łatwa i bezbolesna. Ale sama nagłość sytuacji, która z całą kategorycznością domaga się zmiany, usuwa równocześnie wiele przeszkód, które w przeszłości mogły się wydawać niezwalczone. Możemy więc krzepić się nadzieją, że zmiana dokona się zanim wybije godzina zagłady.

Były republikański premjer hiszpański, Profesor J. NEGRIN, omówił zagadnienie "Udziału Nauki w Sztuce Rządzenia", wychodząc z założenia, że odbudowa powojenna i położenie fundamentów trwałego pokoju zależeć będzie przedewszystkim od skutecznego związania sztuki rządzenia z nauką. Od takiego związku zależy w niemniejszym stopniu osiągnięcie zwycięstwa w obecnej wojnie, bez którego wszystkie nasze plany i nadzieje byłyby daremne.

Profesor Negrin podkreślił, że zamiarem jego jest przedłożenie Konferencji pewnych rozważań, wynikających z doświadczeń osobistych, z tych wyjątkowych doświadczeń zawodowego uczonego, który unikając niemiłego mu mieszania się do spraw politycznych, wplątany w nie został poczuciem obowiązku obywatelskiego, gdy od roku 1936 powołano go do zadań rządowych, które nieprzerwanie spełniał przez cały ten burzliwy okres czasu.

W rozważaniach swych Profesor Negrin daleki jest od jawnego, czy ukrytego popierania systemu „technokracji", czy „sofokracji", gdyż

technologja i nauka mogą dostarczyć jedynie niezbędnych danych racjonalnego rządzenia, ale nie mogą takiego rządzenia zastąpić. Nauka i sztuka rządzenia mają swoje odrębne metody i cele. Oczywiście człowiek nauki może posiadać zalety przywódcy, ale nie ma żadnego podobieństwa między kształtowaniem się, dyscypliną, czy "stylem" tych dwuch typów ludzi.

Stosunek męża stanu do nauki może być dwojakiego rodzaju. Będzie to albo stosunek bierny, w którym mąż stanu zdobywa wiedzę, przyswaja sobie metodę i nabiera ducha naukowego, albo stosunek czynny, bardziej bezpośrednio utylitarny, pozwalający mu wykorzystywać wiedzę i postępy nauki w zamierzonych osiągnięciach.

Co może mąż stanu znaleść w nauce ?

Nauka może oddać mu usługi przez swą zdolność formowania kryterjów. Naukowa krytyka i metoda ułatwiają usuwanie antagonizmów życia zbiorowego oraz sprzeczności życia indywidualnego i postępowania kolektywnego, antagonizmy i sprzeczności wytwarzane przez paradoksalność natury ludzkiej, pełnej współistniejących antymonij. Nauka może również korygować zawodowe deformacje typowe dla ludzi polityki. Nie chodzi tu o zboczenia tak popularne, jak brak objektywizmu, obojętność na prawdę i skłonność do fałszywego argumentowania, lekceważenie zasad, lokalny czy personaly protekcjonizm, sekciarskie wykorzystywanie polityki partyjnej, czy wreszcie skłonność do próżności i pogoń za efektami, które zbyt często znajdują najsurowszą karę w adulacji, tej słodkiej truciźnie, która tyle wczesnych nadziei życia publicznego zabiła w zarodku. Wszystko to znajduje swój wyraz w korupcji zrodzonej z interesów prywatnych, lub nie przebierającego w środkach pragnienia zdobycia popularności i władzy, która nawet jeśli zostanie w ten sposób zdobyta, okazuje się zwykle krótkotrwała. Ale na to nauka nie wiele może poradzić, gdyż jest to zagadnienie moralności obywatelskiej i zdrowia duchowego.

Mam tu na myśli cechy istotne, które wyróżniają mężów stanu, a które łatwo mogą spowodować zawodową deformację osobowości. Przewodzenie, jeden z pierwszych warunków męża stanu, wymaga instynktu ostrzegawczego, połączonego ze zdolnością zimnej kalkulacji. Twórczej wyobraźni trzymanej w ryzach trzeźwego realizmu. Przedsiębiorczego i bojowego ducha, kontrolowanego zmysłem należytej oceny możliwości. Energji równoważonej umiarkowaniem. Odwagi połączonej z mądrością. Zdolności czynienia szybkich decyzji w spokoju i bez pośpiechu. Stanowczości i wytrwałości wolnej od uporu.

Wielką siłą męża stanu jest jego wiara we własne dzieło. Wiara ta jest w równym stopniu niezbędna u władcy, jak u artysty i uczonego, gdyż bez niej żadna praca twórcza nie byłaby możliwa. Jednak czysta wiara i głęboko zakorzenione przekonania nie powinny prowadzić męża stanu na manowce jakiegoś dogmatycznego doktrynerstwa. Wykształcenie naukowe przeciwdziała agnostycznemu niedowiarstwu, lecz jest zarazem źródłem wątpliwości, które pobudzą do działania i wytwarza zdrowy duch sceptycyzmu, potwierdzając tym samym paradoks, że wiara jest żarliwsza u tych, którzy najlepiej wiedzą, jak należy wątpić.

Nauka zdolna jest skuteczniej, anizeli jakakolwiek inna działalność ludzka, wpoić w męża stanu tę przemożną podświadomość, która nadaje jego pracy charakter eksperymentalny, jego przekonaniom formę postulatów, jego doktrynie ideologicznej zasięg tymczasowej teorji a programowi jego znaczenie praktycznej hipotezy.

Jednym słowem, jeśli mąż stanu drzejmie się prawdziwym duchem nauki, misja jego wyszlachetnieje, w rządzeniu bowiem, podobnie jak w nauce, jednym z głównych bodźców musi być żarliwe pragnienie poznania prawdy.

Powyższe rozważania mają na

celu ustalenie różnolitych sposobów, przy pomocy których mąż stanu może z pożytkiem poddać się naukowemu kształtowaniu.

Zastanówny się obecnie nad korzyściami jakie nauka może oddać mężowi stanu. Olbrzymie zagadnienie reorganizacji zdewastowanego świata nie da się skutecznie rozwiązać bez pomocy nauki. Będziemy mogli spojrzeć optymistycznie na możliwości rekonstrukcji, jeśli rutynie nałożymy więzy i jeśli przewódcy przyszłości nie będą się upierali przy stosowaniu przestarzałych metod do nowych zagadnień. Niewątpliwie zniszczone zostały wysiłki i dorobek całych pokoleń, ale narody, które zachowały swoją żywotność zawsze wykazywały nieoczekiwaną i zdumiewającą zdolność szybkiego podźwigania się nawet po najokrutniejszej wojnie. Poza niezastąpionemi wartościami artystycznemi czy historycznemi, wszystko inne da się odrobić i przewyższyć w krótkim czasie pod warunkiem, że nauka i jej kierownicza rola będą przyjęte. W ten sposób tylko możemy uniknąć powtórzenia zdumiewającego i niezrozumiałego faktu, że przez tyle lat po ostatniej wojnie praca ludzka,—największe bogactwo, istniejące na świecie—była lekkomyślnie marnowana, i że miljony ludzi utrzymywane były w bezczynności. Kraje totalitarne dały dowód mądrości i zyskały wielkie korzyści, stosując—aczkolwiek tylko częściowo i w nieludzki sposób—zasady naukowe dla tworzenia, zabezpieczenia i rozdziału pracy.

Jeśli dzięki bardziej rygorystycznemu osądowi naukowemu i duchowi postępu zgodnemu z szacunkiem dla osobowości ludzkiej, którym się chlubimy, kraje dotknięte wojną przystąpią do racjonalnego planowania i zmobilizowania całego możliwego wysiłku, rany tej wojny szybko się zabliźnią, nie zostawiając żadnych śladów.

Technologja i nauka oddały w służbę intelektu ludzkiego olbrzymie zapasy energji, pozwalające na nieograniczone pomnożenie wysiłku i na osiągnięcie w ciągu jednej dekady tego, co jeszcze sto lat temu wymagało całego okresu historycznego. Zbliżamy się do epoki, w której istnieć będzie nieprzebrana obfitość taniej energji, ale już dziś nie ulega wątpliwości, że przy racjonalnej ko-ordynacji wytwarzania i zużytkowania energji w skali światowej, udostępnimy ją i poważnie obniżymy jej ceny. Dzięki temu szybka odbudowa powojenna będzie możliwa. Skuteczne wysiłki w okresie najbliższych lat, niezbędne jeśli cywilizację naszą mamy uratować od zniszczenia, nie dadzą się wyzwolić bez planowania i racjonalizacji, które muszą zignorować obecne granice państwowe. Istotnem narzędziem tego planowania i racjonalizacji jest nauka. Poza odbudową, uzdrowieniem i reorganizacją materjalną spustoszonego świata, mężowie stanu staną przed innemi zagadnieniami, których rozwiązanie możliwym będzie jedynie przy pomocy nauki: przed zagadnieniami kultury, wychowania i powszechnego nauczania, pomocy naukowych, rozwoju badań naukowych popierania sztuk, przed zagadnieniami związanemi z poprawą stanu fizycznego ludzkości, podniesieniem stopy życiowej, nadaniem postępowej treści życiu zbiorowemu i stworzeniem w ten sposób nowych wartości i nowej moralności.

W burzliwych okresach historji, pod ciosami przemocy, zagadnienia dnia powszedniego nabierają innych kształtów i stają się łatwiejsze do rozwiązania. Wydaje się prawdopodobne, że takie szeroko dyskutowane tematy jak zakres dozoru państwowego nad nauką i sztuką, lub kontroli państwowej nad wychowaniem i nauczaniem i rozwojem kultury fizycznej, stracą wiele z swych polemicznych atrakcji w świetle nowej sytuacji wytworzonej przez wojnę.

a) W pierwszym rzędzie, zbiorowe i instynktowne zainteresowanie obroną wymaga, by każdy kraj wykorzystał w całej pełni potencjalne zdolności swych obywateli i by w następstwie tego wykształcenie i

wiedza udostępnione były wszystkim bez żadnych ograniczeń.

b) Po drugie, jeśli mamy się uratować jako niezależna zbiorowość, podstawową potrzebą staje się utrzymanie kontaktu z innemi krajami, celem osiągnięcia najwyższego poziomu fizycznego, intelektualnego i zawodowego wszystkich obywateli.

Zadaniem nauki jest opracowanie takiego programu, zadaniem mężów stanu jest wykonanie go i zaspokojenie naturalnego pragnienia krzywdzonych i wydziedziczonych przez podniesienie i udostojnienie ich poziomu życiowego, który był podłożem głębokich wstrząsów politycznych już w zamierzchłej epoce dziejów. Te sięgające w przyszłość zagadnienia nie powinny jednak odwracać naszej uwagi od bliższego zadania, mianowicie pomocy jaką nauka musi udzielić mężom stanu dla osiągnięcia zwycięstwa. Skupienie bowiem wyłącznej uwagi na plany przyszłości byłoby przysłowiowym piciem wina przed rozpoczęciem winobrania.

Wszystko zależy od obecnego konfliktu. Prawda, że walczymy obecnie o liberalną koncepcję demokracji, o niepodległość narodów, o prawa człowieka, o postępowe pojęcie świata. Samo przez się jednak wszystko to nie przedstawia jeszcze istoty obecnej walki. U podłoża jej jest coś biologicznego, przymitywnego i zwierzęcego, czego analogję znaleść byśmy mogli, cofając się wyobraźnią do czasów przedhistorycznych, gdy szczepy i gatunki znikały—może nazawsze—w walce eksterminacyjnej.

Naród, który—smutno to przyznać—wiedział lepiej od innych, jak skorzystać z nauki w dążeniu do zdobycia hegemonji, opanowany został pychą Lucypera i uwierzywszy w swe boskie pochodzenie, pragnie ujarzmić resztę świata. Zasoby tego narodu są przerażająco wielkie, przygotowania jego gruntowne, przewidywania jaknajbardziej staranne, a niebezpieczeństwo, jakie ten naród przedstawia dla nas wszystkich jest większe, aniżeli jakiekolwiek znane w historji. W tej gigantycznej walce na śmierć i życie, w tej walce, w której żaden wysiłek nie będzie zbyt wielki, w której nikt nie ma prawa uważać się za stojącego na uboczu zła i dobra, nauka nie tylko musi dopomóc—jak to czyni obecnie—w ulepszeniu sposobów zniszczenia wroga i ochrony przed jego atakami, lecz ponadto, w dziedzinie ducha, służyć nam musi jako pochodnia rozświetlająca naszą drogę i jako pomoc ułatwiająca mężom stanu spełnienie ich zadań.

Okres historyczny rozpoczęty w drugiej połowie 18 wieku, którego cechą było skrystalizowanie się zasad demokratycznych i walka o ich zastosowanie, ujawnia oznaki rozkładu i ustępuje miejsca nowej epoce. W tym okresie wybuchło wiele pożarów, a chwila obecna jest być może największym nasileniem tej pożogi. Z badań historycznych i naukowych mężowie stanu mogą zdobyć konieczne doświadczenie, które im umożliwi nakreślenie zarysów oblicza obecnej epoki. Analiza retrospektywna nie tylko im umożliwi przez kontrast, zrozumienie niejasnych zjawisk współczesnych, lecz co więcej da im perspektywę historyczną, w świetle której ujawni się to, co jest jednolite w naszej epoce i objawi się motyw przewodni przesłonięty obecnie zasłoną nieskoordynowanych wydarzeń. Jest rzeczą jasną, że jesteśmy świadkami kształtowania się nowego świata i jeśli narody będą chciały przeszkodzić nadejściu tego świata przez trzymanie się starych i przeżytych metod, narażą na niebezpieczeństwo nie tylko zwycięstwo w tej wojnie,lecz swoje własne istnienie. Zrozumiały to zbyt dobrze te narody, które w dzisiejszym świecie reprezentują zacofanie i barbarzyństwo, i dlatego na swym maszcie histerycznej złudy wywiesiły sztandar rewolucji.

Postęp ludzkości jest procesem przerywanym, a nawet ewolucja osiągana jest nagłemi skokami. Gdyby możliwem było ograniczenie jej rozwoju, nastąpiłaby stagnacja, skostnienie i śmierć. Podobnie jak w żywej naturze, społeczeństwo ludz-

kie gromadzi impulsy odnawiania się i zjawisko rewolucyjne przychodzi nieoczekiwanie, jakby przez nagłą mutację. Wydaje się, że obecnie przeżywamy okres gigantycznych mutacyj. I tu właśnie jest nowe pole, na którem nauka może być mentorem męża stanu i dopomóc mu w usunięciu przeszkód na drodze do odmłodzenia i postępu, przeszkód w rodzaju zgrzybiałego archaizmu i fałszywych tradycyj, zabójczych dla samorzutności i wiodących nieuchronnie do zagłady. Bez tradycyj nie mogłaby istnieć ani kultura, ani cywilizacja. Obie one chronią nas od oderwania się od przeszłości i od zatracenia poczucia ciągłości. Zaiste, symbolem postępu ludzkiego jest istota systemu tradycyj. W czasie tej wojny ideały ożywiające nas są syntezą naszych europejskich, chrześcijańskich i ludzkich tradycyj, najwznioślejszym tworem ducha i naszej cywilizacji.

Znamy w przeszłości wiele narodów, które upadły pod brzemieniem swych własnych, przestarzałych tradycyj. Każda tradycja pozbawiona dynamizmu historycznego zawiera zalążki śmierci, gdyż tradycje wymagają naogół perjodycznego odnowiena zgodnego z duchem czasu. Nauka dostarcza kamieni probierczych, ujawniających zgrzybiałość tradycyj i wyznaczających te z nich, które wymagają odnowienia i te, które winny być usunięte. Nauka może tchnąć nowe życie w martwe tradycje. Podobnie jak w sprawach wiary, tak i w rzeczach nauki każdy ogłasza niezmienność swych doktryn. Polityk jednak znajdzie w nauce sito, którem może przesiać, rozróżnić, sklasyfikować i oczyścić aspiracje walczących mas, oraz narzędzie do wypracowania i sformułowania odpowiednich rozwiązań.

Prawnicy, socjologowie, ekonomiści i historycy w pierwszym rzędzie, będą musieli przy pomocy innych nauk przygotować różnorakie formuły—nie narzucające zbyt pośpiesznych improwizacyj—rozwiązania fundamentalnego zagadnienia, ustanowienia organizmu nad—narodowego i nad—państwowego, w zgodzie z naszemi demokratycznemi zamiarami, ale z dostateczną władzą i siłą, by ujarzmić tę część narodowej suwerenności, którą trzeba będzie poświęcić na ołtarzu trwałego pokoju.

W sercach naszych żołnierzy żyje wiara w zasady demokratyczne, będące jądrem naszej cywilizacji, a wyrażające się pełnią wolności indywidualnej w dziedzinie myśli i wolności ograniczonej w działaniu tam, gdzie w grę wchodzą słuszne interesy innych.

Oznacza to obronę interesów zbiorowości i gwarancję tego co uważamy za prawa człowieka.

Patrojotycznym i ludzkim obowiązkiem uczonych jest przystąpienie do tych zadań, do których mężowie stanu powinni ich powołać. Ich kwalifikacje specjalne posiadają wyjątkową wartość w obecnych warunkach, szczególnie ich głęboki zmysł tolerancji, który spotykamy częściej u uczonych, aniżeli w jakiejkolwiek innej warstwie społecznej, żarliwość prawdy, oraz szerokie międzynarodowe i uniwersalistyczne zrozumienie, które —w granicach możliwości ludzkich —wolne jest od ciasnych przesądów rasowych czy religijnych.

Aby stworzyć nowy i lepszy świat nie wystarczy, by mężowie stanu przeprowadzili racjonalizację i planowali w skali światowej. Koniecznym będzie wysunąć i wszczepić nowe wartości moralne, którym uczeni nadadzą formę w sensie nad—narodowym i humanistycznym.

W ostatecznej analizie cele uczonych i mężów stanu są podobne: jedni i drudzy szukają prawdy, tego co w dziedzinie stosunków ludzkich znajduje swój najwyższy wyraz w słuszności, wolności i sprawiedliwości. Już dwadzieścia cztery stulecia temu, Arystoteles stwierdził w swej ETYCE, że najwyższym celem polityki jest dobro człowieka. Idąc za ideą, która ożywiała myśliciela starożytności, możemy dziś stwierdzić, że najwyższym celem człowieka jest miłość bliźniego.

F. B. C.

STARY ŚWIAT I NOWE SPOŁECZEŃSTWO

Pod powyższym tytułem ukazała się swieżo nakładem Transport House'u broszura o wielkiem znaczeniu. Jest to raport Zarządu Labour Party, który będzie podstawą dyskusji na tegorocznej konferencji partyjnej. Raport ten obejmuje program Labour Party rekonstrukcji świata powojennego. Teoretycznie konferencja może wnioski raportu odrzucić, może wprowadzić bardzo poważne modyfikacje. Praktycznie jednak ewentualności te można wykluczyć. Praca nad raportem trwała sześć miesięcy. W komitecie, który go opracowywał, a w którym dominującą rolę odgrywał główny teoretyk Labour Party, profesor Harold Laski, stosunek sił odpowiadał stosunkowi sił w samej partji. Ten kompromis więc—bo niewątpliwie raport jest dziełem kompromisu, który został osiągnięty w ramach komitetu redakcyjnego—wiernie odźwierciadlać będzie poglądy ogółu członków partji.

Istotą tego kompromisu jest to, że program nie jest programem maksymalnym, to jest nie obejmuje żądania wprowadzenia ustroju socjalistycznego, a zawiera jedynie program państwa opartego na koncepcji służby społecznej " a social service State." Niezwykle charakterystyczne w tym względzie jest to, że jako dwa aneksy do programu, wydrukowano teksty Karty Atlantyckiej i tekst słynnego orędzia Prezydenta Roosevelta do Kongresu z d. 6 stycznia 1941, obejmujący określenie czterech zasadniczych wolności.

Nowy program Labour Party nie dąży do rewolucyjnych zmian w starym porządku ; zasady jego—jak powiedziano w zakończeniu—" nie dążą do objęcia własności bez słusznego odszkodowania." Nie staje on nawet na stanowisku klasowem. Partja Pracy " nie szuka poparcia tych zasad na ciasnym gruncie partji, czy też klasy." Reformy, daleko idące, które program przewiduje, mają na celu jedynie pełniejsze zrealizowanie demokracji przez zlikwidowanie tych sił przywileju, które hamowały postęp społeczny, oraz zapewnienie bezpieczeństwa ekonomicznego wszystkim obywatelom.

Przejdźmy teraz do analizy samego programu.

Na samym wstępie znajdujemy mocny apel do walki o pełne zwycięstwo, połączony ze stwierdzeniem, że " pokój, zawarty z Hitlerem lub jego wspólnikami byłby bezsensowny." Nie może więc być negocjacji z Hitlerem, ani z rządami, które się z nim związały. Partja Pracy " będzie nastawała na ostateczne zniszczenie siły zarówno militaryzmu niemieckiego, jak i sił, na których się on zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie opierał, dla osiągnięcia swego panowania nad światem. Będzie również dążyła do stworzenia tych koniecznych i stałych gwarancji, które by zabezpieczyły ofiary napaści przed powtórzeniem się obecnej tragedji wojennej. Ludy Niemiec, Włoch i Japonii będą musiały nareszcie zrozumieć, że potęga, którą narody miłujące wolność potrafią zmobilizować, jest dość wielka, aby zapewnić zwycięstwo. Ponadto Labour Party będzie się domagała, by ci co są odpowiedzialni za barbarzyństwa, o których przyszłe stulecia będą wspominały ze wstydem, nie uniknęli należnej kary." Rozdział następny przypomina, jak siły przywileju kapitalistycznego sympatyzowały w Zachodniej Europie z faszyzmami, jak " wolały zniszczyć Ligę Narodów, aniżeli ryzykować obalenie sił przywileju w Niemczech i Włoszech."

Rozdział trzeci poświęcony jest zagadnieniu rekonstrukcji. Na wstępie stwierdza, że : " Nie może być powrotu do świata, który istniał d. 3 września 1939 ; zwyczaje i duch tego świata należą już do historji starożytnej. Nowe czasy wymagają produkcji planowanej dla ogólnego spożycia ; i to jest istotnym warun-

kiem, aby zasadnicze wolności mogły być zrealizowane w codziennem życiu każdego z obywateli. W dziedzinie międzynarodowej nowy świat wymaga organizacji takiej siły w obronie prawa, by żadne państwo nie mogło marzyć o agresji, jako o środku poparcia swych interesów narodowych."

Trzeba więc czterech rzeczy: " Musimy dbać o pełne zatrudnienie; musimy w Wielkiej Brytanii odbudować poziom życia, godny tych mężczyzn i kobiet, którzy go ocalili od zagłady; musimy zorganizować służby społeczne w ten sposób by wszyscy obywatele mieli zapewnione odpowiednie zdrowotne warunki, odpowiednie odżywianie i opiekę w starości; musimy wszystkim zapewnić możność kształcenia się, tak by nikt nie był pozbawiony udziału w naszem dziedzictwie kulturalnem." I znowu na poparcie swego stanowiska program cytuje oświadczenie Roosevelta.

Cele te przed wojną nie mogły być osiągnięte, albowiem świat przedwojenny był oparty na systemie, którego motorem była chęć zysku prywatnego, a nie potrzeby społeczeństwa. Ten system zbankrutował. Anarchja konkurencji musi ustąpić miejsca planowaniu pod kontrolą społeczeństwa. Partja Pracy żąda więc, by naród stał się właścicielem zasadniczych instrumentów produkcji i rozporządzał nimi; ich władza nad życiem naszem jest zbyt wielka, by można je było pozostawić w ręku prywatnym. Ta własność społeczna nie oznacza rządów biurokracji. Oznacza ona popierwsze, że ekspert techniczny winien mieć właściwe miejsce w kierownictwie sprawami ekonomicznemi i po drugie, że umiejętność i doświadczenie robotników winny być wyzyskane w pełni we wszystkich dziedzinach administracji i kierownictwa.

Należy więc przedewszystkiem utrzymać po wojnie ten system planowania i ustalania pierwszeństw produkcyjnych, który istnieje obecnie. Przyczem jeden z argumentów przytoczonych zasługuje na specjalne podkreślenie. Ten system bowiem, zdaniem raportu " przeszkodzi, a takie przeszkodzenie jest konieczne—eksploatacji niektórych przemysłów mniejszych, przez wielkie kompanie monopolistyczne."

Plan więc jest wyraźny. Socjalizacja, raczej przejęcie przemysłu przez państwo za odszkodowaniem właścicieli, dotknąć ma tylko wielkich przemysłów kluczowych. Średni i mniejszy przemysłowiec pozostaną nietknięci.

Państwo ma być państwem służby społecznej. Program przewiduje więc podwyższenie rent emerytalnych, podwyższenie wieku szkolnego do lat szesnastu, rozbudowę systemu stypendjalnego dla zdolnych dzieci, wreszcie dopłatę przez państwo do utrzymania każdego dziecka. (Uznanie zasady pomocy państwowej dla dzieci jest krokiem rewolucyjnym w stosunku do poglądów Trade Unionów, które zasadę tę gorąco zwalczały, obawiając się, że przyjęcie jej sprzeczne będzie z ich podstawową zasadą jednakowej płacy za jednakową pracę.) Program obejmuje pozatem zasadę minimum płacy i żądanie socjalizacji pomocy lekarskiej.

W polityce zagranicznej Partja żąda stworzenia organizacji międzynarodowej, która by zabezpieczyła bezpieczeństwo zbiorowe. Kompetencje tej organizacji winny obejmować: a) pokojowe rozstrzyganie sporów międzynarodowych b) sankcje ekonomiczne i militarne przeciw agresorom, c) wspólne działanie w sprawach o ogólnem znaczeniu, w szczególności opiekę nad interesami mniejszości i tych narodów, które jeszcze są niezdolne do życia samodzielnego, d) współpracę międzynarodową w celu podniesienia życiowego mas, w szczególności pomoc dla mniej ekonomicznie rozwiniętych, e) współpracę intelektualną między narodami i f) zabezpieczenie wszystkim narodom czterech zasadniczych wolności.

Na szczególne podkreślenie zas-

ługuje to, że program stanowczo się odcina od wszystkich planów propagowanych przez lewicę Labour Party i skrajną prawicę angielską, a opartych na przeświadczeniu, że epoka państw niepodległych się skończyła i proponujących bądź to federację Centralno-Europejską z Niemcami, jako elementem dominującym, bądź to uznanie Europy Wschodniej i Południowej za domenę wpływów sowieckich. Program mówi " Wobec technologicznego charakteru wojny obecnej, małe państwo nie może marzyć o obronie przed potężnem państwem napastniczem, choć może wydatnie przyczynić się do bezpieczeństwa zbiorowego, jak to nasi sprzymierzeńcy szlachetnie wykazali. Nie można więc ich wyborowi pozostawić nadziei na utrzymanie neutralności. A dalej " Partja Pracy jest przekonana, że żaden eksperyment, któryby nie uznał słusznych praw narodów do bezpieczeństwa i niepodległości nie może się powieść; zaprzecza jednak twierdzeniu, jakoby to prawo zawierało w sobie prawo jakiegokolwiek narodu do suwerenności, tak jak ją państwa pojmowały i wykonywały w latach międzywojennych." Każdy naród ma pełne prawo do wybrania formy rządzenia, z tem zastrzeżeniem jedynie, że uszanuje Cztery Swobody i ich międzynarodowe konsekwencje.

Wreszcie program wyraża przekonanie, że " w przyszłości demokracja będzie w stanie utrzymać pokój międzynarodowy wtedy tylko, gdy w każdem państwie nastąpi rozwój wspólnej własności środków produkcji i skoordynowane planowanie we wspólnym interesie."

Przypomina, jak to siły przywileju kapitalistycznego dopomagały Hitlerowi i Mussoliniemu, jak we Francji wolały poświęcić wolność narodu, aniżeli swe interesy, jak nawet w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych istniało niebezpieczeństwo, że siły te przyjmą pokój na warunkach proponowanych przez napastników. " Historja Mandżurji i Hiszpanji, Austrji i Abisynii, a przedewszystkiem męczeństwo Czechosłowacji i Polski wskazuje na cenę, jaką demokracja zapłaciła za swą ślepotę w stosunku do praw ludzkich."

Tak więc pod projektem programu Labour Party nietylko postępowy Anglik, czy Szkot, ale i każdy postępowy Polak mógłby bez wahania swój podpis położyć.

cep.



Rys Feliks Topolski

MARIA KUNCEWICZOWA

Przemówienie wygłoszone na przyjęciu P.E.N. Clubu wydanym dla uczczenia Jugosławii i kultur słowiańskich.

Mniej więcej sto lat temu, w Paryżu pewien profesor prowadził w Collége de France wykłady o literaturach słowiańskich. Profesor ten nazywał się Adam Mickiewicz i był polskim poetą. W jednym ze swych wykładów powiedział: " Narody słowiańskie odkryją ludom Europy tę stronę ich własnych dziejów, którą nazwałbym stroną tajemniczą i boską. Pozwólcie mi porównać historję Francji do księżyca. Wielu znakomitych astronomów obserwuje go co noc, ale—jak wiadomo—widzą tylko jedną półkulę, podczas gdy druga zwrócona ku słońcu, pozostaje wieczną tajemnicą. Natomiast mieszkańcy innej planety tę właśnie drugą stronę księżyca uważają za widok zwyczajny.
. . . Narody słowiańskie żyją na innej planecie. Braterska to wszakże planeta skoro wkoło tego samego obraca się słońca."

Spotkaliśmy się tutaj, by złożyć hołd kulturze Słowian. Kultura narodów nie jest zjawiskiem statycznem: jest to raczej dynamiczny proces. Ale pewne cechy tego procesu nie ulegają wpływom czasu. Dlatego dramat narodowy jest częścią najbardziej pomnikową a zarazem jaknajbardziej wizjonierską każdej literatury. Zdawkowo dźwięczą słowa o literackich dramatach teraz, gdy świat cały został obrócony w scenę, na której historja ludzkości wzbiera ku swemu przełomowi. Naród jugosłowiański pod przewodem Jego Królewskiej Mości gra bohaterską rolę w powszechnym dramacie. Bez wątpienia bohaterską w pewien osobliwy sposób. Może ów sposób być nazwany romantycznym, może być nazwany rozpaczliwym. Jest poprostu—słowiańskim sposobem. I tutaj raz jeszcze wrócę do Mickiewicza. Mówi on: . . . "dramat słowiański musi być liryczny i przypominać czarowne pieśni ludowe: musi opowiadać baśnie: musi jednak również przenosić nas w świat zaziemski. *Obylicz* tragedja serbska poety Milutynowicza, opowiada o bitwie na Kosowem Polu. Rozgrywa się ta tragedja w zamku książąt serbskich, w cerkwi prawosławnej i w namiocie sułtana Amurata, który podbił Serbję i zginął z ręki Obylicza. Tym wszakże scenom ziemskim odpowiadają sceny w nie-

bie. A żyjące postaci pomieszane są z aniołami i z duchem zmarłych wojowników". Otóż—wydaje mi-się—że tragedja Kosowego Pola jest ciągle żywa, jest nie zakończona. Równie żywa, niezakończona, jak polska walka o niepodległość, jak czeski wysiłek przetrwania, jak kontr-ofenzywy rosyjskie, jak cykl Sedanu —jak brytyjska wojna o szlaki oceaniczne.

Wszystkie te dramaty grają się na scenie ziemskiej. Ich aktorzy są dziećmi Szekspira i Corneille'a, Puszkina i Mickiewicza w stopniu nie mniejszym, niż ciałem i krwią rzeczywistych rodziców. Wierzę, że wszyscy oni zbliżają się do swojej catharsis.

Wierzę również, że w lepszym świecie, gdzie zażywać będą owoców zwycięstwa nad potęgami ciemności, Obylicz odsłoni przed Hamletem tajemniczą stronę księżyca.

Mamy teraz wiosnę. Ale świat dokoła nas jest pobojowiskiem, gdzie umarli wojownicy, obok żywych żołnierzy, walczą dalej.

Z pamięcią o wielkim ojcu Jego Królewskiej Mości, składam hołd Polaków—Obyliczowi, nieśmiertelnemu duchowi słowiańskiej historji.



Rys Feliks Topolski

OD REDAKCJI.

Na skutek nowych ograniczeń w dostawie papieru zmuszeni byliśmy zmniejszyć nieco objętość pisma. Aby pomieścić możliwie dużą ilość materjału, znaczną część artykułów dajemy małym drukiem.

SPIS RZECZY

3/-

Published by "NOWA POLSKA" 91, Great Titchfield Street, London, W.1, and Printed by
JOHN BALE & STAPLES, LIMITED 83-91, Great Titchfield Street, London, W.1.